

Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką



ANATOLE FRANCE

Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką¹

TŁUM. JAN STEN

Zamierzam opowiedzieć szczególne przygody i zdarzenia mego życia. Były wśród nich wypadki piękne i zdumiewające. Gdy wspominam o nich, zda mi się czasem, jakoby to wszystko działo się było we śnie. Poznałem był² pewnego kabalistę gaskońskiego, którego nie mogę zwać mędrce, gdyż zginął był marnie, ale który raz w nocy na Wyspie Łabędziej³ miał do mnie tak cudną przemowę, że szczęśliwym się mienię, iż słowa jego zapamiętałem i uważnie spisałem. Mówił mi on o magii i wiedzy okultystycznej, do których z takim uporem obecnie lgną wszyscy; wszak mówi się tylko wszędzie o różokrzyżowcach⁴. Nie pochlebiam sobie zresztą, by mi te objawienia wielkie zaszczyty przyniosły; jedni osądzą, że wszystko zmyślił i że nie to jest prawdziwa doktryna, inni znów — że nie powiedziałem nic innego nad to, o czym wszyscy już wiedzą. Przyznaję, że nie jestem bardzo uczony w kabalistyce⁵, mistrz mój bowiem zginął, zaledwie rozpoczynając moje wtajemniczenie; lecz to, com z tego kunsztu poznał, gwałtownie każe mi przypuszczać, że w kabalistyce wszystko polega na złudzeniach, na nadużyciu i próżności. Zresztą wystarczy, że magia niezgodna jest z religią, bym już ją z całych sił mych odrzucał. Niemniej co do jednego punktu tej fałszywej wiedzy muszę powiedzieć parę słów objaśniających, by nie uchodzić za większego w niej nieuka, niż jestem w istocie. Wiem, że kabalisci twierdzą, iż sylfy⁶, salamandry⁷, elfy, gnomy i gnomidy⁸ rodzą się z duszą śmiertelną jak ich ciało i że zyskują nieśmiertelność w obcowaniu z magami⁹. Mój kabalista, przeciwnie, utrzymywał, że życie nieśmiertelne nie jest udziałem żadnej istoty ani ziemskiej, ani nadziemskiej; poszedłem za jego przekonaniem, nie rozsądzając sprawy dalej. Zwykł on być też mawiać, że elfy zabijają tych, co zdradzają ich tajemnie¹⁰, i zemście tych duchów przypisywał był zgon księdza Coignarda, zamordowanego na drodze do Lugdunu¹¹. Co do mnie wiem dobrze, że ta śmierć, nigdy nieodżałowana, miała przyczynę bardziej przy-

¹*Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką* — manuskrypt oryginalny, pisany pięknym pismem XVIII wieku, nosi jeszcze jako tytuł wtóry: *Życie i myśli księdza Hieronima Coignarda* (przyp. Wydawcy). [przypis autorski]

²*Poznałem był* — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana zwykłym czasem przeszłym lub niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

³*Wyspa Łabędzia* — niewielka sztuczna wyspa na Sekwanie w Paryżu. [przypis edytorski]

⁴*mówi się tylko wszędzie o różokrzyżowcach* — było to pisane w drugiej połowie XVIII wieku [różokrzyżowcy to ruch duchowy i kulturowy powstały w Europie na pocz. XVII wieku, po opublikowaniu kilku tekstów, które ogłaszały istnienie tajnego bractwa, wtajemniczonego w wiedzę ezoteryczną; różokrzyżowcy działali we Francji, Niemczech i Anglii, nawiązywali do kabały, alchemii i chrześcijańskiego mistycyzmu; red. WL]. [przypis autorski]

⁵*kabalistyka* — system doktryn wywodzących się z kabały: żydowskiej mistycznej filozofii religijnej, doszukującej się ukrytych znaczeń w tekstach religijnych. [przypis edytorski]

⁶*sylyf* — duch żywiołu powietrza. [przypis edytorski]

⁷*salamandra* — tu: duch żywiołu ognia. [przypis edytorski]

⁸*gnomy i gnomidy* — męskie i żeńskie duchy żywiołu ziemi. [przypis edytorski]

⁹*sylyfy, salamandry, elfy, gnomy i gnomidy rodzą się z duszą śmiertelną jak ich ciało i że zyskują nieśmiertelność w obcowaniu z magami* — zdanie to zawarte w małej książce księdza Montfaucon de Villars *Książę Gabalis, czyli rozmowy o naukach tajemnych, podług zasad starożytnych magów i uczonych kabalistów*. Istnieje kilka jej edycji; wspominam tylko amsterdamską (u Jakuba Le Jeune 1700), która ma część drugą, niezawartą w edycji oryginalnej. [przypis autorski]

¹⁰*tajnia* (daw.; dziś poet.) — tajemnica. [przypis edytorski]

¹¹*Lugdunum* — starożytna, rzymska nazwa miasta Lyon we Francji. [przypis edytorski]

rodzoną i śmiało więc mówić będę o duchach ognia i powietrza. Trzeba umieć ryzykować coś w życiu, a z elfami ryzyko bardzo niewielkie.

Zebrałem skwapliwie zdania i przemowy mego zacnego mistrza, księdza Hieronima Coignarda, o którego śmierci wspominałem był powyżej. Był to człowiek pełen wiedzy i pobożności; gdyby nie duch jego niespokojny, dorównałby był w cnocie księdzu Rollin¹², którego przewyższał znacznie rozległą wiedzą i głęboką inteligencją. Wśród przygód burzliwego swego życia, nie popadł był jednak w jansenizm¹³ jak ksiądz Rollin; stateczna moc jego umysłu nie zachwiała się od gwałtowności śmiałych doktryn i przed Bogiem poręczyć mogę za czystość jego wiary. Posiadał wielką znajomość świata, nabytą w obcowaniu z ludźmi najrozmaitszego gatunku; to doświadczenie niezawodnie przydałoby mu się było przy pisaniu dziejów rzymskich, co byłby niewątpliwie na wzór księdza Rollin uczynił, gdyby mu okoliczności i czas pozwoliły i gdyby tryb jego życia lepiej był dostosowany do jego talentów. To, co tu o tym doskonałym człowieku przytoczę, będzie ozdobą tych pamiętników.

Jak Aulus Gellius¹⁴, który w swych *Nocach attyckich* umieścił najpiękniejsze zdania filozofów, jak Apulejusz¹⁵, którego *Metamorfozy* zawierają najlepsze baśnie Greków, podejmuję się i ja pracy pszczelnej i chcę zebrać miód najśłodszy. Nie pochlebiam sobie i nie uważam się za współzawodnika tych dwóch wielkich pisarzy, bo tylko ze wspomnień mego życia, a nie z licznych i uczonych ksiąg czerpię wszystkie swe skarby; ja zaś tylko swą dobrą wiarę daję. Jeżeli ktoś ciekawy przeczyta kiedykolwiek moje pamiętniki, pozna, że tylko człowiek prosty duchem mógł wyrażać się w sposób tak jasny i zwięzły; w towarzystwach, w których przebywałem, uważano mnie zawsze za bardzo naiwnego i pamiętnik mój może tylko utwierdzić ten sąd o mnie i po śmierci mojej.

Nazywam się Wawrzyniec Jakub Menetrier; ojciec mój, Leonard Ménétrier, miał gospodę na ulicy Świętego Jakuba pod godłem „Królowej Gęsiej Nóżki”, która ma, jak wiadomo, nogi z pletwami jak gęsi i kaczki.

Daszek jego sklepu wznosił się naprzeciw kościoła Świętego Benedykta, pomiędzy pani Gilles sklepem niemiarskim pod „Trzema Dziewicami” i księgarnią pana Blazota pod „Obrazem Świętej Katarzyny”, niedaleko „Małego Bachusa”, którego dzikim winem obrosła krata była już na samym rogu ulicy Powroźniczej. Ojciec kochał mnie bardzo i gdy po kolacji leżałem już w łóżeczku, podchodził do mnie, brał moją rączkę i podnosząc paluszki po kolei, począwszy od wielkiego palca, mówił:

— Ten ją zabił, ten oskubał, ten ugotował, ten zjadł, a mały Rikiki nic nie ma. Sos, sos, sos — dodawał, końcem swego palca łaskocząc dłoń moją; śmiał się przy tym mocno i ja śmiałem się, zasypiając, a matka moja utrzymywała, że uśmiech pozostawał na mych ustach do następnego ranka.

Ojciec mój był dobrym kucharzem, miał bojaźń Boską, toteż w święta uroczyste nosił chorągiew swego cechu, na której wyhaftowany był piękny święty Wawrzyniec z rusztem i złotą palmą. Ojciec zwykł był mawiać:

— Kubusiu, matka twoja jest świętą i zacną niewiastą.

Zdanie to lubił powtarzać często. Rzeczywiście matka moja co niedziela chodziła do kościoła z książką do nabożeństwa, drukowaną dużymi literami. Źle bowiem czytała drobny druk, który, jak mówiła, oczy z głowy jej wykręca. Ojciec co wieczór godzinę lub dwie spędzał pod „Małym Bachusem”, gdzie bywała także Joasia harfiarka i Kasia koronczarka. Ilekroć ojciec wracał trochę później niż zwykle, nakładając szlafmycę, mawiał wzruszonym głosem:

¹²Rollin, Charles (1661–1741) — francuski historyk i pedagog. [przypis edytorski]

¹³jansenizm — katolicki ruch teologiczny funkcjonujący we Francji w XVII–XVIII w., inspirowany pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej i koncentrujący się na znaczeniu Bożej łaski, potępiony przez Kościół katolicki. [przypis edytorski]

¹⁴Aulus Gellius (II w. n.e.) — rzymski erudyta, miłośnik starożytności i kolekcjoner ciekawostek; autor zbioru pt. *Noce attyckie*. [przypis edytorski]

¹⁵Apulejusz z Madaury (ok. 125–po 170) — rzymski filozof, retor i pisarz; autor m.in. satyryczno-fantastycznej powieści obyczajowej *Metamorfozy*, znanej też pod tytułem *Złoty osioł*. [przypis edytorski]

— Barbaro, śpij spokojnie; właśnie mówiłem kulawemu nożownikowi, że jesteś świętą i zacną niewiastą.

Miałem lat sześć, gdy pewnego dnia ojciec mój, poprawiając fartucha, co było u niego oznaką powziętego postanowienia, tak rzekł do mnie:

— Miraut, nasz poczciwy pies, przez lat czternaście kręcił mój rożen. Nic mu zarzucić nie mogę; służył mi wiernie, nigdy nie porwał najmniejszego kąska gęsi lub indyczki, za pracę swą zadowalał się wylizywaniem patelni. Ale starzeje się już, łapa mu sztywnieje, nie widzi nic i nie zdolny już jest do kręcenia korby u rożna. Kubusiu, ty, synu mój, powinienes zająć jego miejsce; przy rozwadze i wprawie potrafiysz to zrobić równie dobrze jak on.

Miraut słuchał tych słów, kręcąc ogonem na znak zgody; ojciec zaś mówił dalej:

— A zatem, siedząc na tym zydelku, będziesz kręcił rożen. Trzeba jednak ćwiczyć i twój umysł, toteż gdy przejdiesz katechizm i następnie dobrze będziesz umiał czytać, nauczysz się na pamięć gramatyki, jakichś przypowieści moralnych lub nawet może pięknych nauk ze Starego i Nowego Testamentu. Bo poznać Boga i odróżniać złe od dobrego — potrzebna to rzecz nawet w rzemiośle, nierozgłośnym zaiste, ale uczciwym, jakim jest to rzemiosło moje, które było zawodem mego ojca, a będzie i twoim, jeśli spodoba się Bogu.

Odtąd od rana do wieczora siedziałem, kręcąc rożen, w kąciku przy kominie, z otwartym katechizmem na kolanach. Poczciwy kapucyn, który z workiem na plecach zachodził kwestować u ojca, pomagał mi sylabizować, a czynił to tym chętniej, że ojciec, w cenie mając wiedzę, opłacał te nauki dobrym kawałem indyczki i dużą szklanką wina. Toteż braciszek, widząc, że dobrze składam zgłoski i wyrazy, przyniósł mi żywot świętej Małgorzaty¹⁶ i na tej książce biegle czytać mnie nauczył.

Dnia pewnego, położywszy jak zwykle worek swój na kantorku ojca, kapucyn usiadł przy mnie i wygrzewając bose stopy w ciepłym popiele ogniska, kazał mi po raz setny powtórzyć:

Dziewico Święta, piękna, czysta,
Wspierasz niewiasty przy porodzie —
Zlituj się nad nami!

W tej właśnie chwili wszedł do gospody człowiek w ubraniu duchownym, tłusty, ale jednak dość szlachetnych kształtów, i donośnym głosem zawołał:

— Hej, gospodarzu, proszę mi podać jaki smaczny kąsek.

Mimo siwych włosów zdawał się w pełni lat i sił, uśmiech miał na ustach, oczy żywe. Policzki trochę obwisłe i trzy podbródki opadały majestatycznie na żabot¹⁷, przez sympatię równie tłusty jak szyja, która na nim spoczywała.

Mój ojciec, uprzejmy z zawodu, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł:

— Niech wasza wielbność zechce zagrzać się przy mym ognisku; zaraz podam jej wszystko czego zapagnie.

Nie dając się prosić dłużej, ksiądz zasiadł przed kominem obok kapucyna.

Słyszając, jak braciszek czytał

Dziewico święta, piękna, czysta,
Wspierasz niewiasty przy porodzie

klasnął w dłonie i zawołał:

— O, cóż za rzadki ptak! Co za unikat! Kapucyn umiejący czytać! Hej, braciszku, jakże się zowiesz?

— Brat Anioł, kapucyn niegodny — odrzekł mój nauczyciel.

¹⁶ *Małgorzata Antiocheńska* — legendarna męczennica chrześcijańska z Antiochii, z okresu prześladowań za panowania cesarza Dioklecjana, torturowana i ścięta ok. roku 304 przez rzymskiego namiestnika za odmowę poślubienia go; święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, jedna z najpopularniejszych świętych w okresie średniowiecza, patronka położnic. [przypis edytorski]

¹⁷ *żabot* — ozdoba z marszczonej tkaniny umieszczana na przodzie koszuli lub bluzki. [przypis edytorski]

Matka moja, w swym pokoju na górze usłyszawszy rozmowę, ciekawością zdjęta zesła do sklepu. Ksiądz skłonił się familiarnie, lecz uprzejmie, i zwracając się do niej, rzekł:

— Doprawdy godne to podziwu, proszę pani: brat Anioł jest kapucynem, a umie czytać.

— Umie czytać nawet rozmaite pismo — odpowiedziała matka i zbliżywszy się do braciszka, po obrazku, przedstawiającym dziewicę męczenniczkę z kropidłem w ręku, poznała, że była tam właśnie wydrukowana modlitwa do świętej Małgorzaty.

— Tę modlitwę trudno bardzo odczytać — dodała — bo wyrazy są krótkie i zaledwie rozłączone od siebie. Na szczęście wystarcza, by w cierpieniu przyłożyć ją jak plaster do miejsca, gdzie najsilniej boli, a pomoże równie dobrze, a nawet lepiej niż przez odmawianie. Doświadczyłam tego, mój panie, przy urodzeniu tu obecnego syna mego, Kubusia.

— Niech pani dobrodziejka nie wątpi o tym — rzekł brat Anioł — modlitwa do świętej Małgorzaty jest niezawodna w wypadku takim, jaki pani właśnie wspomniała, pod warunkiem jednak, by nie odmawiać jałmużny kapucynom.

Przy tych słowach brat Anioł wychylił czarękę, którą matka naląła mu była po brzegi, zarzucił worek na plecy i podążył w stronę „Małego Bachusa”.

Ojciec mój podał ćwiartkę drobiu na stół, ksiądz wyjął z kieszeni kawał chleba, butelkę wina i nóż, którego miedziana rękojeść przedstawiała króla nieboszczyka jako cesarza rzymskiego na starożytniej kolumnie, i zabrał się do wieczerzy.

Ale zaledwie pierwszy kąsek poniósł do ust, zwrócił się do mego ojca i zażądał soli, zdziwiony tym, że nie od razu podano mu solniczkę.

— Tak — rzekł — czynili starożytni. Ofiarowywali oni sól na znak gościnności. Umieszczali też solniczki w świątyniach, na zastawie bogów.

Sól, barwy szarej, wisiała w drewnianym naczyniu przy kominie. Ojciec podał mu ją, a ksiądz, wzięwszy, ile mu było trzeba, rzekł:

— Starożytni uważali sól za konieczną przyprawę każdego posiłku i mieli ją w takim poszanowaniu, że przez metaforę nazywali solą zwroty dowcipne, którymi zdobili swe mowy.

— Ach — rzekł mój ojciec — w jakkolwiek wysokim poszanowaniu była sól w starożytności, myto¹⁸ dzisiejsze jeszcze ją w wyższej stawia cenie.

Matka, robiąc pończochę, przysłuchiwała się pilnie i, rada¹⁹ wtrącić słówko, rzekła:

— Musi sól być dobrą rzeczą, skoro ksiądz przy chrzcie świętym kładzie dziecku szczyptę jej na język. Jak mój Kubuś poczuł sól w ustach, skrzywił się; choć taki to był malec, a już coś rozumiał. Mówię, wielebny ojcze, o moim synu Jakubie, tu obecnym.

Ksiądz spojrzął na mnie i rzekł:

— Teraz to już duży chłopiec, skromność wypisana jest na jego twarzy i z uwagą czyta żywot świętej Małgorzaty.

— Ach — odrzekła matka — on czytuje też modlitwę od odmrożeń, modlitwę świętego Huberta, którą dał mu brat kapucyn, i historię o człowieku, którego to na Przedmieściu Świętego Marcelego kilku diablów zjadło za to, że bluźnił świętemu imieniu Pańskiemu.

Ojciec mój spojrzął na mnie z zachwytem i szepnął księdzu do ucha, że dzięki wrodzonym mym zdolnościom nauczyć się mogę, czego tylko zechcę.

— Skoro tak jest — rzekł ksiądz — należy go kształcić w umiejętnościach pięknych, które są zaszczytem człowieka, pociechą życia i lekarstwem na wszelkie cierpienia, nie wyłączając cierpień miłosnych, jak zapewnia poeta Teokryt²⁰.

— Choć jestem tylko kucharzem — odparł mój ojciec — cenię naukę i chcę wierzyć, że, jak mówi wasza wielebność, jest ona lekarstwem na miłość; wątpię jednak, czy jest także skutecznym lekiem na głód.

— W tym razie nie jest może lekiem niezawodnym — odrzekł ksiądz — ale zawsze i tu przynosi ulgę na wzór kojącego, lecz niezupełnie skutecznego balsamu.

Jedzenie

Książka

¹⁸myto (hist.) — opłata za przewóz towarów. [przypis edytorski]

¹⁹rad (daw.) — chętny; chętnie. [przypis edytorski]

²⁰Teokryt (ok. 310–ok. 250 p.n.e.) — grecki poeta, twórca sielanki jako gatunku literackiego. [przypis edytorski]

Gdy tak mówił, Kasia koronczarka, z czepkiem na bakier, ze zmiętą na piersiach chustką, ukazała się na progu; matka, spostrzegłszy ją, zmarszczyła brwi i spuściła trzy oczka ze swojej roboty włóczkowej.

— Panie Ménétrier — rzekła Kasia do ojca — chodź przemówić słówko do strażników; jeżeli tego nie uczynisz, na pewno wezmą braciszka Anioła do więzienia. Biedny braciszek zaszedł pod „Małego Bachusa” i wypił dwie czy trzy czarki wina, za które nie zapłacił, nie chcąc, jak mówi, wykroczyć przeciw regule świętego Franciszka. Najgorsza jednak sprawa w tym, że ujrawszy mnie w altanie w towarzystwie, zbliżył się do mnie, by mnie nowej modlitwy nauczyć. Powiedziałam mu, że chwila niesposobna ku temu; mimo to stawał się natrętny, za co kulawy nożownik, będący ze mną, pociągnął go mocno za brodę. Wtedy brat Anioł rzucił się na nożownika; ten runął na ziemię wraz ze stołem i kuflami. Hałasem zwabiony gospodarz, widząc, że stół przewrócony, wino rozlane, a braciszek z nogą na głowie nożownika wywija młynka zydlem i bije na prawo i na lewo, zaklął siarczyście i pobiegł przywołać strażników. Panie Ménétrier! Niech pan idzie zaraz wybawić braciszka z rąk straży; to człowiek święty i w tej sprawie nie tak bardzo jest winien.

Mój ojciec zawsze rad był przysłużyć się Kasi, ale tym razem słowa jej odniosły skutek wręcz przeciwny, niż się po nich spodziewała. Ojciec sucho jej odrzekł, że w jego oczach nic nie usprawiedliwia postępków kapucyna i że życzy mu, by otrzymał zasłużoną pokutę o chlebie i wodzie w najczarniejszym lochu klasztoru, którego jest hańbą i wstydem.

Mówiąc, podniecał się:

— To pijak, rozpustnik, któremu codziennie dają dobre wino i smaczne kąski, a on chodzi do karczmy umizgać się do rozwiązłych dziewcząt, przekładających towarzystwo wędrownego nożownika i kapucyna nad znajomość z porządnymi cechowymi kupcami swej dzielnicy! Pfuj!

Tu zatrzymał się nagle w swym oburzeniu i ukradkiem spojrzął na matkę, która stojąc wsparta o schody, zawzięcie robiła pończochę.

Kasia, zdziwiona złym przyjęciem, odrzekła sucho:

— Więc nie chcesz pan dobrym słowem ulagodzić szynkarza i strażników?

— Jeżeli chcesz, mogę im powiedzieć, aby zabrali nożownika wraz z kapucynem.

— Przecież — rzekła, śmiejąc się — nożownik jest pańskim przyjacielem.

— Więcej twoim niż moim — z gniewem odrzucił ojciec. — Nędzarz, który ciągnie wózek, utykając.

— Co to, to prawda — zawołała — on istotnie utyka, utyka, tyka!

I wybiegła ze sklepu, śmiejąc się do rozpuku. Ojciec zwrócił się do księdza, który tymczasem nożem kość oskrobywał:

— Tak, jak mam zaszczyt zapewnić waszą wielebność: każdą lekcję czytania i pisania, którą ten kapucyn udziela memu dziecku, oplacam czarką wina i smacznym kąskiem zająca, królika, gęsi, pulardy²¹ lub kapłona²². A to pijak jest i rozpustnik.

— Słusznie, niewątpliwie — odpowiedział ksiądz.

— Ale niech tylko ośmieli się pokazać na progu, wygnam, jak śmiecia wymiotę z domu.

— I dobrze uczynisz — rzekł ksiądz. — Ten kapucyn to osioł i syna twego uczył on raczej krzyku oślego niż mowy ludzkiej. Mądrze postąpisz, wrzucając do ognia ten oto żywot świętej Katarzyny²³ i modlitwę przeciw odmrożeniom, i historię o wilkołaku, którymi ten mnich zatruwał umysł twego dziecka. Za taką cenę jak brat Anioł sam kształcić go będę, nauczę go łaciny, greki a nawet francuszczyzny, którą Voiture i Balzac²⁴

Bijatyka

Nauka, Interes

Nauka

²¹pularda — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

²²kapłon — kastrowany kogut, kurczak o delikatnym mięsie. [przypis edytorski]

²³Katarzyna Aleksandryjska — legendarna męczennica chrześcijańska z IV w., święta Kościoła katolickiego i prawosławnego; patronka filozofów, uczonych i uczniów, jedna z najpopularniejszych świętych katolickich; postać inspirowana losami Hypatii z Aleksandrii (zm. 415), neoplatonickiej uczonej zajmującej się matematyką, astronomią i filozofią, zamordowanej przez tłum fanatycznych chrześcijan. [przypis edytorski]

²⁴Voiture i Balzac — francuscy autorzy z XVII w., należący do grona pierwszych członków Akademii, odnowiciele prozy francuskiej: poeta i prozaik Vincent Voiture (1597–1648) oraz pisarz Jean-Louis Guez de Balzac (1597–1654). [przypis edytorski]

doprowadzili do doskonałości. Tak to przez podwójnie szczęśliwe a dziwne zrządzenie losu ten Kubuś Rozenek zostanie człowiekiem uczonym, a ja będę jadał codziennie.

— Zgoda na to — rzekł mój ojciec. — Barbaro, przynieś dwie czarki, żadna sprawa nie jest prawdziwie zawarta, dopóki obie strony nie wypiją na zgodę. Tu u mnie sobie wypijemy; ten nożownik i mnich taką we mnie wzbudzają odrazę, że w życiu noga moja nie postanie pod „Małym Bachusem”.

Ksiądz powstał i wsparłszy dłonie na poręczy krzesła, rzekł wolno i uroczyście:

— Przede wszystkim dziękuję Bogu, stwórcy i obrońcy stworzenia wszelkiego, że mnie przywiódł do tego domu, do tej przystani żywicieli. Sam On jedynie rządzi nami i winniśmy uznać palec jego we wszystkich sprawach ludzkich, choć często zbytnia to śmiałość i nieprzystojność nadto ściśle badać Jego drogi. Opatrzność, rozciągając się nad wszystkim, znajduje się też we wszelkich wydarzeniach najrozmaitszych; wydarzenia te ze względu na udział Boski cudowne są niewątpliwie, natomiast nieprzystojne i śmieszne są przez udział ludzki, a ten jedynie nam widomy. Toteż nie należy za kapucynami i dewotkami powtarzać, że Boga widzimy w każdym kocie na dachu. Chwalmy Pana, módlmy się, by mnie oświecił w nauczaniu tego dziecka, a co do reszty spuśćmy się na Jego świętą wolę, nie usiłując odgadnąć jej zawczasu.

I wzniosłszy kubek do góry, wychylił spory łyk wina.

— To wino — rzekł — wnosi w organizm ludzki ciepło łagodne i dobroczynne. Napój to godny, by go opiewano w Teos i w Temple przez ksiąząt poetów bachicznych, przez Anakreonta²⁵ i Chaulieu²⁶. Zwilżę nim usta mego młodego ucznia.

Podstawił mi kubek pod brodę i zawołał:

— Przybądźcie, pszczoły Akademii²⁷, przybądźcie melodyjnym tłumem, osiądźcie na Muzom odtąd poświęconych ustach ucznia mego, Jakuba Rozenka!

— O to prawda, księżę dobrodziej — rzekła matka moja — wino nęci pszczoły, zwłaszcza gdy jest słodkie. Ale po cóż pragnąć, by te złe owady siadły na wargach mego Kubusia, ich ukłucie przecież jest bardzo bolesne. Pewnego dnia, gdy jadłam brzoskwinię, pszczoła ukłuła mnie w język; znosiłam wówczas męki piekielne. Doznałam nieco ulgi dopiero, gdy brat Anioł, recytując modlitwę do świętego Kuźmy, włożył mi w usta grudkę ziemi zmieszaną ze śliną.

Ksiądz wytłumaczył matce, że mówił był o pszczołach w znaczeniu alegorycznym, a ojciec rzekł z wymówką:

— Barbaro, jesteś świętą i zacną niewiastą, ale zauważyłem wielokroć, że masz szkodny zwyczaj wtrącać się niepotrzebnie, ni w pięć, ni w dziewięć, do rozmów poważnych.

— Być to może — powiedziała matka. — Ale gdybyś był zawsze szedł za moją radą, Leonardzie, dobrze byłbyś wyszedł na tym. Może nie znam się na rozmaitych rodzajach pszczół, ale wiem, jak zarządzać domem, i wiem, jaką przystojność winien zachować w obyczajach człowiek w latach, ojciec rodziny i chorąży swego zgromadzenia.

Mój ojciec podrapał się za uchem i nalał wina księdzu, który rzekł, wdychając:

— Tak, tak, dziś nauka w królestwie francuskim nie jest tak ceniona, jak była niegdyś u upadłego już nawet ludu rzymskiego, gdy to retoryka na tron państwa wyniosła Eugeniusza²⁸. W dzisiejszym wieku nierzadko zdolnego człowieka znaleźć można na poddaszu, bez ognia i światła. *Exemplum ut talpa*²⁹. Na mnie macie przykład.

²⁵Anakreont z Teos (ok. 570–ok. 485 p.n.e.) — grecki poeta, autor sławiących uroki życia pieśni biesiadnych i miłosnych. [przypis edytorski]

²⁶Chaulieu, Guillaume Amfrye de (1639–1720) — francuski poeta-epikurejczyk, mistrz anakreontyków; gospodarz biesiad wielbicielei przyjemności w paryskim domu w Temple. [przypis edytorski]

²⁷pszczoły Akademii (...) osiądźcie na Muzom odtąd poświęconych ustach — w starożytności Muzy, boginie opiekunki sztuk pięknych i nauki, często wiązano z pszczołami, nazywanymi „ptakami Muz”, przynoszącymi dar słodczych pieśni i pięknej wymowy na usta poetów; *Akademia* to starożytna grecka szkoła filozoficzna założona przez Platona w gaju poświęconym herosowi ateńskiemu Akademosowi (stąd nazwa). [przypis edytorski]

²⁸Eugeniusz, właśc. Flavius Eugenius (ok. 350–394) — cesarz rzymski (392–394); jako nauczyciel literatury lacińskiej i retoryki, zaprzyjaźniony z Arbogastem, wodzem i doradcą cesarza Walentyniana II, został mianowany naczelnikiem kancelarii na dworze, co dawało Arbogastowi wgląd w listy cesarza; po konflikcie pomiędzy Walentynianem a jego doradcą, zakończonym śmiercią cesarza, Arbogast wyniósł Eugeniusza na tron. [przypis edytorski]

²⁹*Exemplum ut talpa* (łac.) — na przykład jak kret; słowa z bajki La Fontaine’a *Towarzysze Ulisesa* (XII, 1), które we Francji weszły do codziennego obiegu przy wymienianiu pojedynczego przykładu zamiast kilku. [przypis edytorski]

I zaczął opowieść swego życia, którą tu przytaczam, tak jak wyszła z ust jego. Były w tym opowiadaniu ustępy, których ze względu na mój młody wówczas wiek nie zrozumiałem, a zatem i niedobrze od razu zachowałem w pamięci; odważyłem się uzupełnić je według zwierzeń, które mi poczynił później, gdy już zaszczycał mnie swą przyjaźnią.

— Taki, jakim mnie widzicie — rzekł — a lepiej mówiąc, zupełnie inny, niż mnie widzicie, bo młody, smukły, z okiem żywym, z włosom kruczym, wykladałem w kolegium w Beauvais sztuki wyzwolone pod kierunkiem panów Dugué, Guérin, Coffin i Baffier. Odebrałem święcenia i marzyłem o zdobyciu sławy literackiej, ale kobieta zniweczyła me nadzieje. Nazywała się Nicola Pigoreau i na placu przed kolegium utrzymywała księgarnię pod „Złotą Biblią”. Zachodziłem tam i przerzucałem często książki, które otrzymywała z Holandii, oraz rzadkie edycje autorów, wydawane w dwu językach i zaopatrzone w przypiski, w warianty i w bardzo uczone komentarze. Byłem uprzejmy i miły, pani Pigoreau zauważyła to na moje nieszczęście; była niegdyś ładna i mogła podobać się jeszcze, oczy miała wymowne. I dnia pewnego Cyceron, Tytus Liwiusz, Platon, Arystoteles, Tukidydes, Polibiusz, Warron, Epiktet, Seneka, Boecjusz i Kasjodor, Homer, Ajschylos, Sofokles, Eurypides, Plaut i Terencjusz, Diodor Sycylijski i Dionizjusz z Halikarnasu, święty Jan Chryzostom i święty Bazyl, święty Hieronim i święty Augustyn, Erazm, Saumaise, Turnebus, Scaliger, święty Tomasz z Akwinu, święty Bonawentura, Bossuet wlokący za sobą Ferriego, Lenain, Godefroy, Mézeray, Mainbourg, Fabricius, ojciec Lelong, ojciec Pitou, wszyscy poeci, mówcy, historycy, wszyscy ojcowie, doktorzy, teologowie, humaniści, komentatorowie — wszyscy, od dołu do góry zalegający półki, byli świadkami naszych pocałunków.

— Nie mogłam ci się oprzeć — rzekła — nie myśl stąd źle o mnie.

Swą miłość wyrażała mi z zapalem niepojętym. Raz kazała mi przymierzyć żabot i mankiety koronkowe i widząc, że mi w nich bardzo do twarzy, nalegała, bym je zatrzymał. Nie chciałem, lecz widząc, że drażni ją moja odmowa, w której upatrywała obrazę dla swej miłości, przyjąłem jej podarek, by jej nie rozgniewać. Miałem u niej powodzenie aż do chwili, gdy mnie jakiś oficer zastąpił. Dotknęło mnie to mocno i w zapale zemsty oświadczyłem regensom³⁰ kolegium, że nie bywam już pod „Złotą Biblią”, nie chcąc być świadkiem scen obrażających skromność młodego duchownego. Nie poszczęściło mi się z tą sztuczką: pani Pigoreau, dowiedziawszy się, jak względem niej postąpiłem, rozgłosiła, że ukradłem jej mankiety i żabot koronkowy. Te fałszywe oskarżenia doszły do uszu regensów, którzy kazali przetrząsnąć mą skrzynię i znaleźli w niej te dosyć cenne stroje. Wypędzono mnie, i tak to, jak niegdyś Hipolit i Bellerofon³¹, doświadczyłem na sobie złości i chytryści kobiet. Znalazłem się na bruku z węzełkiem swym i spisany wykładem krasomówstwa. Wielkie było prawdopodobieństwo, że z głodu umrzeć przyjdzie; toteż porzuciwszy płaszczek duchowny, przedstawiłem się pewnemu magnatowi hugonocie³², który przyjął mnie za sekretarza i dyktował mi różne przeciw religii pisma.

— Ach! Co do tego — zawołał mój ojciec — to źle ksiądz dobrodziej postąpiłeś. Uczciwy człowiek nie powinien przyłożyć ręki do takiej wstrętnej roboty. Ja, choć nie uczony, a rzemieślnik, znieść nie mogę tych heretyków.

— Masz rację, gospodarzu — odparł ksiądz — to był najgorszy czyn mego życia, czyn, którego najmocniej żałuję. Ale mój chlebodawca był kalwinem i pióra mego uży-

³⁰*regensom* (daw.) — przełożony seminarium duchownego. [przypis edytorski]

³¹*Hipolit i Bellerofon* (mit. gr.) — bohaterowie fałszywie oskarżeni o próbę gwałtu przez kobiety, których zaloty odrzucili: *Hipolit*, oskarżony przez swoją macochę Fedrę, przeklęty przez ojca, zginął pod kołami rydwana, gdy jego konie przestraszył potwór wysłany przez władcę mórz Posejdon; *Bellerofon*, oskarżony przez żonę swego gospodarza, Steneboję, został przez niego wysłany z listem do króla Licji, by ten kazał zabić młodzieńca. [przypis edytorski]

³²*hugonoci a. hugenoci* — protestanci francuscy, wyznawcy kalwinizmu. Po okresie domowych wojen religijnych na mocy edyktu nantejskiego (1598) mieli zapewnioną swobodę wyznania. Za panowania Ludwika XIV, od 1681, zaczęto ich brutalnie prześladować w celu zmuszenia do przejścia na katolicyzm (dragonady), co spowodowało emigrację wielu hugenotów jeszcze przed oficjalnym odwołaniem w 1685 edyktu nantejskiego; większość z nich uciekła do Anglii, Niderlandów, Szwajcarii i Prus. Swobodę wyznania i prawa cywilne odzyskali dopiero w 1787, zaś rewolucja roku 1789 przyniosła im pełne równouprawnienie z katolikami. [przypis edytorski]

wał tylko przeciw luteranom i socynianom³³, których nienawidził. Mogę zapewnić, że z jego rozkazu obszedłem się z tymi heretykami ostrzej, niż to kiedykolwiek uczyniono w Sorbonie.

— Amen — rzekł mój ojciec — gdy wilki pożerają się wzajem, baranki pasą się w pokoju.

Książd ciągnął dalej:

— Zresztą — rzekł — niedługo służyłem temu panu, który wyżej cenił listy Ulryka von Hutten³⁴ niż mowy Demostenesa³⁵ i u którego tylko wodę dawano do picia. Próbowałem następnie różnych zawodów, ale w żadnym dobrze mi się nie wiodło; byłem kolejno: kolporterem, aktorem, mnichem, lokajem. W końcu, przywdziawszy znów księżą pelerynkę, zostałem sekretarzem biskupa w Séez i układałem dlań katalog cennych rękopisów jego biblioteki. Ten katalog składa się z dwu tomów *in folio*³⁶, tomy te, w czerwony safian oprawne, ze złożonymi brzegami, z herbem biskupa, mieszczą się w jego zbiorach. Śmiem twierdzić, że jest to dobrze wykonana praca.

I zależałoby tylko ode mnie, by w ciszy i spokoju przeżyć wiek swój u boku jego ekscelencji, ale — pokochałem pokojówkę pani starościny. Nie potępiajcie mnie państwo zbyt surowo. Była to brunetka, pełna, żywa, świeża; święty byłby ją pokochał. Pewnego dnia wzięła dyliżans i pojechała szukać szczęścia w Paryżu; podążyłem za nią, ale jej sprawy poszły w stolicy znacznie pomyślniej niż moje.

Wstąpiłem za jej poleceniem na dwór tancerki w operze, pani de Saint-Ernest, która znając me talenty, poleciła mi napisać według jej wskazówek pamflet przeciw pannie Davilliers, do której miała urazę. Byłem dobrym sekretarzem i doprawdy zasłużyłem na te pięćdziesiąt dukatów, które mi dać przyrzekła. Książkę, ozdobioną alegorycznym nagłówkiem, wydrukowano w Amsterdamie u Marka Michała Reya³⁷. Panna Davilliers otrzymała do rąk pierwszy egzemplarz, w chwili gdy wyjść miała na scenę, by odśpiewać wielką arię Armidy. Ze złości głos jej drżał i ochrypl, śpiewała fałszywie — wygwizdano ją. Po skończonej roli, jeszcze w krynolinie i peruce, pobiegła do intendenta, który miał powody niczego jej nie odmawiać; ze łzami rzuciła mu się do nóg, żądając zemsty.

Dowiedziano się wkrótce, że cios padł z ręki pani de Saint-Ernest. Badana, napierana, zastraszona, wydała moje autorstwo, za co osadzono mnie w Bastylii³⁸. Przebyłem tam lat cztery, pocieszając się czytaniem dzieł Boecjusza³⁹ i Kasjodora⁴⁰.

Teraz w budce na cmentarzu Świętych Niewiniątek jestem pisarzem publicznym i zakochanym pokojówkom użyczam tego pióra, które winno było raczej kreślić życiorysy znakomitych mężów rzymskich i komentować pisma uczonych ojców Kościoła. Biorę

³³socynianie — XVI i XVII-wieczne grupy chrześcijańskie kierujące się w swojej doktrynie naukami Fausta Socyna, nieuznające dogmatu o Trójcy Świętej i postulujące oparcie religii na przesłankach rozumowych; w Polsce znani jako bracia polscy lub arianie; przez teologów katolickich i protestanckich zwalczani jako herezy. [przypis edytorski]

³⁴Hutten, Ulrich von (1488–1523) — niemiecki rycerz, pisarz, humanista; zwolennik reformacji, którą propagował w publicystyce; współautor zbioru satyrycznych listów pt. *Listy ciemnych mężów* (1515–1517), skierowanych przeciwko średniowiecznej scholastyce i obskurantyzmowi. [przypis edytorski]

³⁵Demostenes (384–322 p.n.e.) — grecki mówca i polityk, patriota ateński, głośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi (tzw. filipiki). [przypis edytorski]

³⁶*in folio* (łac.) — o książce: w formacie arkusza złożonego na pół; jest to największy format, w jakim drukuje się książki. [przypis edytorski]

³⁷Rey, Marc-Michel (1720–1780) — amsterdamski wydawca i księgarz pochodzący z Genewy; w swoich czasach największy w Holandii wydawca książek w języku francuskim, sprzedawanych głównie we Francji; szczególnie zasłużony w rozpowszechnianiu dzieł filozofów Oświecenia, takich jak Rousseau, Voltaire, Diderot i d'Holbach. [przypis edytorski]

³⁸Bastylia — twierdza wybudowana w XIV wieku pod Paryżem, późniejsze więzienie; zdobyta na początku rewolucji francuskiej przez lud Paryża, 14 lipca 1789 roku, później zburzona. [przypis edytorski]

³⁹Boecjusz, właśc. Anicius Manlius Torquatus Severinus Boëthius (ok. 480–ok. 535) — rzymski logik, filozof i teolog, tłumacz Arystotelesa; święty katolicki; oskarżony przez króla Ostrogotów Teodoryka Wielkiego o udział w spisku, uwięziony i stracony; w więzieniu napisał dialog *O pocieszeniu, jakie daje filozofia*. [przypis edytorski]

⁴⁰Kasjodor, właśc. Flavius Magnus Aurelius Cassiodorus (ok. 485–583) — rzymski pisarz chrześcijański, historyk i filozof, wysoki urzędnik na dworze króla Ostrogotów Teodoryka Wielkiego i jego następców; święty katolicki. [przypis edytorski]

dwa szeląg⁴¹ za list miłosny; z takiego to rzemiosła umieram raczej, niżli żyję. Znoszę ten los, pomny na to, że Epiktet⁴² był niewolnikiem, a Pyrron⁴³ ogrodnikiem.

Przed chwilą, niespodzianym trafem, za anonim dostałem dukata; nie jadłem był od dwóch dni, toteż niezwłocznie zacząłem szukać jakiejś gospody; spostrzegłem z ulicy twój barwny szyld, ogień twego komina wesoło połyskujący na szybach; poczułem na progu rozkoszną woń smacznego jedzenia i wszedłem. Tak więc, gospodarzu kochany, znasz teraz cały mój żywot.

— Widzę, że jest to żywot zacnego człowieka — rzekł mój ojciec — i że oprócz sprawy z hugonotem nie ma mu nic do zarzucenia. Dłonią w dłoń! Bądźmy przyjaciółmi. Jak się nazywacie, księżę dobrodzieju?

— Hieronim Coignard, doktor teologii, licencjat sztuk wyzwolonych.

Śluszenie mówił ksiądz Hieronim Coignard, że cudowny w sprawach ludzkich jest związek przyczyn i skutków. Zastanawiając się nad dziwnymi przypadkami i zdarzeniami naszego życia, musimy przyznać, że we wszechdoskonałości Boskiej nie brak dowcipu, fantazji i talentu komicznego i że Bóg w tworzeniu zagmatwań życiowych celuje tak samo jak we wszystkim innym. Gdyby, tak jak natchnął Mojżesza, Dawida i proroków, raczył natchnąć pana Le Sage⁴⁴ i jarmarcznych poetów, podyktowałby im najcudowniejsze sztuki marionetek. Bo oto na przykład ja zostałem łacinnikiem dlatego, że brata Anioła przychwyciła straż, a władza duchowna wsadziła go do więzienia za pobicie jakiegoś nożownika w altanie pod „Małym Bachusem”. Imci⁴⁵ Pan Hieronim Coignard dotrzymał obietnicy, udzielał mi swych lekcji; uważał łaskawie, że jestem posłuszny i bystry, i z przyjemnością uczył mnie literatury starożytnej. W lat kilka wykierował mnie na wcale dobrego łacinnika.

Pamięci jego zachowam wdzięczność dozgonną i każdy łatwo pojmie, ile mu jestem winien, gdy powiem, że kształcał mój umysł, niczego nie zaniedbał, aby zarazem wykształcić duszę i serce. Przytaczał mi *Maksymy* Epikteta, *Homilie* świętego Bazylego⁴⁶ i *Pocieszenia* Boecjusza. Pięknymi cytatami wtajemniczał mnie w filozofię stoików⁴⁷, ale wykazywał całą jej wzniosłość po to tylko, by tym lepiej upokorzyć ją przed wyższością filozofii chrześcijańskiej. Był on subtelnym teologiem i dobrym katolikiem. Wiara jego pozostała niewzruszona na szczątkach jego najdroższych złudzeń i najbardziej usprawiedliwionych nadziei. Jego słabostki, błędy, grzechy, których nie starał się ukryć lub upiększyć, nie zachwiały wcale jego ufności w dobroć Boską. By znać go dobrze, należy wiedzieć, że o zbawienie wiekuiste dbał starannie nawet w okolicznościach takich, w których najmniej, zda się, mógł być o to się troszczyć. Wszczepił mi zasady rozumnej pobożności, starał się także zjednać mnie dla cnoty i za pomocą przykładów, czerpanych z życia Zenona⁴⁸, chciał uczynić ją dla mnie rzeczą codzienną i powszednią.

By mi dać poznać niebezpieczeństwa życia rozwiązłego, czerpał argumenty z źródeł bliższych, zwierając się przede mną, jak to niegdyś zbyt zamilowanie do kobiet i wina pozbawiło go zaszczytu wykladać z katedry w kolegium w birecie i todze.

Bóg, Los, Żart

Nauczyciel

⁴¹szeląg — dawna drobna moneta polska z miedzi; w oryginale *liard*: drobna miedziana moneta francuska, która stanowiła najdrobniejszy nominal w czasach królestwa. [przypis edytorski]

⁴²Epiktet z *Hierapolis* (ok. 50–ok. 130) — filozof rzymski, przedstawiciel stoicyzmu; urodził się jako niewolnik, później został wyzwolony. [przypis edytorski]

⁴³Pyrron z *Elidy* (ok. 360–ok. 270 p.n.e.) — grecki filozof, założyciel szkoły filozoficznej sceptyków; wg antycznej tradycji z zawodu był malarzem, a dopiero potem studiował filozofię. [przypis edytorski]

⁴⁴Le Sage a. Lesage, *Alain-René* (1668–1747) — francuski powieściopisarz i dramaturg; zasłynął jako autor powieści *Diabeł kulawy* oraz *Przypadki Idziego Blasa*. [przypis edytorski]

⁴⁵imci właśc. imć — skrót od starop. wyrażenia grzecznościowego stawianego przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem: jego miłość. [przypis edytorski]

⁴⁶Bazyli Wielki a. Bazyli z *Cezarei* (329–379) — pisarz wczesnochrześcijański, twórca jednej z pierwszych reguł zakonnych; święty prawosławny i katolicki, jeden z tzw. ojców i doktorów Kościoła. [przypis edytorski]

⁴⁷stoik — osoba podzielająca poglądy staroż. kierunku filozoficznego zalecającego sumiennosc w obowiązkach, zachowanie umiaru i spokoju wewnętrznego niezależnie od okoliczności zewnętrznych. [przypis edytorski]

⁴⁸Zenon z *Kition* (ok. 336–ok. 264 p.n.e.) — filozof grecki, założyciel szkoły stoików w Atenach. [przypis edytorski]

Do jego zalet niezwykłych należy dodać jeszcze stałość i wytrwałość; lekcje swoje dawał z sumiennością, jakiej trudno było spodziewać się od człowieka, który tak jak on oddany był na pastwę zdarzeń koczowniczego życia i którego ciągle unosił wir losów niepewnych, bardziej godnych urwisa niż doktora teologii. Gorliwość jego wynikała z dobroci, a także z upodobania do miłej ulicy św. Jakuba, gdzie mógł zaspokoić pragnienia swego ciała zarówno jak i umysłu. Gdy przy obfitym i smacznym posiłku, udzielił mi już swych nieocenionych nauk, wstępował pod „Małego Bachusa” i pod „Obraz Świętej Katarzyny” — na tej to małej przestrzeni, która była dlań rajem, znajdował wszystko, co lubił: dobre wino i książki.

Bywał on częstym gościem u księgarza pana Blaizota, który przyjmował go uprzejmie, choć tylko przewracał mu książki, nie kupując żadnej. I miło było patrzeć na mego drogiego mistrza, jak siedział w głębi sklepu, z nosem wetkniętym w małe, świeżo przybyłe z Holandii edycje, i od czasu do czasu znad książek unosił głowę, aby ze swą bogatą i pogodną erudycją dyskutować o czym właśnie wypadło, czy to o planach monarchii powszechnej, które przypisywano zmarłemu królowi, czy to znów na przykład o miłośkach artystek z bankierami. Pan Blaizot, mały, szczupły staruszek w brązowym fraku i szarych wełnianych pończochach, nigdy nie miał dosyć jego dyskursów. Pan Blaizot budził we mnie podziw wielki; nie wystawiałem⁴⁹ sobie piękniejszego zajęcia na świecie, jak sprzedawać książki pod „Obrazem Świętej Katarzyny”.

Dla jednego jeszcze wspomnienia urok tajemniczy miała dla mnie księgarnia pana Blaizot. Tam to kiedyś, gdym był jeszcze bardzo młody, oglądałem po raz pierwszy nagą kobietę; widzę ją jeszcze. Była to postać Ewy w jakiejś ilustrowanej Biblii. Miała duży brzuch i trochę przykrótkie nogi; na tle niby krajobrazu holenderskiego rozmawiała z wężem. Właściciel tego obrazka wzbudzał we mnie poszanowanie, które zachowałem był i później, gdy dzięki księdzu Coignardowi nabrałem już wielkiego zamiłowania do książek.

Mając lat szesnaście, umiałem dosyć łaciny i trochę greki; mój zacny mistrz rzekł wówczas do mego ojca:

— Czy nie uważasz wasze, że nieprzystojnie jest zostawiać młodego cyceronczyka⁵⁰ w stroju kuchcika?

— Nie pomyślałem o tym — odpowiedział mój ojciec.

— To prawda — rzekła matka moja — należałoby sprawić naszemu synowi kurtkę sukienną. Jest przystojny, wykształcony, ma dobre wzięcie⁵¹, potrafi godnie znaleźć się w tym stroju.

Ojciec zamyślił się chwilę i zapytał wreszcie, czy stosowna to będzie rzecz, by kucharz nosił ubiór sukienny; ksiądz Coignard wytłumaczył mu, że skoro obecnie już stałem się wychowawcą Muz, nigdy nie zostanę już kucharzem i że niedaleką jest chwila, w której i mnie przypadnie pelerynka.

Ojciec mój westchnął na myśl, że już nie ja będę po nim chorążym w zgromadzeniu kucharzy paryskich, a zaś matka moja rozpromieniła się z radości i dumy, że syn jej będzie osobą duchowną.

Moja kurtka sukienna miała na mnie ten przede wszystkim wpływ, że nabrałem pewności siebie i postanowiłem wyrobić sobie o kobietach pojęcie dokładniejsze niż to, które miałem dawniej dzięki Ewie pana Blaizot. W tym celu przyszła mi zaraz na myśl Joasia harfiarka i Kasia koronczarka; widywałem je dwadzieścia razy na dzień, jak przechodziły mimo⁵² okien, a podczas deszczu, unosząc spodnie i skacząc z kamienia na kamień, pokazywały drobne stopy i zgrabne, cienkie w kostkach łydki.

Joasia była nie tak ładna jak Kasia, była też starsza i gorzej się ubierała. Była rodem z Sabaudii i nosiła, zwyczajem swego kraju, na głowie chusteczkę w kratki; miała ona jednak tę zaletę, że nie robiła ceregieli i nim mówić zaczęłaś, rozumiała, czego chcesz od niej. Takie postępowanie przypadało doskonale do mej nieśmiałości. Pewnego wieczora,

⁴⁹wystawiać sobie coś (daw.) — wyobrażać sobie coś. [przypis edytorski]

⁵⁰cyeronczyk — miłośnik dzieł i filozofii Cyserona, osoba wzorująca się na stylu i języku twórczości Cyserona; Cyseron, właśc. *Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.): wybitny mówca rzymski, filozof i pisarz, szczególnie popularny i ceniony przez humanistów od czasów odrodzenia. [przypis edytorski]

⁵¹wzięcie (daw.) — sposób bycia, zachowanie, maniery. [przypis edytorski]

⁵²mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

na jednej z kamiennych ławek zdobiących portyk kościoła Świętego Benedykta, nauczyła mnie tego, czego nie znałem dotąd, a co ona знаła już dawno. Nie byłem jej jednak tak wdzięczny, jakbym był powinien, i marzyłem tylko o tym, by z innymi, ładniejszymi, skorzystać z wiedzy, którą mi wszczepiła. Na moje usprawiedliwienie dodać muszę, że Joasia harfiarka nie większą niżli ja wagę do swego nauczycielstwa przywiązywała i że swych lekcji nie żałowała wszystkim łobuzom dzielnicy.

Kasia była powściągliwsza w obejściu, bałem się też jej i nie śmiałem jej powiedzieć, jak dla mnie jest piękna; jeszcze bardziej mieszało mnie to, że kpila ze mnie i dokuczała mi przy lada sposobności. Śmiała się ze mnie, że mi się jeszcze wąs nie sypnął; a ja na to piekłem raki⁵³ i rad byłbym skryć się pod ziemię, gdym ją spotykał. Przybierałem więc umyślnie smutną i ponurą minę, udawałem, że nią gardzę, ale była zbyt ładna, by ta pogarda mogła być szczera.

W noc ową, w noc Trzech Króli, a w dziewiętnastą rocznicę moich urodzin, podczas gdy deszcz zmieszany z śniegiem prószył z nieba i wilgocią przenikał do kości, a mroźny wiatr targał skrzypiącym szyldem „Królowej Gęsiej Nóżki” — na ognisku naszym przy jasnym płomieniu piekła się tłusta gęś, a my: pan Hieronim Coignard, ojciec i ja, siedzieliśmy już za stołem, białym obrusem nakrytym, z dymiącą wazą zupy pośrodku. Matka, swoim zwyczajem, stała za krzesłem pana domu, gotowa na jego usługi. Ojciec nalał właśnie talerz zupy księdzu, gdy drzwi skrzypnęły i na progu stanął brat Anioł, bardzo blady, z czerwonym nosem i z brodą ociekającą od deszczu. Ojciec mój ze zdziwienia podniósł łyżkę aż do zakopconych belek powały. Zdziwienie to było bardzo naturalne. Brat Anioł, który za pierwszym razem, po pobiciu kulawego nożownika, zniknął był na sześć miesięcy, tym razem przepadł bez wieści przez dwa lata. Wyruszył był na wiosnę z osłem objuczonym relikwiami, a co gorsza zabrał ze sobą Kasię, ubraną w suknie zakonne. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, ale przebąkiwano pod „Małym Bachusem”, że braciszek i siostra pomiędzy Tours a Orleanem mieli z oficjałem⁵⁴ coś do czynienia. Prócz tego zaś wikary od Świętego Benedykta krzyczał na całe gardło, że ten wisielec kapucyn skradł mu osła.

— Co?! — zawołał mój ojciec. — Ten łajdak nie siedzi w kajdanach?! Nie ma już sprawiedliwości w królestwie naszym.

Lecz brat Anioł odmawiał *Benedicite*⁵⁵ i robił znak krzyża nad wazą.

— Hola! — zawołał mój ojciec. — Dostyc tych min, piękny mnichu! Wyznaj, że z tych dwóch lat, w których nie widziano w parafii twej twarzy belzebubiej, przynajmniej rok przebyłeś w klasztorze w więzieniu. Ulica Świętego Jakuba zyskała na tym, była porządniejsza, cała dzielnica stała się bardziej godna szacunku. Patrzcie, co za piękny Olibrius⁵⁶, który uprowadza na lasy i łąki osła bliźniego swego i dziewczkę wszystkich!

— Zapewne — odparł brat Anioł, spuściwszy oczy i wsunąwszy ręce w rękawy habitu — zapewne, mości Leonardzie, mówisz o Katarzynie, którą szczęśliwie udało mi się nawrócić i nakłonić do cnotliwszego życia tak dalece, że zapragnęła towarzyszyć mi i moim relikwiom i odbyć ze mną piękne pielgrzymki, mianowicie pielgrzymkę do Najświętszej Panny Czarnej z Chartres. Przystałem na to pod warunkiem, że przywdzieje szaty zakonne, co też bez szemrania uczyniła.

— Milcz — odpowiedział mój ojciec. — Jesteś rozpustnik, nie masz szacunku dla twej sukni zakonnej. Wracaj tam, skądś tu przyszedł, a na ulicy zobacz tam z łaski swej, czy Królowa Gęsia Nóżka nie odmroziła czasem nosa.

Ale matka moja skinęła na braciszka, by usiadł pod okapem komina, co też ten powolnie uczynił.

— Trzeba wiele wybaczyć kapucynom — rzekł ksiądz — bo grzeszą oni bez złej myśli.

⁵³*piec raki* (daw.) — czerwienić się. [przypis edytorski]

⁵⁴*oficjał* (daw.) — przedstawiciel władzy; w Kościele katolickim: przewodniczący sądu biskupiego, sprawujący w imieniu biskupa kościelną władzę sądowniczą. [przypis edytorski]

⁵⁵*Benedicite* (łac.) — pobłogosławcie; pierwsze słowo i nazwa modlitwy łacińskiej odmawianej przed przystąpieniem do posiłku. [przypis edytorski]

⁵⁶*Olibrius* — legendarny okrutny namiestnik rzymski, więził, torturował i nakazał ściąć piękną św. Małgorzatę z Antiochii, która nie chciała go poślubić. [przypis edytorski]

Ale i księdza Coignarda ojciec poprosił, by już nie mówił o tym plemienu, na którego samo imię krew się w nim burzy.

— Mości Leonardzie — rzekł ksiądz — filozofia uczy nas pobłażania. Co do mnie, chętnie rozgrzeszam oszustów, nicponiów i wszelkiego rodzaju nędzarzy; nie mam zaś urazy nawet do ludzi porządnych, chociaż ich tryb postępowania świadczy o wielkiej arogancji. I gdybyś jak ja, mości Leonardzie, przebywał był w towarzystwie ludzi szanownych, przekonałbyś się, że nie są warci więcej od innych, a natomiast obcowanie z nimi jest nieraz daleko mniej przyjemne. Siadywałem za trzecim stołem u biskupa z Sééz i dwaj słudzy czarno odziani: Przymus i Nuda, nieodstępni byli przy mym boku.

— Trzeba przyznać — rzekła matka — że lokaje jego ekscelencji księdza biskupa dziwne mieli imiona. Czemuś nie dał im innych, więcej w użyciu będących imion na przykład Champagne, Olivius, Frontin?

Ksiądz ciągnął dalej:

— Co prawda, są osoby, łatwo umiejące się zastosować do niewygód połączonych z obcowaniem z wielkimi tego świata. Przy drugim stole biskupa z Sééz był bardzo uprzejmy kanonik, który do ostatniej chwili swego życia pozostał na stopie ceremonialnej. Dowiedziawszy się, że kanonik ów jest bardzo chory, ksiądz biskup odwiedził go i zastał konającego: „Niestety — rzecze kanonik — przepraszam waszą eminencję, że muszę umrzeć w jej obecności!” „Nic, to nic! Nie przeszkadzaj sobie” — odparł jego eminencja dobrotliwie.

W tej chwili matka wniosła pieczeń i postawiła ją przed ojcem z gestem tak pełnym godnego przejęcia się swym obowiązkiem, że ojciec, wzruszony, głośno, choć z pełnymi ustami, zawołał:

— Barbaro, jesteś świętą i zacną niewiastą!

— Istotnie — rzekł mój kochany mistrz — panią porównać można z cnotliwymi niewiastami z Pisma: oto małżonka podług przykazań Boskich.

— Dzięki Bogu — rzekła moja matka — nie zdradziłam nigdy wiary, którą zaprzysięgam Leonardowi Ménétrier, mojemu mężowi, i spodziewam się, że teraz, gdy już najtrudniejszy czas minął, pozostanę mu wierna aż do śmierci. Pragnęłabym, by on tak samo dochowywał mi wiary, jak ja to czynię.

— Od pierwszego spojrzenia — rzekł ksiądz — widziałem, że jesteś pani uczciwą kobietą, bo przy pani doświadczałem spokoju, który nie miał w sobie nic ziemskiego.

Matka moja była osobą prostą, lecz niegłupią; zrozumiała też dobrze, co miał ksiądz na myśli, i odrzekła, że przed dwudziestoma laty, zanim ogień z komina i dym z półmisków uszkodziły jej urodę, byłby ją widział zupełnie inną. A że była trochę dotknięta, dodała, że i teraz jeszcze niejednemu podobać się może, bo piekarz z Auneau zawsze częstuje ją ciastkami, ilekroć przechodzi przez jego piekarnię; zresztą najbrzydsza nawet, dziewczyna czy mężatka, potrafi robić źle, gdy zechce.

— Moja kobiecina ma rację — rzekł ojciec. — Przypominam sobie, gdym był czeladnikiem u kucharza pod „Królewską Gęsią”, obok bramy Świętego Dionizego, pryncypał⁵⁷ mój, wówczas chorąży zgromadzenia, jak dziś ja nim jestem, mawiał do mnie: „Już ja tam rogów mieć nie będę, żona moja za brzydka na to”. Te jego słowa zagrzały mnie, by zrobić to, co mu się wydawało tak niemożliwe. Pewnego rana, gdy wyjechał do La Vallée, udało mi się to za pierwszą próbą. Miał on rację; ta kobieta była istotnie bardzo brzydka, ale była dowcipna i wdzięczna.

Na to opowiadanie matka moja rozgniewała się na dobre i oświadczyła, że takich rzeczy ojciec rodziny wobec żony i syna opowiadać nie powinien, jeżeli chce szacunek ich zachować.

Ksiądz Hieronim Coignard, widząc, jak się aż zaczerwieniła ze złości, w dobrej myśli zręcznie odwrócił rozmowę. Zwracając się nagle do brata Anioła, który z dłońmi w rękawach pokornie siedział u ogniska, rzekł:

— Braciszku — rzekł — co to za relikwie woziliś na grzbiecie osła ze stajni drugiego wikarego, w towarzystwie siostry Katarzyny? Czy czasem nie własne spodnie dawałeś do

Ksiądz, Śmierć

⁵⁷pryncypał (daw.) — zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

ucalowania dewotkom, jak pewien franciszkanin, którego przygody opisał Henry Estienne⁵⁸?

— Ach, księżu dobrodzieju — odrzekł brat Anioł z miną męczennika cierpiącego za prawdę — nie były to moje spodnie, lecz stopa świętego Eustachego⁵⁹.

— Gdyby to nie było grzechem, byłbym przysiągł na to — rzekł ksiądz, wywijając udem kaczkę. — Ci kapucyni wynajdują świętych, o których uczeni autorowie znawcy historii kościelnej nie słyszeli nigdy. Ani Tillemont⁶⁰, ani Fleury⁶¹ nie wspominają o świętym Eustachym; bardzo niesłusznie wzniesiono w Paryżu kościół pod wezwaniem Świętego Eustachego, gdy jeszcze tylu świętych, uznanych przez poważnych autorów, dotąd na ten zaszczyt czeka. Żywot tego Eustachego jest stekiem śmiesznych baśni, tak samo jak życie świętej Katarzyny, która istniała jedynie w wyobraźni marnego bizantyjskiego mnicha. Nie chcę jednak zbyt napadać na świętą Katarzynę, bo jest ona patronką pisarzy i znajduje się na szyldzie sklepu pana Blazota, a sklep ten to miejsce najrozkoszniejsze na świecie.

— Miałem też — spokojnie ciągnął dalej braciszek — żebro świętej Marii Egipcjan-ki⁶².

— O co do tej, to uważam ją za bardzo świętą — rzekł ksiądz, ciskając ogryzioną kość w kąt pokoju. — Dała ona w życiu swym piękny przykład pokory. Wie pani — dodał, dotykając rękawą mojej matki — że święta Maria Egipcjanka w pielgrzymce do grobu Pańskiego napotkała głęboką rzekę, a nie mając pieniędzy na opłacenie przewozu, oddała przewoźnikom ciało swe jako zapłatę. Cóż waćpani na to?

Matka moja nie dowierzała najpierw całej tej historii, ale gdy ją zapewniono, że wydrukowano to w książkach i odmalowano na jednym z witraży w kościele w La Jussienne, uwierzyła wreszcie.

— Sądzę — rzekła — że trzeba być tak świętą jak ona była, by móc tak postąpić bez grzechu. Toteż nie odważyłabym się na to.

— Co do mnie — rzekł ksiądz — zgodnie z najsubtelniejszymi kazuistami⁶³, pochwalam postępek tej świętej. Jest to zarazem nauka dla uczciwych kobiet, które ze zbytnią pychą zamykają się w swej wyniosłej cnocie. Przesadnie oceniają one powaby ciała i starannie strzegą tego, czym gardzić należy; gdy się zastanowić, czuć w tym przecie pewien rodzaj zmysłowości. Spotykamy niewiasty, którym się zdaje, że mają w sobie skarb do przechowania, że ich osoba nade wszystko obchodzi Boga i aniołów; mają się one za jakiś naturalny sakrament święty. Święta Maria Egipcjanka osądziła tę rzecz lepiej. Piękna i ślicznie zbudowana, uważała jednak, że byłoby zbyt pychą zaniechać świętej pielgrzymki dla rzeczy, która sama przez się jest obojętna i jest raczej tylko miejscem umartwienia, nie zaś cennym klejnotem. Toteż umartwiła się, proszę pani, i tym czynem przedziwnej pokory wstąpiła na drogę pokuty, na której dzieł cudownych dokonała.

— Nie rozumiem was dobrze, księżu dobrodzieju, jesteście za uczeni dla mnie.

— Tę wielką świętą — rzekł brat Anioł — w naturalnej wielkości wymalowano w kaplicy mojego klasztoru; za łaską Boską całe ciało jej pokryte jest długim i gęstym włosiem. Przyniosę zacnej pani jej obrazek poświęcony.

⁵⁸Estienne, Henri (młodszy), łac. Stephanus (1531–1598) — francuski wydawca, wybitny hellenista i filolog z francuskiej rodziny drukarzy i wydawców; w 1566 opublikował łacińskie wydanie greckiego historyka Herodota z satyryczną apologią po francusku, pt. *Apologie pour Hérodote*, pokazującą, że niewiarygodne historie Herodota są porównywalne ze sprawdzalnymi, a równie osobliwymi faktami związanymi z chrześcijaństwem w czasach mu współczesnych; publikacja ta ściągnęła na niego prześladowania. [przypis edytorski]

⁵⁹Eustachy Rzymski — legendarny męczennik wczesnochrześcijański, znany jedynie ze średniowiecznej legendy; święty Kościoła katolickiego i prawosławnego. [przypis edytorski]

⁶⁰Tillemont, Louis-Sébastien Le Nain de (1637–1698) — francuski duchowny katolicki, autor 16-tomowej historii Kościoła w pierwszych stuleciach (*Mémoires pour servir à l'histoire ecclésiastique des six premiers siècles*). [przypis edytorski]

⁶¹Fleury, Claude (1640–1723) — francuski duchowny katolicki, autor 20-tomowej historii Kościoła (*Storia ecclesiastica*). [przypis edytorski]

⁶²Maria Egipcjanka (ok. 344–ok. 421) — prostytutka, która pod wpływem pielgrzymki do grobu Chrystusa przemieniła się w mieszkającą na pustyni pokutnicę; święta Kościoła katolickiego, prawosławnego i koptyjskiego. [przypis edytorski]

⁶³kazuista — człowiek stosujący *kazuistykę*: drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

Matka, wzruszona, za plecami ojca podsunęła braciszкови wazę. Siedząc dalej w po-
piele komina, braciszek zamilkł i wetknął brodę w rosół.

— Pora teraz — rzekł mój ojciec — by odkorkować butelkę dobrego wina, które
trzymam w zapasie na święta uroczyste, jak dzień Bożego Narodzenia, dzień Trzech Króli
i świętego Wawrzyńca. Nie masz nic przyjemniejszego jak wypić w spokoju szklankę
dobrego wina, u siebie w domu, z dala od natrętów.

Zaledwie wyrzekł te słowa, nagle otwarły się drzwi i w tumanie śniegu i wichru wysoki
człowiek w czerni wbiegł do gospody.

— Salamandra, salamandra! — zawołał. I na nikogo nie zważając, nachylił się nad
kominem i począł końcem kija swego grzebać w ognisku, z wielką krzywdą brata Anioła,
wraz z rosółem łykającego teraz popiół i węgielki i kaszłającego bez litości. A czarny mąż
dalej przebiegał w szczapach, wołając: — Salamandra, widzę salamandrę! — Światło po-
ruszanego ogniska rzuciło na powalę cień jego postaci, niby cień wielkiego drapieżnego
ptaka.

Ojciec mój był zdziwiony, a nawet dotknięty zachowaniem się tego gościa, ale umiał
zapanować nad sobą. Wstał więc, serwetę na ramię zarzucił i zbliżywszy się do ogniska
z dłońmi na biodrach, nachylił się nad nim. Gdy dostatecznie przyjrzał się zburzonemu
ognisku i kapucynowi osypanemu popiołem, rzekł:

— Niech mi wasza wielmożność wybaczy — rzekł — ja widzę tu tylko marnego
mnicha, a nie salamandrę. Nad tym nie boleję zresztą — dodał dalej — bo słyszałem, że
jest to brzydkie zwierzę, porosłe włosiem, z rogami i dużymi szponami.

— Co za wierutny fałsz! — odrzekł czarny pan. — Salamandry podobne są do kobiet,
a raczej do nimf⁶⁴, są przedziwnie piękne. Ale jakżeż mogę pytać się, czy widzisz sala-
mandrę? By ją móc ujrzeć, trzeba być filozofem, a filozofów nie ma chyba w tej kuchni.

— Otóż myli się waćpan — rzekł ksiądz Coignard — jestem doktorem teologii
i magistrem sztuk wyzwolonych⁶⁵. Studiowałem moralistów greckich i łacińskich, któ-
rych nauki umocniły mi ducha w przygodach życiowych, a głównie pisma Boecjusza były
mi lekiem na męki istnienia. A oto przy mnie Jacobus Rożenek, mój uczeń, który umie
na pamięć sentencje Publiusza Syrusa⁶⁶.

Nieznamy zwrócił na księdza oczy żółte, błyszczące nad nosem do orlego dzioba
podobnym, i z większą grzecznością, niż należało się spodziewać po jego ponurej minie,
począł przeproszać go, iż nie zauważył był od razu obecności ludzi uczonych.

— Niezmiernie prawdopodobne — rzekł — że salamandra ta przyszła tu dla pana lub
dla jego ucznia. Najwyraźniej widziałem ją z ulicy, gdym przechodził mimo tej gospody.
Byłoby ją teraz lepiej widać, gdyby ogień był silniejszy. Toteż trzeba żywo dąć w ognisko
i dorzucać ognia jeśli się przypuszcza, że salamandra jest właśnie w kominie.

Na pierwszy ruch nieznanego, skierowany znowu do ogniska, brat Anioł krajem
habitu zakrył wazę i zamknął oczy.

— Panie — ciągnął dalej poszukiwacz salamandry — pozwól twemu młodemu uczni-
owi zbliżyć się do komina; niech powie nam, czy nie widzi nad płomieniem konturów
kobiety.

W tej chwili dym wznoszący się pod okap komina zakręcił się ze szczególnym wdzię-
kiem, tak że umysł nieco naprężony mógł dopatrzeć w nim krąglizn i wypukłości, niby
piersi i bioder, toteż niezupełnie kłamałem był, mówiąc że istotnie coś niecoś dostrzegam.

Zaledwie to wyrzekłem, nieznamy swą niepomiarne długą ręką z taką siłą uderzył
mnie w ramię, że zdało mi się, jakoby złamał mi obojczyk.

— Mój chłopcze — rzekł łagodnym głosem, życzliwie patrząc na mnie — musiałem
ci dać tak silne wrażenie, byś nie zapomniał nigdy, żeś widział był salamandrę. Znaczy
to, iż przeznaczono ci, byś został uczniem, a może i magiem. Istotnie, i mina twoja
korzystnie mi świadczy o twych zdolnościach.

⁶⁴nimfy (mit. gr.) — boginki w postaci pięknych, młodych dziewcząt, otaczające opieką miejsca, które za-
mieszkiwały; np. najady: nimfy źródeł i rzek; driady: nimfy drzew i lasów; oready: nimfy gór i grot. [przypis
edytorski]

⁶⁵sztuki wyzwolone — łac. *artes liberales*, średniowieczne określenie programu nauczania akademickiego.
[przypis edytorski]

⁶⁶Publius Syrus, popr.: *Publilius Syrus* (I w. p.n.e.) — rzymski pisarz, znany jako autor zbioru kilkuset sen-
tencji (*Sententiae*). [przypis edytorski]

— Wielmożny panie — rzekła matka moja — on może nauczyć się wszystkiego, co zechce. Może zostanie księdzem, jeżeli taka będzie łaska Boska.

Ksiądz Hieronim Coignard dodał, że skorzystałem nieco z jego nauk, a ojciec zapytał, czy jasnie wielmożny pan nie chce nic jeść.

— Nie odczuwam najmniejszej potrzeby jedzenia — rzekł nieznamy — mogę łatwo przez rok i dłużej nie jeść nic, zażywając za to eliksiru, którego skład znany jest tylko filozofom. Jest to zdolność właściwa nie tylko mnie samemu, jest ona udziałem wszystkich mędrców i wiadomo, że słynny Cardan⁶⁷ kilka lat nie jadł był wcale bez najmniejszego szwanku dla zdrowia, przeciwnie, umysł jego w tym czasie nabył szczególnej żywości. Jednak by zrobić wam przyjemność, zjem, co mi tu podacie.

I bez ceremonii zasiadł za naszym stołem, do którego i brat Anioł — wstawiwszy swój zydel pomiędzy krzesło moje i mego nauczyciela — po cichu się przysunął, by nie stracić swojej części pasztetu z kuropatw, który matka właśnie na stół wniosła.

Filozof rzucił płaszcz na poręcz krzesła i zobaczyliśmy wtedy, że miał brylantowe guziki przy ubraniu. Siedział nadal zatopiony w myślach, cień nosa zakrywał mu usta, a policzki tak miał zapadłe, że dokładnie odznaczały się szczęki. Ponure jego usposobienie udzielać się poczęło całemu towarzystwu, nawet mój drogi mistrz pił w milczeniu i slychać tylko było brata Anioła, żującego swój pasztet. Nagle filozof rzekł:

— Im bardziej zastanawiam się, tym bardziej jestem przekonany, że salamandra przyszła tu dla tego młodego chłopca — tu wskazał na mnie końcem swego noża.

— Jeżeli salamandry są rzeczywiście takie, jak pan nam zaręcza — odrzekłem na to — to przybycie jej tu jest dla mnie nie lada zaszczytem, za com mocno jej zobowiązany; lecz, prawdę mówiąc, odgadłem ją raczej, niż widziałem, i to pierwsze spotkanie, nie zaspokoilo mej ciekawości, lecz tylko ją podnieciło.

Mego kochanego mistrza dławilo milczenie, więc nagle wybuchając, głośno się odezwał:

— Mości panie, mam lat pięćdziesiąt jeden, jestem licencjatem sztuk i doktorem teologii, przestudiowałem wszystkich autorów greckich i łacińskich, których nie zniszczył czas i złość ludzka, a w żadnym z nich nie ma wzmianki o salamandrach, skąd wedle praw rozumu wnoszę, że nie istnieją wcale.

— Przepraszam — rzekł brat Anioł głosem zdławionym od pasztetu i ze strachu zároveň — przepraszam bardzo, salamandry istnieją niestety, a pewien jezuita, którego nazwiska zapomniałem, opisuje nawet, jak się pojawiają. Ja sam, w miejscowości zwanej Saint-Claude, u pewnego wieśniaka widziałem salamandrę w kominie, tuż przy kociołku z jedzeniem. Miała głowę kocią, tułów ropuchy, a ogon rybi; pokropiłem ją wodą święconą i bestia ta znikła natychmiast, sycząc niby lój smażony i wydając dym ostry, który mi prawie wygryzł oczy. To, co mówię, jest tak dalece prawdziwe, że przez tydzień brodę moją czuć było spalenizną, co jest już najlepszym dowodem złośliwości tej bestii.

— Kpisz z nas braciszku — rzekł ksiądz — twoja ropucha z kocią głową jest tak samo prawdziwa jak nimfa tego tu pana. Ale co gorzej, bajda twoja jest jeszcze na domiar obrzydliwa.

Filozof zaśmiał się:

— Brat Anioł — rzekł — nie mógł widzieć salamandry mędrców. Gdy nimfa ognia spotka kapucyna, odwraca się doń plecami.

— Ho! ho! — rzekł, głośno śmiejąc się, mój ojciec. — Plecy nimfy to jeszcze za dobre dla kapucyna. — A że był w dobrym humorze, jeszcze duży kawał pasztetu dał braciszкови.

Matka postawiła pieczen na środku stołu i skorzystała z tej sposobności, by zapytać, czy salamandry są dobrymi chrześcijankami, gdyż miała ona co do tego wątpliwości, nie słyszała bowiem nigdy, by mieszkańcy ognia wielbili Pana.

— Pani — rzekł ksiądz — kilku teologów ze Zgromadzenia Jezusowego uznaje istnienie różnych licznych inkubów i sukubów⁶⁸, którzy nie są, ściśle wzięwszy, czartami, bo nie pierzchają przed święconą wodą, nie należą jednak do Kościoła triumfującego, bo duchy jasne nie próbowałyby uwieść żony piekarza, jak się to zdarzyło w Peruzie. Ale

⁶⁷Cardano, Geronimo (1501–1576) — włoski matematyk, lekarz, filozof i astrolog. [przypis edytorski]

⁶⁸inkuby i sukuby — uwodzicielskie demony, odpowiednio płci męskiej i żeńskiej. [przypis edytorski]

jeśli wolno rzec moje zdanie, są to wszystko raczej nieczyste fantazje mnichów niż zapartywania godne uczonego teologa. Trzeba gardzić tymi śmiesznymi bajkami o diabłach i żałować tylko, że synowie Kościoła, zrodzeni w jasności wiary, czynią sobie o Bogu i świecie pojęcie mniej wzniosłe od tego, które mieli taki Platon⁶⁹ lub Cynceron⁷⁰ żyjący w ciemności pogaństwa. Śmiem twierdzić, że Bóg bardziej jest obecny w *Śnie Scypiona*⁷¹ niż w ciemnych dziełach demonologii, których autorowie mienia się chrześcijanami i katolikami.

— Strzeż się, ksiądz jegomość — rzekł filozof — twój Cynceron mówił dużo i łatwo, ale był to umysł banalny i w naukach świętych mało oświecony! Czy ksiądz słyszał co kiedy o Hermesie Trismegistosie⁷² i *Tablicy szmaragdowej*⁷³?

— Panie — rzekł ksiądz — bardzo stary rękopis *Tablicy szmaragdowej* znalazłem niegdyś w bibliotece biskupa z Séez i byłbym go kiedyś niewątpliwie odczytał, gdyby nie pokojówka pani starościny, która jadąc do Paryża szukać szczęścia, zabrała mnie z sobą do kolaski⁷⁴. Nie było w tym zgoła czarnoksięstwa, mości filozofie; poszedłem wyłącznie za jej wdziękami przyrodzonymi:

*Non facit hoc verbis; facie tenerisque lacertis
Devovet et flavis nostra puella comis*⁷⁵.

— Nowy to dowód — rzekł filozof — że kobiety są wielkimi nieprzyjaciółkami wiedzy. Toteż mędrzec winien wystrzegać się wszelkich z nimi stosunków.

— Nawet w prawowitym małżeństwie? — zapytał ojciec.

— Zwłaszcza w legalnym małżeństwie — odrzekł filozof.

— Niestety — dodał mój ojciec — cóż więc pozostaje tym biednym mędrcom, gdy mają ochotę pośmiać i poweselić się trochę?

Filozof rzekł:

— Pozostają im salamandry.

Na te słowa brat Anioł podniósł znad talerza twarz przerażoną:

— Nie mów tak, mój dobry panie — mruzczał — w imię wszystkich świętych mego zakonu, nie mów tak! Pamiętaj, że salamandra jest tylko czartem, który przybiera różne postaci, szpetne, jeżeli chce się przedstawić tym, czym jest, powabne, gdy pragnie utaić swoją istotę.

— Strzeż się ty, braciszku — rzekł filozof — i jeżeli boisz się diabła, nie sierdź go i nie podniecaj przeciwko sobie niebacznyimi słowy. Wiesz przecie, że stary Buntownik, wielki Duch Przeczenia, zachował w świecie duchowym taką potęgę, iż Bóg nawet się z nim liczy. Powiem więcej: Bóg, co się go lękał, zrobił go swoim faktorem⁷⁶. Strzeż się, braciszku, ci dwaj są już ze sobą w porozumieniu.

⁶⁹Platon (427–347 p.n.e.) — filozof grecki, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa. [przypis edytorski]

⁷⁰Cynceron, właśc. *Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.) — wybitny mówca rzymski, filozof i pisarz. [przypis edytorski]

⁷¹*Sen Scypiona* — opowiadanie w VI księdze dzieła Cyncerona *O państwie* (*De re publica*), o wizji sennej wodza Scypiona Afrykańskiego, ukazujące Ziemię z kosmicznej perspektywy, ze sferami planet, sferą gwiazd i obejmującą je wszystkie najwyższą sferą wszechświata zamieszkiwaną przez Boga Najwyższego; *Sen Scypiona* wywarł znaczny wpływ na europejską literaturę, kulturę i naukę. [przypis edytorski]

⁷²*Hermes Trismegistos* (gr.: Hermes Po Trzykroć Wielki) — legendarna postać hellenistyczna, łącząca cechy greckiego boga Hermesa i egipskiego Thota, wcielająca ideę harmonijnej symbiozy religii, nauki i sztuki, a także mądrości i mistyki; patron wiedzy tajemnej (czyli tzw. hermetycznej), astrologii i alchemii; przypisywano mu autorstwo kilkunastu traktatów (*Hermetica*), niezmiernie cenionych przez średniowiecznych i renesansowych islamskich i europejskich alchemików, astrologów, adeptów nauk okultystycznych i ezoterycznych. [przypis edytorski]

⁷³*Tablica szmaragdowa* (łac. *Tabula Smaragdina*) — krótki tekst hermetyczny, którego autorstwo przypisywano Hermesowi Trismegistosowi; wysoko ceniony przez średniowiecznych alchemików islamskich i europejskich jako podstawowy w ich sztuce: wierzono, że zawiera tajemnicę uzyskania kamienia filozoficznego (substancji umożliwiającej przekształcanie metali nieszlachetnych w szlachetne: złoto lub srebro). [przypis edytorski]

⁷⁴kolasa — karetka, powóz. [przypis edytorski]

⁷⁵*Non facit hoc verbis...* (łac.) — Nie sprawiła tego słowami; twarzą, giętkimi ramionami i płowymi włosami czaruje nasza dziewczyna (Tibullus, *Elegie*, ks. I, V). [przypis edytorski]

⁷⁶faktor (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]

Kapucynowi słuchającemu tej przemowy zdało się, że słyszy i widzi czarta we własnej osobie, zwłaszcza że nieznamy ze swymi ognistymi oczami, haczykowatym nosem, ciemną cerą i chudą długą postacią miał z diabłem pewne podobieństwo. Dusza kapucyna, już przedtem zdziwiona, teraz pograżyła się w świętej trwodze; czuł już na sobie szpony Złego Ducha, zaczął trząść się całym ciałem. Zgarnawszy, co się dało, smacznych kęsków do kieszeni, wstał z wolna i rakiem idąc, wymknął się wreszcie, szepcząc po cichu egzorcyzmy.

Filozof nie zwrócił na to uwagi, wyjął z kieszeni ubrania małą, w stary pergamin oprawną książkę i otworzył ją, podsunął mnie i memu kochanemu mistrzowi. Był to stary tekst grecki, tak pełen skrótów i ligatur⁷⁷, że zdawał mi się raczej zbiorem znaków czarnoksięskich; ale książd Coignard, założywszy na nos okulary i trzymając książkę w należytej dla swego wzroku odległości, z łatwością zaczął odczytywać te litery, podobniejsze do spletanego motka nici niż do liter prostych i spokojnych mojej edycji świętego Jana Chryzostoma⁷⁸, na której uczyłem się języka Ewangelii i Platona.

Gdy skończył czytać, mój mistrz rzekł:

— Ten ustęp tak przełożyć należy, mości panie: „Wyształceni Egipcjanie najpierw uczą się liter zwanych epistolograficznymi, następnie liter hieratycznych, którymi pisane są hierogramaty, w końcu zaś hieroglifów”. — I zdejmując okulary, rzekł triumfująco: — Tak, tak mości filozofie, nie brać starego wróbla na plewy. Jest to ustęp z piątej księgi *Stromatów*, których autor, Klemens Aleksandryjski⁷⁹, nie jest na liście świętych męczenników, z przyczyn uczenie przez papieża Benedykta XI⁸⁰ wykazanych, a z których najważniejszą była ta, że ojciec ten błędził nieraz w rzeczach wiary. Niełaska ta musi mu być obojętna, zważywszy filozoficzny wstręt do męczeństwa, jakim odznaczał się za życia. Nad męczeństwo wołał wygnanie i tak to swym prześladowcom starannie oszczędził zbrodni; był to bowiem bardzo zacny człowiek. Umysł miał żywy, obyczaje czyste, a nawet surowe, pisał wytwornie, lubił bardzo alegorie i sałatę.

Filozof wyciągnął rękę, by odebrać książkę memu uczonemu mistrzowi. Mnie zdało się, że ręka ta wydłużyła się niepomiarownie i sięga sama na drugi koniec stołu.

— Dość — rzekł filozof, chowając *Stromaty* Klemensa Aleksandryjskiego do kieszeni — dość, widzę że znasz książd grekę i że dobrze przełożyłeś ten ustęp co do jego znaczenia dosłownego i pospolitego. Zapewnię los twój i los twego młodego ucznia; powierzę wam obu tłumaczenie tekstów greckich, które otrzymałem z Egiptu.

I zwracając się do mego ojca, dodał:

— Spodziewam się, mości kucharzu, że powierzysz mi twego syna, bym go wykierował na uczonego i porządnego człowieka. Gdyby miało to być zbyt wielką ofiarą dla twej miłości ojcowskiej, gotów jestem z własnej kieszeni opłacić kuchcika, który go zastąpi.

— W takim razie nie będę przeszkadzał waszej wielmożności być dobroczyńcą mego syna.

— Pod warunkiem — dodała matka — że nie będzie to z krzywdą jego duszy. Przysięgnij mi pan, że jesteś dobrym chrześcijaninem.

— Barbaro — rzekł ojciec — jesteś święta i zacna niewiasta, ale zmuszasz mnie do przeproszania jego wielmożności za twą niegrzeczność, która nie jest wynikiem twego charakteru, ten bowiem masz doskonały, lecz zaniedbanej twojej edukacji.

— Dajcie mówić tej dobrej kobiecie — rzekł filozof — niechaj będzie spokojna, jestem człowiekiem bardzo religijnym.

— Tak, to doskonale! — rzekła matka. — Trzeba wielbić święte imię Pańskie.

⁷⁷ligatura — znak graficzny będący połączeniem dwóch lub trzech liter (np. łac. *Æ* zamiast *AE*). [przypis edytorski]

⁷⁸Jan Chryzostom, czyli Złotousty (ok. 350–407) — biskup Konstantynopola, pisarz i słynny kaznodzieja, teolog; święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

⁷⁹Klemens Aleksandryjski (150–215) — grecki filozof i teolog wczesnochrześcijański, nauczyciel Orygenesesa, jeden z tzw. ojców Kościoła; w 1586 został usunięty z list świętych katolickich przez papieża Klemensa VIII, zaś Benedykt XIV podtrzymał decyzję swojego poprzednika; teologia Klemensa wykazywała bardzo silne wpływy filozofii hellenistycznej, gł. platońskiej i stoickiej: za właściwe odczytywanie Biblii uważał interpretację symboliczną i mistyczną, z zastosowaniem koncepcji platońskich; był autorem zbioru *Stromata* (*Kobierce*); podczas prześladowań chrześcijan za panowania Septymiusza Sewera opuścił Aleksandrię. [przypis edytorski]

⁸⁰Klemens Aleksandryjski, nie jest na liście świętych męczenników, z przyczyn uczenie przez papieża Benedykta XI wykazanych — zastrzeżenia wobec Klemensa sformułował nie papież Benedykt XI (1240–1304), lecz Benedykt XIV (1675–1758). [przypis edytorski]

— Wielbię, moja pani, wszystkie jego imiona, ma ich bowiem wiele. Nazywa się Adonai⁸¹, Tetragrammaton⁸², Jehowa⁸³, Otheos, Athanatos, Schyros⁸⁴ i tak dalej, i tak dalej.

— Nie wiedziałam o tym — rzekła matka moja — ale to, co wielmożny pan mówi, nie dziwi mnie zgoła, zauważyłam bowiem, że osoby wysoko postawione mają więcej imion niż osoby niższej kondycji. Pochodzę z miasteczka Auneau, w bliskości Chartres, i byłam jeszcze bardzo mała, gdy zszedł z tego świata dziedzic tamtych włości, ale pamiętam dobrze, że herold, który zgon ten obwieszczał, wymieniał bodaj tyle imion, ile jest świętych w litanii. Wierzę łącno⁸⁵, że Bóg więcej ma imion niż dziedzic z Auneau, bo kondycji jest jeszcze wyższej. Ludzie uczeni są bardzo szczęśliwi, skoro znają te imiona, i jeżeli pan nauczy mego syna Jakuba, że znać je będzie także, będę mu za to niezmiernie obowiązana.

— Sprawa ubita zatem — rzekł filozof — a i pan, mości księżu, chętnie zapewne zgodzisz się tłumaczyć z greki, za wynagrodzeniem, oczywiście.

Mój drogi mistrz, którego myśli plątać się już dobrze poczynają pod wpływem sutej libacji, nalał sobie jeszcze czarkę wina i podniósłszy się z miejsca, rzekł:

— Mości filozofie, chętnie przyjmuję twą szlachetną propozycję. Wspaniałym jesteś śmiertelnikiem i zaszczytem będzie to dla mnie do ciebie należeć. Dwa sprzęty cenię nad wszystko; zwą się: stół i łóżko. Stół — bo nań przychodzą kolejno księgi uczone i potrawy wytworne, jest więc on filarem dla pokarmu cielesnego i duchowego; łóżko zaś — bo służy ku spoczynkowi miłemu, jako też zarówno gwoli⁸⁶ srogiej miłości. Synów Deukaliona⁸⁷ łóżkiem i stołem boski bez wątpienia obdarzył był człowiek i jeżeli znajdę u waszej miłości te dwa cenne sprzęty, będę imię twoje jako imię mego dobroczyńcy wielbił w greckich i lacińskich rytmach rozmaitych.

To rzekłszy, wychylił porządny łyk wina.

— A zatem zgoda — powiedział filozof. — Czekam was obu u mnie jutro rano. Pójdziecie drogą ku Saint-Germain aż do Krzyża des Sablons. Od stóp krzyża ku zachodowi odmierzycie sto kroków, a napotkacie zieloną furtkę w murze ogrodowym. Zastukacie tam kołatką wyobrażającą zawołowaną postać z palcem na ustach; starego służącego, który wam otworzy, zapytacie o pana d'Astarac.

— Synu — rzekł mój drogi mistrz, ciągnąc mnie za rękaw — uporządkuj to wszystko w twej głowie: ów krzyż, kołatkę *et caetera*⁸⁸, abyśmy mogli jutro odnaleźć te drzwi błogosławione. A wy, łaskawy Mecenase⁸⁹...

Ale filozof znikł był już tymczasem, tak że nikt wyjścia jego nie zauważył.

Nazajutrz wczesnym rankiem mistrz mój i ja maszerowaliśmy drogą ku Saint-Germain. Droga była pusta, niebo rudawe, pochmurne, śnieg pokrywał ziemię, wkoło cicho było i głucho. Szliśmy po szerokich wyżłobionych śladach kół pomiędzy murami ogrodów warzywnych, między walącymi się parkanami i niskimi domkami, których małe okna zezem na nas patrzyły. Minąwszy dwie czy trzy z gliny i słomy ubite, na pół rozwa-

⁸¹*Adonai* a. *Adonaj* (hebr.) — Pan; określenie biblijnego Boga z powodów religijnych używane w judaizmie zamiast właściwego imienia: Jahwe. [przypis edytorski]

⁸²*tetragrammaton* (gr.) a. *tetragram* (gr.: czteroliterowiec) — określenie imienia własnego Boga w Biblii, zapisywanego czterema literami hebrajskimi: JWHH; etymologia i pierwotna wymowa tetragramu jest nieznana, współcześnie na ogół przyjmuje się formę *Jahwe*. [przypis edytorski]

⁸³*Jehowa* — dziś częściej: Jahwe, imię własne Boga żydów i chrześcijan. [przypis edytorski]

⁸⁴*Otheos, Athanatos, Schyros* — znieksz. greckie określenia Boga z chrześcijańskiego hymnu *Trisagion* (z gr. *trisagios*: trzykroć święty): *Agios* o Theos, *agios* ischyros, *agios* athanatos: Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny. [przypis edytorski]

⁸⁵*łącno* (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

⁸⁶*gwoli* (daw.) — dla, w celu. [przypis edytorski]

⁸⁷*Deukalion* (mit. gr.) — syn Prometeusza i Pandory; Deukalion i jego żona Pyrra byli jedynymi ludźmi ocalałymi z zesłanego przez Zeusa potopu; odrodzili ludzkość, rzucając za siebie kamienie, które stawały się ludźmi. [przypis edytorski]

⁸⁸*et caetera* (łac.) — i tak dalej. [przypis edytorski]

⁸⁹*Mecenas*, właśc. *Gajusz Cilnius Mecenas* (70 p.n.e.–8 n.e.) — rzymski polityk i pisarz, doradca i przyjaciel Oktawiana Augusta; opiekun i protektor najślawniejszych poetów rzymskich: Horacego, Owidiusza, Wergiliusza; jego nazwisko stało się synonimem patrona sztuki, literatury lub nauki. [przypis edytorski]

lone lepianki, ujrzelśmy na tej rozpaczliwej równinie wznoszący się Krzyż des Sablons. O pięćdziesiąt kroków dalej rozpoczynał się obszerny park, otoczony na pół rozsypa-
nym murem. W murze tym była istotnie zielona furtka z młoteczkim wyobrażającym
szkaradną postać z palcem na ustach; łatwo poznaliśmy, że stosownie do zleceń filozofa
jesteśmy u celu naszej drogi; pociągnęliśmy za rękojeść. Dość długo czekaliśmy, zanim
zjawił się stary służący i skinieniem dał nam poznać, że mamy iść za nim. Szliśmy przez
duży opuszczony park; posągi nimf, pamiętające jeszcze młode lata śp. króla nieboszczy-
ka, kryły pod bluszczem smutek swój i rany, na końcu długiej alei, śniegiem pokrytej,
wznosił się ponury zamek z kamienia i cegły, z wysokim a krzywym dachem z glinianych
dachówek; zdał on się mi z dala niby zamek Śpiącej Królowy.

Gdy tak szliśmy wciąż za milczącym naszym przewodnikiem, ksiądz szepnął mi do
ucha:

— Przyznam ci się, synu, że domostwo to wcale mi się nie uśmiecha; świadczy
o szorstkości obyczajów francuskich za czasów Henryka IV⁹⁰. Przez zaniedbanie i opu-
szczenie swoje smutek, a nawet melancholię sączy ono w duszę. O ile rozkoszniej byłoby
wstępować na czarowne wzgórza tuskulańskie⁹¹ z nadzieją, że usłyszymy tam, jak Cyceron
w cieniu pinii i cyprysów okalających tę willę, tak drogą filozofom, rozprawia o cnocie.

Czyż nie zauważyłeś też, synu, że na całej tej drodze nie ma ani karczmy, ani jakiego
bądź zajazdu? By wypić szklankę świeżego wina, trzeba będzie przechodzić most i iść
wzdłuż wybrzeża aż do placu des Bergères. Tam to bowiem na pewno znajduje się oberża
pod „Czerwonym Koniem”, gdzie — pamiętam dobrze — jadłem raz obiad z panią de
Saint-Ernest, z jej małpą i jej kochankiem. Nie masz pojęcia, Rożenku, jak tam świetnie
się jada. „Czerwony Koń” słynie nie tylko z obiadów podawanych tam o wczesnej porze,
ale też z licznych i dobrych koni i powozów, które tam wynająć można. Przekonałem
się o tym, gdym się uganiał w stajni za pewną służącą, która wydawała mi się ładna.
Ładna nie była ona jednak wcale; słuszniej nawet można by ją było nazwać brzydką;
ja to, synku mój, krasilem⁹² ją w ogniu swych pożądań. Taki bo już jest los człowieka
zdanego samemu sobie; błądzimy nędznie, jesteśmy ofiarami złudnych obrazów, gonimy
za marami i chwytamy cienie; w Bogu tylko jest prawda i stałość.

Tymczasem za starym sługą wchodziliśmy po rozłazących się stopniach schodów ta-
rasu.

— Niestety — rzekł ksiądz — zaczynam żalować gospody pana ojca twego, gdzie
komentując Kwintyliana⁹³, smacznie zajadaliśmy kąski.

Wszedłszy na pierwsze piętro po szerokich schodach kamiennych, zostaliśmy wpro-
wadzeni do salonu, gdzie pan Astarac, siedząc przy ogniu, zajęty był pisaniem wśród
opartych o ściany egipskich trumien, mających kształt ludzki, z wiekami malowanymi
w święte godła i złożonymi obliczami o podłużnych, błyszczących oczach.

Pan Astarac grzecznie prosił nas, byśmy zasiedli.

— Czekałem na was, moi panowie, a skoro chcecie mi wyświadczyć tę grzeczność
i być na moje usługi, proszę was, abyście dom mój za własny odtąd uważali. Będziecie tu
tłumaczyli rękopisy greckie, które przywiozłem był z Egiptu. Nie wątpię, że z zapalem
zabierzecie się do tej pracy, skoro wiecie, że pomogą one dziełu, którego pragnę doko-
nać, a którego celem jest odnaleźć utraconą wiedzę, przez którą człowiek odzyska swą
pierwotną nad żywiołami potęgę. Nie mam wcale zamiaru już dziś odsłonić przed wami
zasłon przyrody i ukazać wam Izydę⁹⁴ w całej jej olśniewającej nagości, ale mogę mimo
to zawrzeć wam przedmiot mych studiów, nie lękając się, byście zdradzili me tajem-
nice. Poręcza mi to uczciwość wasza oraz władza, którą mam, by odgadywać i uprzedzać
wszystko, co można by przeciw mnie przedsięwziąć, a siły tajemne i okrutne są na usługi
mej zemsty.

⁹⁰Henryk IV (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii
Burbonów. [przypis edytorski]

⁹¹wzgórza tuskulańskie — w swej posiadłości w Tusculum w środkowej Italii Cyceron napisał swoje najslyn-
niejsze dzieło filozoficzne: *Rozmowy tuskulańskie*. [przypis edytorski]

⁹²krasić (poet.) — zdobić, upiększać. [przypis edytorski]

⁹³Kwintylijan, właśc. *Marcus Fabius Quintilianus* (ok. 35–ok. 95) — rzymski retor, wybitny pedagog w dzie-
dzinie teorii wymowy; autor m.in. dzieła w 12 księgach *Kształcenie mówcy*, odnalezione i rozpropagowanego
w epoce odrodzenia. [przypis edytorski]

⁹⁴Izyda (mit. egip.) — bogini płodności, patronka macierzyństwa, rodziny, sztuki i magii. [przypis edytorski]

Lepiej niż wierność wasza, o której nie wątpię zresztą, potęga moja zapewnia mi wasze milczenie i nic nie ryzykuję, zwracając się przed wami. Wiedźcie więc, że człowiek wyszedł był z rąk Jehowy obdarzony wiedzą doskonałą, którą utracił później; w chwili narodzin swych był bardzo potężny i mądry. Wynika to z ksiąg Mojżesza⁹⁵, należy tylko dobrze je rozumieć. Przede wszystkim, jasne jest, że Jehowa, skoro on właśnie świat stworzył, nie jest Bogiem, lecz tylko potężnym demonem. Pojęcie o Bogu, który ma być jednocześnie Stwórcą i Doskonałością, jest tylko germańską marą, godną barbarzyńskiego Saksona lub Welsza. Kto ma chociaż cokolwiek umysł oświecony, nie zdoła przypuścić, by istota doskonała choćby ziarno do swej doskonałości dodać jeszcze mogła. To jasne jest natychmiast. Bogu brak pojęć, bo cóż mógłby on pojmować, skoro sam jest nieskończonością. Nie stwarza on nic, bo nie ma dlań czasu ani przestrzeni, tych warunków niezbędnych w każdej budowie. Mojżesz był zbyt dobrym filozofem, by mógł nauczać, jakoby Bóg świat stworzył. Mojżesz miał Jehowę za to, czym jest on w istocie: za potężnego demona lub, jeśli go nazwiemy właściwym imieniem — za Demiurga⁹⁶. Tak więc Jehowa, stworzywszy człowieka, dał mu poznać świat widzialny i niewidzialny. Upadek Adama i Ewy, co wam innym razem wytłumaczę, nie zupełnie pozbawił ich tego poznania, wiedzy swej udzielili oni swemu potomstwu.

Te nauki, od których zależy panowanie nad przyrodą, spisane są w księdze Enocha⁹⁷. Kapłani egipscy zachowali jej tradycję i tajemniczymi znakami utwierdzili ją na murach swych świątyń i w trumnach swych zmarłych. Mojżesz, wychowany wśród świątyń Memfis⁹⁸, był jednym z wtajemniczonych. Jego księgi, w liczbie pięciu, a nawet sześciu, to arki kosztowne, zawierające skarby wiedzy boskiej. Tam odnajdujemy najpiękniejsze tajemnice, jeżeli odrzucimy późniejsze wstawki i wzgardzimy ich znaczeniem dosłownym, poziomym⁹⁹, a natomiast, jak mi się to w części udało, poszukiwać będziemy subtelniejszej treści w nich zawartej. Te w świątyniach egipskich dziewiczo przechowywane prawdy przedostały się do mędrców aleksandryjskich¹⁰⁰; ci wzbogacili i uwieńczyli je jeszcze całym skarbem przekazanym Grecji przez Pitagorasa¹⁰¹ i jego uczniów, którzy z duchami powietrza obcowali niegdyś swobodnie. Należy więc zbadać księgi hebrajskie, hieroglify egipskie, dalej traktaty gnostyków¹⁰² greckich, tak zwanych przez to właśnie, że udziałem ich było istotnie poznanie. Zachowałem dla siebie, jak słuszna, część najtrudniejszą tej ogromnej pracy. Pracuję nad odczytaniem hieroglifów¹⁰³, które Egipcjanie kreślili

⁹⁵*Księgi Mojżesza* — pierwsze pięć ksiąg *Biblii*, opowiadających najważniejsze wydarzenia z pradawnych czasów i historię patriarchów narodu żydowskiego aż do wyjścia z Egiptu pod wodzą Mojżesza i początku podboju Kanaanu, tradycyjnie nazywa się Księgami Mojżeszowymi; ich autorstwo tradycja przypisywała Mojżeszowi. [przypis edytorski]

⁹⁶*demiurg* (z gr.) — w niektórych systemach filozoficzno-religijnych: stwórca świata materialnego, który nie jest jednak tożsamy z najwyższym bogiem; postać demiurga pełniła ważną rolę w gnostycyzmie, hermetycyzmie i tradycji ezoterycznej. [przypis edytorski]

⁹⁷*Księga Enocha*, dziś: *Pierwsza Księga Henocha* — starożytna żydowska księga religijna, napisana rzekomo przez Henocha, biblijnego patriarchę sprzed potopu; opisuje m.in. upadek aniołów, pochodzenie demonów, wędrówkę Henocha po szeolu i niebie, zjawiska astronomiczne, czasy ostateczne; Księga Henocha była popularna w judaizmie i chrześcijaństwie starożytnym, została włączona do etiopskiego kanonu biblijnego. [przypis edytorski]

⁹⁸*Memfis* — jedno z najważniejszych miast staroż. Egiptu, położone na granicy delty i doliny Nilu; wg tradycji założone przez pierwszego władcę zjednoczonego Egiptu, stolica kraju w epoce Starego Państwa. [przypis edytorski]

⁹⁹*poziomy* (daw.) — przyziemny, pospolity. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*mędrców aleksandryjskich* — badaczy pracujących w założonej w III w. p.n.e. placówce naukowej w egipskiej Aleksandrii, która stała się głównym ośrodkiem greckiej myśli naukowej, finansowanym przez hellenistycznych władców Egiptu, następnie przez cesarzy rzymskich; uczeni mieli do dyspozycji wielkie zbiory Biblioteki Aleksandryjskiej, obserwatorium astronomiczne, ogród botaniczny i zoologiczny. [przypis edytorski]

¹⁰¹*Pitagoras* (ok. 570–495 p.n.e.) — grecki matematyk, filozof i domniemany założyciel ruchu filozoficzno-religijnego i naukowego zwanego pitagoreizmem, powstałego pod znacznym wpływem matematyki i mistycyzmu; pitagoreizm wniósł wielki wkład do nauki staroż., zwłaszcza w zakresie matematyki, astronomii oraz teorii muzyki, wywarł również wpływ na filozofię Platona. [przypis edytorski]

¹⁰²*gnostycy* — wyznawcy gnostycyzmu (z gr. *gnosis*: poznanie), prądu religijno-filozoficznego kwitującego w II–III w., gł. w Egipcie i Syrii, który łączył idee hellenistycznego platonizmu z elementami ze źródeł chrześcijańskich i żydowskich; gnostyków cechował mistycyzm i silny dualizm: przekonanie o tym, że człowiek jako istota duchowa został uwięziony w złym świecie materii, stworzonym przez Demiurga, będącego bytem niższym od Boga, a sposobem wyzwolenia duszy z materii jest poznanie duchowe. [przypis edytorski]

¹⁰³*Pracuję nad odczytaniem hieroglifów* — egipskie pismo hieroglificzne zostało odczytane przez Jean-François Champolliona w roku 1822. [przypis edytorski]

na ścianach swych świątyń i grobach swych kapłanów. Przywiozłem z Egiptu dużo tych napisów; odgaduję ich treść i znaczenie za pomocą klucza, który udało mi się znaleźć u Klemensa Aleksandryjskiego.

Rabin Mozaides, w samotności przebywający u mnie, pracuje, by znaleźć istotne znaczenie Pięcioksięgu¹⁰⁴. Starzec to w magii bardzo uczony, przez lat siedemnaście żył zamknięty w krypcie wielkiej piramidy i tam czytał księgi Thota¹⁰⁵. Wy zaś moi panowie, użyjcie tu swej wiedzy, by odczytywać rękopisy aleksandryjskie, których wielką liczbę sam zebrałem. Znajdziecie tam zapewne cudowne tajemnice i nie wątpię, że dzięki tym trzem krynicom światła: hebrajskiej, egipskiej, greckiej, znajdę wkrótce środki, których mi dziś brak jeszcze, by władać zupełnie nad przyrodą widzialną czy niewidzialną. Wiercie, że potrafię wynagrodzić wasze usługi, udzielając wam pewnej części mojej potęgi.

Nie wspominam już nawet o pospolitszych sposobach wynagrodzenia; tak daleko bowiem posunąłem się już w mych pracach filozoficznych, że pieniądź uważam za drobność.

W tym to miejscu jego przemowy przerwał mój mistrz drogi:

— Nie będę tał jego miłości, że pieniądź, który dlań zdaje się bagatelką, dla mnie jest troską piekącą, przekonałem się bowiem, że niełatwa to rzecz zarabiać pieniądze, uczciwie czy nawet nieco inaczej. Będę więc też bardzo wdzięczny za łaskawe pańskie w tej mierze przyrzeczenia.

Pan d'Astarac z gestem, jakby usuwał jakąś niewidzialną przeszkodę, uspokoił księdza Coignarda. Co do mnie, zaciekawiony wszystkim, com widział, pragnąłem tylko jak najprędzej wstąpić w nowy okres mego życia.

Na wezwanie swego pana stary sługa, ten sam, który otwierał nam był furtkę, ukazał się we drzwiach gabinetu.

— Moi panowie — rzekł nasz gospodarz — jesteście wolni aż do południa, do obiadu. Proszę was jednak, byście udali się do pokojów, które wam przysposobić kazałem, i donieśli mi potem, czy niczego tam nie brak. Kryton¹⁰⁶ wskaże wam drogę.

Upewniwszy się, że idziemy za nim, milczący Kryton poszedł z nami po schodach aż na poddasze; tu, skręciwszy w długi korytarz, wskazał nam dwa bardzo czyste pokoje, gdzie wesoło płonął ogień na kominku. Nie przypuszczałbym nigdy, by zamek tak zniszczony na zewnątrz, z popękkanymi murami, zda się, i wybitymi oknami, mógł mieć tak porządne jeszcze pokoje.

Zacząłem rozglądać się po naszym mieszkaniu. Okna nasze wychodziły na pole, widąc z nich było błotniste wybrzeża Sekwany aż do Mont-Valérien. Rzuciwszy okiem na sprzęty, dostrzegłem na łóżku popielaty frak, odpowiednie doń spodnie, kapelusz i szpade; na dywanie stała zgrabna para trzewików ze sprzączkami, obcas przy obcasie, noskami na zewnątrz, jakby już same przez się świadome były zasad dobrego ułożenia. Brałem stąd korzystną dla nas wróżbę o szczodrobliwości naszego pana i na cześć jego bardzo starannie zająłem się swoją toaletą; pudrem, którego całe pudełko znalazłem na stoliku, obficie posypałem włosy, w szufladzie komody znalazłem koszulę z koronkami i białe pończochy. Wdziawszy to wszystko: nowe pończochy, koszulę, spodnie, kamizelkę, frak, zacząłem kręcić się w kółko po pokoju, z kapeluszem pod pachą i ręką opartą na rękojeści szpady; co chwila przy tym spoglądałem w zwierciadło i żalowałem, że Kasia koronczarka nie może mnie widzieć w tym eleganckim stroju.

Od jakiegoś już czasu oddawałem się temu zajęciu, gdy ksiądz Hieronim Coignard wszedł do mego pokoju w nowym rabacie¹⁰⁷ i bardzo godnej pelerynce.

— Rożenku — zawołał — tyżeś to, mój synu? Nie zapomnisz chyba, że piękne te szaty zawdzięczasz nauce, której ci udzielałem. Strój ten przystoi humaniście takiemu jak ty, gdyż *humanitates* znaczy wytworność. Lecz spójrz, proszę cię, na mnie i osądź, czy dobrze wyglądam: w tym ubraniu czuję się bardzo porządnym człowiekiem. Ten

¹⁰⁴*Pięcioksiąg* — tradycyjne określenie pierwszych pięciu ksiąg Biblii, zw. Mojżeszowymi, w judaizmie składających się na Torę; są to: Księga Rodzaju, Wyjścia, Liczb, Kapłańska i Powtórzonego Prawa. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Thot* a. *Tot* (mit. egip.) — bóg księżycy, panujący nad czasem, wynalazca kalendarza i pisma, patron mądrości i wiedzy; wg mitów stworzył też astronomię, astrologię, matematykę, geometrię, medycynę oraz rytuały religijne i magiczne. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Kryton* — imię wiernego przyjaciela greckiego filozofa Sokratesa. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*rabat* (daw.; z fr.) — ozdobny, koronkowy lub batystowy kołnierz. [przypis edytorski]

pan d'Astarac wydaje mi się dosyć szczodry. Szkoda tylko że jest obłąkany; choć pod jednym przynajmniej względem musi być człowiekiem rozumnym, skoro służy swego nazwał Krytonem, czyli sędzią. Bo rzeczywiście, służył nasi są świadkami, a czasem kierownikami nawet wszystkich naszych czynów. Gdy lord Verulam¹⁰⁸, kanclerz Anglii, mąż uczony — choć filozofia jego nie jest w moim guście — wszedł do Wielkiej Izby, gdzie miano go sądzić, jego dworzacy, strojni z przepychem, panującym w ogóle w domu kanclerza, powstali z miejsc dla uczczenia swego pana. „Siadajcie — rzekł im lord Verulam — podnosząc się, poniżacie mnie”. Bo w istocie, te łotrzyki przez niezmiernie wydatki doprowadzili go do ruiny i skłonili do sprzeniewierzeń i przekupstw, za które sądownie odpowiadać musiał. Rożenku, niech przykład lorda Verulam, kanclerza Anglii, autora *Novum organum*, będzie ci, synu, zawsze przytomny¹⁰⁹. Wracając zaś do pana d'Astarac, w którego służbie jesteśmy, szkoda wielka, że jest to czarownik i że zajmuje się kunsztami wyklętymi. Wiesz, synu, że jestem drażliwy w rzeczach wiary i ciąży mi to niemało, żem na służbie kabalisty¹¹⁰, który nasze Pismo Święte, by niby lepiej je zrozumieć, wykręca do góry nogami. Jeżeli jednak, jak to nazwisko jego i wymowa wskazuje, jest on szlachcicem gaskońskim — możemy być spokojni. Gaskończyk może zawrzeć pakt nawet z diabłem — bądź pewny, że diabeł oszuka.

Dzwonek, sygnał obiadowy, przerwał naszą rozmowę.

— Rożenku, mój synu — rzekł mój zacny mistrz, schodząc ze schodów — przy obiedzie patrz uważnie i naśladowaj wszystkie moje ruchy. Jadałem przy trzecim stole biskupa z Séez i wiem, jak należy się zachować, jest to sztuka niemała; jeść po pańsku trudniej jest niż po pańsku mówić.

W jadalni stół był już na trzy osoby nakryty; zasiedliśmy z panem d'Astarac.

Kryton służył i wnosił kolejno na stół galarety, groch chyba tuzin razy przecierany, różne gęste sosy, ale pieczeń ciągle się nie zjawiała. Mistrz mój i ja staraliśmy się usilnie ukryć nasze zdziwienie; pan d'Astarac dostrzegł je jednak i rzekł do nas:

— Obiad dzisiejszy to tylko próba i jeżeli uważacie, że nie zbyt szczęśliwa, nie będę się przy tym upierał, każę dawać wam potrawy pospolitsze i sam nawet nimi nie pogardzę. Jeżeli potrawy te, którymi częstuję was dzisiaj, są źle przyrządzone, nie winą to mego kucharza, lecz raczej winą chemii, która jest dotąd w powijakach. Ale dzisiejszy obiad daje wam pewne pojęcie o tym, co będzie się dziać w przyszłości. Obecnie ludzie jedzą niefilozoficznie, nie żywią się jak istoty rozumne, nie myślą nawet o tym. Bo i o czym też ludzie myślą? Prawie wszyscy żyją w bezmyślności, a i ci, którzy umieją się zastanawiać, zajmują się głupstwami, poetyką lub dialektyką. Przyjrzyjcie się, panowie, posiłkowi ludzkiemu, począwszy od owych czasów dalekich, gdy zerwało się obcowanie ludzi z sylfami i salamandrami; ludzie opuszczeni przez duchy powietrzne pogrążyli się w ciemności i barbarzyństwie, żyli nadzy i nędzni w jaskiniach, nad brzegami potoków lub wśród drzew po lasach. Myślistwo było jedynym ich przemysłem¹¹¹; gdy udawało im się jakie zwierzę lekliwie podejść lub doścignąć w biegu, pożerali tę zdobycz na pół jeszcze żywą i drgającą.

Zjadali także swoich towarzyszy i zniedołężniałych rodziców: głuche, zgłodniałe trzewia były pierwszym żyjącym cmentarzem ludzkim. Po długich wiekach dzikości zjawił się człowiek boski, przez Greków Prometeuszem zwany. Nie ulega wątpliwości, że w schronieniu nimf obcować on musiał z salamandrami. Od nich to przejął i śmiertelników nikkczemnych nauczył, jak wytworzyć i zachować ogień. Jedną z licznych korzyści te-

¹⁰⁸lord Verulam — Francis Bacon (1561–1626), angielski filozof epoki odrodzenia i baroku, eseista, prawnik, polityk; jeden z twórców empiryzmu oraz metody naukowej opartej na eksperymencie i indukcji (w dziele *Novum Organum*, 1620); jako doradca prawny króla Jakuba I Stuarta został lordem kanclerzem i otrzymał tytuł barona Verulam. [przypis edytorski]

¹⁰⁹przytomny (daw.) — tu: trwałe obecny w pamięci, w myśli; pamiętny. [przypis edytorski]

¹¹⁰kabalista — człowiek uprawiający kabałę; *kabala*: mistyczny nurt judaizmu, powstały w średniowieczu, kontynuujący starsze formy mistycyzmu żydowskiego, z wpływami doktryn gnostyckich oraz neoplatońskich; kabaliści zajmowali się m.in. poszukiwaniami ukrytych, tajemnych znaczeń tekstu biblijnego, opierając się na spekulacjach numerologicznych. [przypis edytorski]

¹¹¹przemysł (daw.) — przemysłowość, pomysłowość; zajęcie. [przypis edytorski]

go boskiego podarku była możność gotowania pożywienia, uczynienia go w ten sposób lżejszym i subtelniejszym. I w znacznej mierze dzięki pokarmom, które przeszły przez dobroczynne działanie ognia, ludzie stali się z wolna i stopniowo rozumni, zabiegliwi, przemyślni, zdolni do uprawiania sztuk i nauk.

Ale był to tylko pierwszy krok i boleśnie pomyśleć, że przez tyle milionów lat ubiegłych kroku drugiego nie uczyniono. Od czasów gdy przodkowie nasi pod osłoną skał piekli na ogniu z chrustu całe ćwierci niedźwiedzie, żadnego postępu nie uczyniono już w sztuce kuchennej. Bo nie nazwiecie postępem, moi panowie, pomysłów Lukullusa¹¹², ani tego ciężkiego tortu, któremu Witeliusz¹¹³ dał był miano „tarczy Minierwy”, ani wszystkich naszych pieczeni, pasztetów, marynat, mięs nadziewanych, różnych przysmaków, na których tak widome są jeszcze ślady dawnego barbarzyństwa.

Gdy na stole królewskim w Fontainebleau podają całego jelenia, z sierścią i rogami, to jest to dla oka filozofa widok równie brutalny jak widok troglodytów¹¹⁴ siedzących w popiele ogniska i ogryzających kości końskie. Piękne malowidła w sali, gwardziści, oficerowie bogato ubrani, orkiestra na trybunach, grająca arie Lamberta i Lulliego¹¹⁵, obrusy jedwabne, srebrne naczynia, złote puchary, kryształy weneckie, świeczniki, zastawy cyzelowane napełnione kwiatami nic tu rzeczy nie zmieniają i nie mogą swym wdziękiem ukryć istotnej treści tej wstrętnej rzeźni, gdzie gromadzą się mężczyźni i kobiety i zasiadają nad trupami zwierząt, nad połamanymi kośćmi i rozszarpanymi członkami, aby tym wszystkim napaść się chciwie. Z bezmyślną żarłocznością połykamy mięso, tłuszcz, wnętrzności zwierząt, nie odróżniając, które części tych pokarmów są dla nas istotnie odpowiednim pożywieniem, a które — stokroć liczniejsze — należy po prostu odrzucić. Do żołądka naszego wchłaniamy składniki złe i dobre, użyteczne i szkodliwe — bez różnicy. A w tym razie właśnie należałoby zrobić pewien wybór i gdyby w całym kolegium lekarskim znalazł się choć jeden lekarz, zarazem chemik i filozof, nie byłibyśmy zmuszeni zasiadać nadal przy tych obrzydliwych ucztach.

Przyrządziłby on nam, moi panowie, mięsa oczyszczone i odpędzone, zawierające tylko takie składniki, które są w sympatycznym związku z naszą istotą cielesną. Spożywano by wówczas tylko ekstrakt świń i wołów, eliksir kuropatw i pulard; wszystko, co się je, dałoby się strawić zupełnie. Nie tracę nadziei, że będę mógł kiedyś tego dokonać, gdy będę miał czas wolny, by więcej niż dotąd rozmyślać nad chemią i medycyną.

Przy tych słowach naszego gospodarza ksiądz Hieronim Coignard oderwał wzrok od czarnej mazi, którą miał na talerzu, i z niepokojem spojrział na pana d'Astarac.

— Będzie to jednak — ciągnął ów wciąż dalej — postęp jeszcze bardzo niedostateczny. Człowiek zacny nie może jeść bez wstępu ciała zwierzęcego, i żadnego narodu nie można uważać za naród cywilizowany, dopóki po jego miastach są jeszcze rzeźnie i jatki. Ale przecież kiedyś pozbędziemy się tego barbarzyńskiego przemysłu. Gdy poznamy dokładnie, jakie pożywne substancje zawarte są w mięsie zwierząt, możliwe będzie otrzymać te same substancje z ciał martwych, które dostarczyć ich potrafią w obfitości. Ciała nieorganiczne zawierają istotnie wszystko, co znajduje się w ciałach żyjących, świat zwierzęcy bowiem powstał z świata roślinnego, a rośliny czerpią swe pierwiastki z materii martwej. Żywić się będziemy wówczas ekstraktami metali i mineralów, odpowiednio przez fizyków przygotowanymi. Nie można wcale wątpić, że będą one doskonałe w smaku, a zdrowe w użyciu. Retorty i alembik¹¹⁶ zastąpią naczynia kuchenne, a alchemicy będą naszymi

¹¹²Lukullus (117–56 p.n.e.) — rzymski wódz i polityk; znany z wystawnego trybu życia, m.in. postawił liczne luksusowe rezydencje, założył wiele ogrodów egzotycznych oraz sprowadzał ze Wschodu wiele dzieł sztuki; słynął również jako smakosz, wyprawiający uczyty z najdroższymi i najbardziej wyszukany daniami. [przypis edytorski]

¹¹³Witeliusz, właśc. *Aulus Vitellius Germanicus* (15–69 n.e.) — cesarz rzymski od 19 kwietnia do 21 grudnia 69; ciężkiego tortu, któremu Witeliusz dał był miano „tarczy Minierwy”: wg Swetoniusza (*Żywoty cesarów: Żywot Witeliusza* 13) był żarłokiem i wydawał wystawne uczyty, na jedną z nich kazał przygotować „tarczę Minierwy”; nie był to jednak tort, ale wielka misa z wyszukany potrawami z ryb, ptaków i zwierząt z najdalszych stron świata; Minierwa to rzymska bogini mądrości, sztuk i wojny, odpowiednik greckiej Ateny, której olbrzymi posąg, z odpowiednio wielką tarczą, znajdował się na ateńskim Akropolu. [przypis edytorski]

¹¹⁴troglodyci (gr.) — ludzie pierwotni, mieszkający w jaskiniach. [przypis edytorski]

¹¹⁵Lambert i Lully — nadworni muzycy króla Francji Ludwika XIV: *Michel Lambert* (1610–1696): kompozytor, lutnista, mistrz śpiewu; *Jean-Baptiste Lully* (1632–1687) — francuski kompozytor włoskiego pochodzenia, urodzony jako *Giovanni Battista Lulli*, twórca francuskiej opery narodowej. [przypis edytorski]

¹¹⁶retorty i alembik — dawne naczynia laboratoryjne używane do destylacji. [przypis edytorski]

kucharzami. Czy nie spieszo wam, panowie, widzieć te wszystkie cuda? Ręczę wam, że ziszczą się w niedalekim czasie. Ale nie widzicie jeszcze doskonałych skutków, które z tego wynikną.

— Istotnie nie ogarniam ich myślą — rzekł mój mistrz, pociągnąwszy łyk wina.

— W takim razie, zechciejcie posłuchać mnie jeszcze chwilkę — rzekł pan d'Astarac. — Ludzie, nie ociężali już przez powolne trawienie, staną się cudownie obrotni i lekcy. Wzrok ich się zaostrzy i pozwoli im dostrzec okręty płynące po morzach księżycowych¹¹⁷. Ich umysł się rozjaśni, ich obyczaje złagodnieją, posuną się mocno naprzód w rozumieniu Boga i przyrody.

Ale trzeba zauważyć wszystkie zmiany, jakie zajdą niewątpliwie. Nawet sama budowa ciała ludzkiego się zmieni. Fakt to, że narządy nieużywane i niećwiczone wątłają i wreszcie zanikają. Zauważono, że ryby pozbawione światła ślepną; widziałem w Valais pasterzy, którzy żywią się wyłącznie zsiadłym mlekiem i stąd też bardzo wczesnie tracą zęby; byli między nimi tacy, którzy zębów nigdy w ogóle nie mieli. Trzeba podziwiać, że w przyrodzie nie utrzyma się nic, co jest niepotrzebne. Gdy ludzie żywić się będą balsamem, o którym mówiłem, wnętrzości ich bez wątpienia skrócą się o kilkanaście łokci¹¹⁸, objętość brzucha przez to zmniejszy się znacznie.

— Tu to już zapędza się wasza miłość — rzekł mój mistrz — i na złe drogi prowadzi swe projekty. Co do mnie, nigdy nie narzekam, gdy kobieta ma brzuch dość okrągły, byle reszta utrzymana była w dobrej proporcji. Na ten wdzięk kobiecy jestem bardzo czuły; nie należy przycinać go niebacznie.

— O to nie będziemy się sprzeczaali. Zgadzam się, by kibić i łono kobiety kształtowało się na modłę przyjętą przez rzeźbiarzy greckich. Czynię to z uprzejmości dla ciebie, księżu kochany, a także ze względu na trudy związane z macierzyństwem, chociaż co prawda i w tym mam zamiar zaprowadzić pewne zmiany, które kiedyś wyłożę wam jeszcze. Wracając do naszego przedmiotu, przyznam się wam, że to, co wam dotąd mówiłem, jest tylko przejściem do prawdziwego pokarmu, to jest do pokarmu sylfów i wszystkich duchów powietrznych. Piją one światło, a to wystarcza, by ciału ich nadać cudowną siłę i giętkość. Jest to jedyny ich napój; będzie on kiedyś i naszym, panowie; należy tylko promienie słońca w napój przemienić. Wyznaję, że nie widzę jeszcze całkiem jasno, jak to osiągnąć; przewiduję liczne trudności i ogromne przeszkody na tej drodze. Gdy jednak mędrzec jaki dojdzie do tego celu, ludzie staną się rozumem i pięknnością równi sylfom i salamandrom.

Mój drogi mistrz słuchał tych słów zgarbiony, ze smutno zwieszoną głową. Zdawał się rozmyślać nad zmianami, jakim ulegnie jego osoba pod wpływem pokarmu wymarzonego przez naszego gospodarza.

— Panie — rzekł wreszcie — czy nie mówiłeś wczoraj w gospodzie o pewnym eliksirze, który wszelkie inne pożywienie czyni zbytecznym?

— Tak — rzekł pan d'Astarac — ale jest to eliksir tylko dla filozofów; pojmujesz więc, jak mało osób zeń korzystać może; lepiej nie mówić o nim.

Tymczasem niepokoiła mnie pewna wątpliwość i prosiłem pana d'Astarac, by mi pozwolił ją wyłożyć, gdyż nie wątpię, że natychmiast potrafi mi ją wyjaśnić. Pozwolił mi, więc rzekłem:

— Panie, czy te piękne salamandry, o których, opierając się na twych słowach, urobiłem sobie tak uroczy obraz, nie straciły zębów, pijąc światło, tak jak ci pasterze z Valais, którzy żywią się tylko nabiałem? Przyznam się, że ta niepewność mnie dręczy.

— Synu mój — rzekł pan d'Astarac — ciekawość twoja podoba mi się i chcę ją zaspokoić. Salamandry nie mają zębów we właściwym znaczeniu tego słowa. Działła ich ozdobił są natomiast dwoma rzędami pereł, bardzo białych i lśniących, które nadają ich uśmiechowi wdzięk niewysłowny. Wiedz nadto, że perły te są światłem stwardniałym.

Wyraziłem zadowolenie z tego, a pan d'Astarac ciągnął dalej:

¹¹⁷okręty płynące po morzach księżycowych — dawni astronomowie ciemne obszary na tarczy Księżyca uważali za tereny pokryte wodą, dlatego nazywano je morzami, zatokami, bagnami i jeziorami; współcześnie wiadomo, że są to ciemne, pokryte zastępnym bazaltem równiny, mimo to zachowano dawne łacińskie nazwy tych formacji. [przypis edytorski]

¹¹⁸łokieć — dawna miara długości, równa ok. 60 cm. [przypis edytorski]

— Zęby człowieka są znamiem jego dzikości. Gdy człowiek będzie żywił się, jak należy, zęby jego zastąpi jakaś ozdoba, w rodzaju perel u salamander. Dziwić się będą wówczas wszyscy, jak niegdyś bez wstrętu i obrzydzenia mogli kochankowie patrzeć na zęby, godne psów, w ustach swych kochanek.

Po obiedzie pan d'Astarac zaprowadził nas do obszernej galerii obok jego gabinetu, która służyła mu za bibliotekę; tu na dębowych półkach stała rzędem cała armia, a raczej wielki sobór ksiąg niezliczonych *in duodecimo, in octavo, in quarto, in folio*¹¹⁹, oprawnych w skórę, płótno, safian, pergamin. Sześć okien oświetlało to milczące zgromadzenie, zajmujące od końca do końca całą wysokość ścian; duże stoły, globusy i przyrządy astronomiczne stały w środku tej galerii. Pan d'Astarac polecił nam wybrać sobie miejsce najwygodniejsze do pracy.

Mój drogi mistrz z głową do góry wzniesioną pochłaniał wzrokiem wszystkie te księgi i promieniał z radości:

— Na Apollina¹²⁰ — zawołał — to mi wspaniały księgozbiór! Biblioteka biskupa z Séez, choć zasobna w dzieła praw kanonicznych, nie może się z nią równać. Nad tę bibliotekę nie masz, moim zdaniem, przyjemniejszego miejsca pobytu, nie wyłączając Pól Elizejskich¹²¹, opiewanych przez Wergiliusza¹²². Dostrzegam tu, na pierwszy rzut oka, tak rzadkie i cenne dzieła, iż wątpię, czy jakakolwiek księżnica prywatna może się z pańską równać; we Francji ustępuje ona tylko bibliotece Mazariniego¹²³ i Bibliotece Królewskiej. Ośmielę się rzec nawet, że nagromadzone w tym oto rogu rękopisy łacińskie i greckie czynią ją godną zaliczenia do rzędu sławnych bibliotek: Bodlejańskiej, Ambrozjańskiej, Laurentyńskiej, Watykańskiej, do których teraz należy dodać i Astaraceńską. Nie chwałąc się, z dala nie zawodzi mnie węch co do truffi i książek; i od chwili tej mam pana za równego Peirescowi, Groslierowi i Canevariusowi¹²⁴, tym królom bibliofilów.

— Przewyższam ich znacznie — rzekł łagodnie pan d'Astarac — biblioteka ta jest o wiele cenniejsza niż wszystkie, które wymieniłeś. Biblioteka Królewska jest wobec mojej antykwarnią, jeżeli sądzić nie wyłącznie według liczby tomów i ilości zaczernionego papieru. Gabriel Naudé i ksiądz Bignon, słynni bibliotekarze, wobec mnie byli tylko nieudolnymi pasterzami marnego stada ksiąg baranich. Co do benedyktynów, przyznaję, że są pracowici, ale brak im wiedzy i ich biblioteki noszą ślad mierności umysłów, które je zebrały. Mój zbiór nie jest utworzony na wzór innych; dzieła tu zebrane tworzą całość, która niezawodnie da mi wiedzę. Jest to biblioteka gnostyczna, ekumeniczna, duchowna. Gdyby wszystko, co tu na tych niezliczonych kartach papieru i pergaminu skreślono, przeniknęło w należyty porządku do twego mózgu, księżę, wiedziałbyś wszystko, mógłbyś wszystko, byłbyś panem przyrody, twórcą rzeczy, trzymałbyś świat w dwóch palcach ręki, jak ja tę szczyptę tabaki. — Przy tych słowach podał tabakierkę memu mistrzowi.

— Dziękuję — rzekł ksiądz Coignard, zachwyconym wzrokiem wodząc po tych uczonych ścianach.

— Oto — zawołał — ta półka między trzecim a czwartym oknem nieoszacowany dźwiga ciężar; zeszyły się tu wspaniałe rękopisy wschodnie i zdają się gwarzyć ze sobą; widzę tu chyba z dziesięć bardzo szanownych foliałów¹²⁵, pod strzypami purpury i zło-

¹¹⁹*in duodecimo, in octavo, in quarto, in folio* — formaty książek, w których z jednego arkusza papieru powstaje odpowiednio: dwanaście, osiem kart, cztery lub dwie karty; obecnie *in octavo* to określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

¹²⁰*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, opiekun sztuki, przewodnik dziewięciu muz. [przypis edytorski]

¹²¹*Pola Elizejskie* a. *Elizjum* (mit. gr.) — kraina wiecznego spokoju i pośmiertnej szczęśliwości, stanowiąca część Hadesu; zmarli trafiali tam w nagrodę za dobre życie. [przypis edytorski]

¹²²*Wergiliusz*, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta, autor m.in. *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian. [przypis edytorski]

¹²³*Mazarini, Jules*, właśc. *Giulio Raimondo Mazzarini* (1602–1661) — francuski kardynał pochodzenia włoskiego, od 1642 pierwszy minister Francji. [przypis edytorski]

¹²⁴*Peiresc, Grolier i Canevarius* — sławni bibliofile z XVI–XVII w., kolekcjonerzy dawnych ksiąg: *Nicolas-Claude Fabri de Peiresc* (1580–1637): francuski humanista, astronom; *Jean Grolier* (ok. 1479–1565): francuski humanista, skarbnik generalny finansów; *Demetrio Canevari* (1559–1625): włoski lekarz, medyk papieża Urbana VIII. [przypis edytorski]

¹²⁵*foliał* — książka formatu *folio* (wielkości połowy arkusza); ogólnie: wielka, gruba księga. [przypis edytorski]

tem tkanych jedwabi. Jedne z nich mają klamry z drogich kamieni, jak płaszcze cesarzy bizantyjskich, inne znów zamknięte w płytach z kości słoniowej.

— Są to — rzekł pan d'Astarac — dzieła kabalistów hebrajskich, arabskich i perskich. Otworzyłeś właśnie *Potężną rękę*, obok znajduje się: *Stół nakryty*, *Wierny pasterz*, *Okruchy świętyni* i *Światło w ciemnościach*; na tym pustym miejscu były *Ciche wody*, cenny traktat nad którym Mozaides pracuje obecnie. Mozaides, jak wam to już mówiłem, panowie, mieszka u mnie i zajęty jest dociekaniem najgłębszych tajemnic zawartych w księgach hebrajskich. Chociaż liczy przeszło sto lat życia, rabin ten zgadza się nie umrzeć jeszcze dopóty, póki nie zbada znaczenia wszystkich symbolów kabalistycznych. Jestem mu bardzo za to zobowiązany i proszę was, panowie, byście poznawszy go, okazywali mu takie same uczucia, jakie ja dlań żywię. Ale nie o to chodzi. Wróćmy do tego, co was bezpośrednio dotyczy. Tobie, księże Coignardzie, powierzam przekład na język łaciński tych oto rękopisów greckich nieocenionej wartości; ufam twojej wiedzy i gorliwości, a nie wątpię też, że i uczeń twój będzie ci wielką pomocą.

I zwracając się do mnie, dodał jeszcze:

— Tak, synu, pokładałam w tobie wielkie nadzieje, w znacznej części oparte na wychowaniu, jakie otrzymałeś. Bo chowałeś się, że tak powiem, w płomieniach, pod okapem komina nawiedzanego przez salamandry; a to okoliczność bardzo ważna.

Mówiąc, pochwycił plik manuskryptów i położył je na stole.

— To oto — rzekł, pokazując zwitek papirusów — pochodzi z Egiptu. Jest to dzieło Zosimosa Panopolitańczyka¹²⁶, które miano za stracone i które sam odnalazłem w trumnie pewnego kapłana Serapisa¹²⁷. To, co tu widzicie — dodał, wskazując na strzępy kartek lśniących i włóknistych, na których zaledwie dostrzec można było litery greckie pędzikiem kreślone — są to objawienia niesłychanej wagi Persa Sophara i Jana, arcykapłana Świętej Euagii.

Proszę was, abyście tym naprzód się zajęli. Następnie będziemy studiowali rękopisy Synesiosa, biskupa Ptolemaid, Olimpiodora i Stephanosa¹²⁸. Odnalazłem je w Rawennie w lochu, gdzie spoczywały od panowania tego nieuka Teodozjusza¹²⁹, przezwanego Wielkim. Na początek zapoznajcie się, panowie, z obszarem pracy, która was czeka. W głębi sali, na prawo od kominka, znajdziecie gramatyki i słowniki, które wam może pracę ułatwią. Teraz wybaczone, że was opuszczę, w gabinecie kilku sylfów na mnie czeka. Kryton już postara się, by wam na niczym nie zbywało. Do widzenia!

Zaledwie pan d'Astarac wyszedł, mój drogi mistrz zasiadł przed papirusem Zosimosa i uzbroiwszy się w lupę, którą znalazł na stole, zabrał się do odczytywania. Zapytałem go, czy nie zdziwiony jest tym, co słyszał przed chwilą.

Nie podnosząc nawet głowy od księgi, rzekł:

— Synu, za dużo poznałem ludzi rozmaitych i zbyt różne przechodziłem losy, bym miał czemukolwiek się dziwić. Ten szlachcic zdaje się być szaleńcem, nie tyle może dlatego, że jest nim w istocie, ile że myśli jego tak zupełnie są różne od myśli pospolitego ogółu. Lecz gdy zastanowimy się nad tym, co w ogóle na każdym kroku się mówi, musimy przyznać, że w tych zdaniach pospolitych jest często jeszcze mniej sensu niż w tym, co mówił nasz filozof. Umysł ludzki, sam sobie pozostawiony, zamki swe i świętynie stawia w obłokach, i rzeczywiście pan d'Astarac wcale nieźle lata po chmurach. Prawda jest tylko w Bogu; nie zapominaj o tym, mój synu. Ale to jest rzeczywiście dzieło *Imouth*, które Zosimos Panopolitańczyk napisał dla siostry swej Theozebii. Cóż to za zaszczyt i rozkosz czytać ten rękopis jedyny, cudem odnaleziony! Dnie i noce na to poświęć.

¹²⁶Zosimos z Panopolis (III/IV w.) — grecki alchemik i mistyk gnostycki, pochodzący z miasta Panopolis w pld. Egipcie (ob. Achmim); autor najstarszych znanych ksiąg alchemicznych, zachowanych tylko we fragmentach zawartych w późniejszych tekstach. [przypis edytorski]

¹²⁷Serapis — grecko-egipskie bóstwo, powstałe w IV w. p.n.e. przez połączenie cech Ozyrysa, Apisa i Zeusa; czczony w Serapejnie w Aleksandrii, będącym największą i najwspanialszą świątynią hellenistyczną w mieście, mieszczącą wielki zbiór ksiąg, część Biblioteki Aleksandryjskiej. [przypis edytorski]

¹²⁸Pers Sophara, Jan, arcykapłan Świętej Euagii, Synesios, biskup Ptolemaid, Olimpiodor i Stephanos — wg jednego z manuskryptów na temat alchemii: jedni z najdawniejszych z alchemików. [przypis edytorski]

¹²⁹Teodozjusz I Wielki (347–395) — ostatni cesarz władający zarówno wschodnią, jak i zachodnią częścią cesarstwa rzymskiego; od roku 389 serią dekretów ogłosił wyznaczenie nicejskie chrześcijaństwa religią panującą; zaprowadził konsekwentne, szeroko zakrojone prześladowania instytucji i obyczajów pogańskich na terenie całego państwa. [przypis edytorski]

Litość mam, synu, nad tymi nieukami, których próżniactwo popycha do rozpusty; jakże nędzny wiodą oni żywot! Czymże jest kobieta w porównaniu z papirusem Aleksandryjskim! Porównaj tylko, proszę, tę cenną bibliotekę z „Małym Bachusem”, a towarzystwo tego cennego manuskryptu z pieszczotami dziewcząt w altanie oberży i powiedz, synu, w czym naprawdę znaleźć można zadowolenie. Ja przynajmniej, biesiadnik Muz, dopuszczony do tych cichych uctw medytacji, przez retora z Madaury¹³⁰ sławionych wymownie, nie waham się w wyborze i dziękuję Bogu, że jestem porządnym człowiekiem.

Przez pięć czy sześć tygodni ksiądz Hieronim Coignard, wierny przyrzeczeniu, dzień i noc śleczął nad dziełem Zosimosa Panopolitańczyka. Przy obiadach, które spożywalismy w towarzystwie pana d’Astarac, rozmowa toczyła się wyłącznie o gnostykach i o wiedzy starożytnych Egipcjan. Niewiele jeszcze umiejąc, nie bardzo byłem pomocny memu drogiemu mistrzowi, ale starałem się jak najlepiej wypełniać jego zlecenia; praca ta sprawiała mi nawet przyjemność. I doprawdy żyliśmy szczęśliwie i spokojnie. Siódmego tygodnia pan d’Astarac pozwolił mi odwiedzić rodziców w ich gospodzie. Po kilku tygodniach nieobecności gospoda wydała mi się szczególnie mała; zastałem tylko matkę, samą i smutną.

— Jakżem rada, Kubusiu! — krzyknęła, widząc mnie wystrojonego po pańsku. I z płaczem jęła mnie ścisnąć i całować.

Uspokoiwszy się i otarłszy łzy rozczulenia rąbkiem fartucha, rzekła:

— Ojciec twój jest pod „Małym Bachusem”. Od czasu twego wyjazdu chodzi tam coraz częściej pod pozorem, że dom stał mu się pusty i smutny przez twą nieobecność. Rad będzie bardzo cię zobaczyć. Ale powiedz mi, mój Kubusiu, czy kontent jesteś z twego nowego położenia? Żalowałam, że dałam ci pójść do tego szlachcica i na spowiedzi wyznałam przed księdzem wikarym, że w tym postanowieniu miałam więcej na względzie twoje dobro doczesne niż zbawienie twej duszy. Ksiądz wikary zgromił mnie dobrotliwie i kazał mi iść za przykładem zacnych niewiast Pisma Świętego. Wymienił mi imiona kilku takich niewiast, ale nie mogłam ich zapamiętać. Zresztą niedługo się mną zajmował, gdyż był to sobotni wieczór i kościół pełen był penitentek.

Uspokoilem, jak mogłem, matkę i tłumaczyłem jej, że u pana d’Astarac pracuję nad greką, która jest językiem Ewangelii. Ucieszyło ją to, ale pozostała jeszcze zakłopotana.

— Nie zgadniesz nigdy, mój Kubusiu — rzekła — kto mi mówił o panu d’Astarac: Cadette Saint-Avit, gospodyni proboszcza od Świętego Benedykta. Pochodzi ona z Gaskonii, z miejscowości sąsiadującej z włościami, których pan d’Astarac jest dziedzicem. Wiesz, że Cadette Saint-Avit jest to osoba wiekowa, jak przystoi gospodyni proboszcza. W młodości swej tam na wsi знаła ona trzech panów d’Astarac, z których jeden, kapitan okrętu, utonął na morzu; był to najmłodszy z nich. Drugi, pułkownik, zginął w jakiejś wojnie; najstarszy, Herkules d’Astarac, jedyny został przy życiu. Jest to ten właśnie, w którego służbie jesteś, jak ufam, dla dobra twego, mój Kubusiu. W młodości swojej był podobno wytworny w ubraniu, szczodry i szlachetny w obyczajach, lecz ponurego usposobienia; trzymał się z dala od służby publicznej i nie chciał wejść w służbę królewską, tak jak uczynili bracia jego i znaleźli w niej śmierć zaszczytną. Zwykł być mawiać, że nie masz dlań nic nędzniejszego nad szlachetne rzemiosło wojenne i że wyżej ceni prostego wieśniaka niż brygadiera lub marszałka Francji. Takie były jego zapatrywania; wydały mi się nie tyle złe lub przewrotne, ile śmiałe i dziwaczne. Muszą jednak być potępienia warte, bo Cadette Saint-Avit mówiła, że proboszcz ganił je, iż są niezgodne z porządkiem przez Boga na świecie ustanowionym i sprzeczne z pewnymi ustępami Biblii, gdzie Bogu nadana jest nazwa kwatermistrza¹³¹. Skoro tak, to byłby to grzech wielki. Ten pan Herkules miał taką niechęć do dworu, że nie pojechał nawet do Wersalu przedstawić się jego królewskiej mości, jak to jest przywilejem jego pochodzenia. Zwykł być mawiać: „Mnie król nie odwiedza i ja też doń się nie wybieram”. Rozumiesz, mój Kubusiu, że jest to zdanie wcale nie naturalne.

Matka spojrzała na mnie z niepokojem i ciągnęła dalej:

¹³⁰retor z Madaury — Apulejusz z Madaury (ok. 125–po 170), rzymski filozof, retor i pisarz. [przypis edytorski]

¹³¹Bogu nadana jest nazwa kwatermistrza — mowa o tytule tłumaczonym jako „Pan Zastępów” (tj. oddziałów wojska), występującym wielokrotnie w Biblii, np. w 1 Sm 1, 3. [przypis edytorski]

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, mój Kubusiu, co jeszcze trudniejsze do uwierzenia, a jednak Cadette Saint-Avit mówiła mi o tym jako o rzeczy zupełnie pewnej. Otóż pan Herkules d'Astarac, pozostawszy w swych dobrach, zajmował się tylko ściąganiem światła słonecznego do butelek. Cadette Saint-Avit nie wie, w jaki sposób pan d'Astarac to robił, ale jest pewna, że po jakimś czasie w tych karafkach, szczelnie zakorkowanych i ogrzewanych w kociołkach z ciepłą wodą, tworzyły się małe, lecz śliczne kobietki, ubrane jak księżniczki na scenie. Śmiejesz się, mój Kubusiu, a jednak nie należy żartować z takimi rzeczami, gdy widzi się ich skutki. Jest to wielki grzech wyrabiać w ten sposób istoty, które nie mogą być ochrzczone, nie będą więc mogły dostąpić szczęśliwości wiekuistej. Bo nie sądzisz chyba, że pan d'Astarac zanosił do kościoła do chrztu swoje twory w butelkach; nie znalazłaby się chrzestna matka dla nich.

— Ale, kochana mamó — odrzekłem — lalki pana d'Astarac chrztu nie potrzebowały, bo nie były splamione grzechem pierworodnym.

— Nie pomyślałam o tym — rzekła — i Cadette Saint-Avit, choć gospodyni proboszcza, też mi tego nie powiedziała. W młodości jeszcze opuściła Gaskonię i nic już nie słyszała o panu d'Astarac, o jego karafkach i lalkach. Spodziewam się, mój Kubusiu, że zaniechał tych praktyk przeklętych, których bez pomocy czarta dokonać nie można.

— Powiedz mi, mamó — zapytałem — czy Cadette Saint-Avit na własne oczy widziała te damy w karafkach?

— Nie, moje dziecko, pan d'Astarac jest zbyt skryty, by miał pokazywać swe lalki. Ale mówił jej to kościelny Fulgenty, który bywał w zamku i zaręczał, że widział te małe osobki, jak wychodziły ze swego szklanego więzienia i tańczyły menueta. Tym więcej zatem Cadette Saint-Avit miała rację wierzyć temu wszystkiemu, bo można nie wierzyć własnym oczom, ale nie słowu porządnego człowieka, a zwłaszcza gdy jest ze stanu duchownego. Drugą złą stroną tych praktyk jest, że są niezmiernie kosztowne. Cadette Saint-Avit mówiła mi, że niepodobna wystawić sobie, jakie szalone sumy wydał pan Herkules na swoje butelki, piece i przyrządy, którymi pozapelniał cały zamek. Ale po śmierci swych braci stał się najbogatszym dziedzicem w okolicy i gdy on wyrzucał pieniądze jak szalony, jego folwarki pracowały dla niego. Cadette Saint-Avit sądzi, że mimo tych nadmiernych wydatków i dziś musi być jeszcze bardzo bogaty.

Na to wszedł do gospody mój ojciec. Uściskał mnie serdecznie i zapewnił, że od czasu mego wyjazdu, jako też tego pocziwego i wesołego księdza Coignarda, dom stracił całe ożywienie swoje. Pochwalił moje ubranie i twierdząc, że świadom jest dobrych manier — jako że w swoim zawodzie nisko grzecznym być musi z hałastrą tak samo jak z panami — zaczął i mnie manier nauczać, nakazując mi zaokrąglać ruchy ręki, a nogi mocno na zewnątrz stawiać; w końcu dla dokładniejszej oglądy radził mi udać się na jarmark do Saint-Germain, by zobaczyć Leandra¹³² i we wszystkim go ściśle naśladować.

Zjedliśmy razem obiad i rozstaliśmy się, wylewając strumienie łez. Kochałem ich oboje bardzo i płakałem głównie dlatego, że odczuwałem, iż przez te sześć tygodni rozłąki stali mi się prawie zupełnie obcy. Zdaje mi się, że ich smutek z tego samego pochodził źródła.

Gdy wyszedł z gospody, była już noc zupełna. Na rogu ulicy Pisarskiej usłyszałem niskim, głębokim głosem śpiewaną piosenkę:

Jeśliś wianek utraciła,
Samaś chciała, moja miła!

i niebawem ujrzałem w stronie, skąd głos dochodził, brata Anioła, który z torbą na ramieniu, trzymając w pół Kasie koronczarkę, szedł w ciemnościach krokiem chwiejnym a triumfalnym, kłapiąc sandałami, spod których tryskały potoki błota, niby na chwałę jego rozpusty, jak fontanny wersalskie biją na cześć królów. Usunąłem się i przyparłem do słupa w rogu bramy, by mnie nie dostrzegli. Był to trud zbyteczny, byli bowiem dość sobą

¹³²Leander — konwencjonalna postać zakochanego eleganta z dawnej komedii ludowej (*commedia dell'arte*). [przypis edytorski]

zajęci. Kasia z głową opartą na ramieniu mnicha śmiała się serdecznie, promień księżycy drżał na jej wilgotnych wargach i odbijał się w oczach jak w wodzie krynicy. Poszedłem dalej, ze smutkiem i złością w sercu na myśl, że krąglą kibić tej ładnej dziewczyny obejmują ramiona brudnego kapucyna.

„Czyż podobna — mówiłem sobie — by rzecz tak piękna była w tak szpetnych rękach? Skoro Kasia mną gardzi, po cóż jeszcze wzgardę tę dotkliwszą czyni, podobając sobie w tym szkaradnym bracie Aniele?”

To upodobanie dziwiło i obrzydzeniem mnie przejmowało; że jednak nie darmo byłem uczniem Hieronima Coignarda, tego niezrównanego mistrza, który umysł mój do rozmyślań zaprawił, uprzytomniłem sobie natychmiast satyrów¹³³ uprowadzających nimfy i pomyślałem, że jeżeli Kasia wygląda na nimfę, to satyry, tak jak nam ich przedstawiają w rzeźbach po ogrodach, są równie ohydni jak ten kapucyn. Wywnioskowałem stąd, że nie powinienem zbyt dziwić się temu, co przed chwilą widziałem. Te rozmyślenia nie rozwiąły jednak mego smutku, zapewne dlatego, że smutek mój nie z rozumu pochodził. Tak zadumany szedłem wolno w ciemnościach nocy i w błocie odwilży, aż doszedłem do gościńca Saint-Germain, gdzie spotkał księdza Hieromina Coignarda, który po wieczery wracał z miasta do Krzyża des Sablons.

— Synu — rzekł — wracam z wieczery od bardzo uczonego duchownego, drugiego Pereisca, mówiliśmy dużo o Zosimosie i gnostykach; wino było cierpkie i jadło nieszczególnie, ale najczystszy nektar i ambrozja płynęły w naszej rozmowie.

I zacny mój mistrz z niezrównaną wymową rozwodził się dalej nad Panopolitańczykiem.

Niestety! Żle go słuchałem, myśl moja gonila ciągle tę kroplę księżycowego blasku drżącą na wargach Kasi.

W końcu zatrzymał się, a ja skorzystałem z tego, by zapytać, na jakiej podstawie Grecy przypisywali nimfom miłość do satyrów.

Dzięki swej rozległej wiedzy mój drogi mistrz miał zawsze gotową odpowiedź na każde pytanie:

— Synu — rzekł — gust ten zasada się na naturalnej sympatii; jest on silny, ale mniej namiętny niż odpowiedni mu pociąg satyrów do nimf; poeci bardzo dobrze zauważyli tę różnicę. W związku z tym opowiem ci szczególną historię, którą wyczytałem w jednym z rękopisów biblioteki biskupa z Sééz. Widzę jeszcze ten foliał, pisany pięknym pismem ubiegłego wieku. Chodzi o taki dziwny przypadek: pewien szlachcic normandzki wraz z żoną udał się na zabawę publiczną; on przebrał się za satyrę, ona za nimfę. Wiadomo z Owidiusza¹³⁴, jak namiętnie satyry ubiegają się za nimfami; ów szlachcic czytał *Metamorfozy*, i tak wniknął w treść swego przebrania, że w dziewięć miesięcy później żona jego powiła dziecko z kozłimi nogami i rogami na czole. Z dalszych dziejów ojca wiemy tylko, że losem wspólnym wszystkiemu stworzeniu zmarł, pozostawiwszy oprócz swego kozłonoga drugie dziecko, młodsze, ochrzczone i o kształtach ludzkich... Ten brat młodszy sędownie zażądał, by brata jego wydziedziczono ze spuścizny ojcowskiej na zasadzie, że nie należy on do gatunku odkupionego krwią Jezusa Chrystusa. Trybunał normandzki, zasiadający w Rouen, przychylił się do tego wniosku i wyrok w tym duchu zatwierdził.

Zapytałem mego mistrza, czy możliwe jest, by przebranie mogło tak wpływać na skutki przyrodzone, by kształt dziecka zależny był od ubrania ojca. Ksiądz Coignard zalecił nie wierzyć temu zgola.

— Jakubie Rożenku — rzekł — pamiętaj, synu, że umysł oświecony odrzuca wszystko, co sprzeciwia się rozumowi. Wyjątek stanowią tylko sprawy wiary, którym ślepo wierzyć trzeba. Dzięki Bogu nie błądziłem nigdy w dogmatach naszej wiary świętej i spodziewam się tych samych być przekonani i w ostatniej godzinie.

Rozum, Wiara, Religia

¹³³satyr (mit. gr.) — jedna z istot wchodzących w skład orszaku Dionizosa, boga wina i dzikiej natury; satyrowie byli przedstawiani jako ludzie z kozłimi nogami i uszami, kojarzono ich z pożądaniem i lubieżnością. [przypis edytorski]

¹³⁴Owidiusz, właśc. *Publius Ovidius Naso* (43 p.n.e.–17 lub 18 n.e.) — jeden z największych poetów rzymskich, twórca licznych utworów o tematyce miłosnej oraz poematu epickiego *Metamorfozy* (*Przemiany*), w którym opowiada mity i legendy zawierające motyw przemiany ludzi w zwierzęta, rośliny i skały. [przypis edytorski]

Tak rozmawiając, doszliśmy do pałacu. Dach jego, oświetlony czerwonym blaskiem, odbijał silnie wśród otaczających go ciemności. Z jednego komina wylatywały snopy iskier i złotym deszczem spadały na ziemię; dym gęsty wypełzał ku górze. Myśleliśmy obaj, że pałac płonie, mój mistrz włosy rwał z głowy i narzekał:

— Mój Zosimos, moje papirusy, greckie rękopisy! Na pomoc, na pomoc!

Biegając przez główną aleję, roztrzając kałuże, w których odbijały się blaski pożaru, przebiegliśmy park cichy, pusty i w głębokich ciemnościach pogrążony. W pałacu wszystko zdawało się uspione; na ciemnych zupełnie schodach, po których biegliśmy ku górze, skacząc po kilka stopni od razu, słychać było huczenie ognia. Przystawaliśmy od czasu do czasu, starając się rozpoznać, skąd ten odgłos dochodzi.

Zdawało się nam, że huczenie idzie z korytarza na pierwszym piętrze, na którym dotąd noga nasza jeszcze nie powstała. Po omacku skierowaliśmy się w tę stronę i zobaczywszy przez szpary w zamkniętych drzwiach czerwony blask, całą siłą napaśliśmy podwoje. Uległy nagle: to Pan d'Astarac je otworzył i stał spokojnie przed nami; czarna, długa jego postać zarysowała się na tle rozplomienionego powietrza. Uprzejmie zapytał, co za ważna sprawa sprowadza nas do niego o tej porze. Nie było pożaru, palił się tylko straszny ogień w piecu; piec taki, jak dowiedziałem się później, zwie się athanor. W tej dosyć obszernej sali pełno było butelek o długich szyjkach, wokoło których wiły się szklane rurki zakończone jakby kaczym dziobem, pełno retort podobnych do pyzatyńskich z nosami niby trąby, kielichów, kolb, tygli i mnóstwa naczyń o kształtach nieznanymi. Mój mistrz, ocierając twarz błyszczącą jak zarzewie, rzekł:

— Ach, panie — rzekł — myśleliśmy, że zamek płonie jak wiązka suchego łuczywa; dzięki Bogu, że biblioteka niespalona. Ale widzę, że oddajesz się pan sztuce spagiryckiej¹³⁵.

— Nie będę krył przed wami, że zrobiłem w niej wielkie postępy, nie znalazłem jednak jeszcze tajemnicy, która prace me uczyni zupełnie doskonałymi. W chwili, gdyście te drzwi wyważali, zbierałem właśnie Ducha Świata i Kwiat Niebios, który jest prawdziwym Źródłem Młodości. Znasz się nieco na alchemii, księżo Coignardzie?

Ksiądz rzekł, że powierzchownie zaznajomił się z nią trochę z ksiązek, ale że uważa praktyki te za zgubne i przeciwne religii.

Pan d'Astarac uśmiechnął się i dodał:

— Jesteś człowiekiem zbyt przenikliwym, panie Coignardzie, byś miał nie znać Orła Latającego, Ptaka Hermesa, Kurę Hermogenesa, Głowę Kruka, Lwa Zielonego i Feniksa.

— Słyszałem — rzekł ksiądz Coignard — że są to nazwy kamienia filozoficznego w różnych jego stadiach, ale wątpię, by można przemieniać metale.

Pan d'Astarac z wielką pewnością siebie odparł:

— Bardzo łatwo mi usunąć twe wątpliwości.

I otworzywszy starą, kulawą skrzynię opartą o ścianę, wyjął z niej miedzianą monetę z wybitą postacią zmarłego króla i wskazał nam okrągłą płamę, przechodzącą na wskroś monety.

— Oto działanie kamienia filozoficznego, który zamienił miedź na srebro, ale to tylko drobnostka.

Znowu powrócił do skrzyni i tym razem wyjął z niej szafir wielkości jajka, opal niezwykłych rozmiarów i garść bardzo pięknych szmaragdów.

— Oto kilka próbek mej pracy; dowodzą one dostatecznie, że sztuka alchemiczna nie jest wcale marzeniem pustych głów.

Na dnie miseczki z drogiemi kamieniami leżało też pięć czy sześć małych brylantów, o których pan d'Astarac nawet nie wspomniał. Mój drogi mistrz zapytał, czy i one też są jego roboty. Gdy alchemik przytaknął, ksiądz Coignard rzekł:

— Radzę panu, byś ciekawym najprzód te małe kamienie pokazywał, a to przez ostrożność. Bo jeżeli najpierw pochwalisz się swym szafirem, opalem, rubinami, powiedzą, że tylko diabeł może takie cenne kamienie fabrykować, i wytoczą ci proces o czarnoksięstwo. Co prawda też, tylko diabeł może wytrzymać w atmosferze tych pieców ziejących ogniem; ja jestem tu dopiero może od kwadransu i jużem na wpół upieczony.

¹³⁵sztuka spagirycka — alchemia; od zaproponowanego przez szwajcarskiego lekarza i alchemika Paracelsusa (1493–1541) terminu *spagyria*, pochodzący od greckich słów *spao* (rozdzielać) oraz *ageiro* (łączyć). [przypis edytorski]

Pan d'Astarac uśmiechnął się dobrotliwie. Wyprowadzając nas do drzwi, powiedział jeszcze:

— Chociaż wiem, co mam myśleć o rzeczywistym istnieniu diabła i tego Drugiego, chętnie mówię o nich z ludźmi, którzy w nich wierzą. Diabeł i ten Drugi są to tylko pewne charaktery i można mówić o nich jak o Achillesie lub Tersytyesie¹³⁶. Bądźcie pewni panowie, że jeżeli diabeł jest taki, jak go opisują, nie zamieszkuje on subtelnego żywiołu ognia; wielkim nonsensem jest tak szkaradną bestię umieszczać w słońcu. Miałem już zaszczyt oświadczyć kapucynowi twej matki, panie Rożenku, że chrześcijanie spotwarzają Szatana i czartów. By na jakimś świecie nieznanym istnieć mogły twory złośliwsze od ludzi, rzecz to możliwa, ale prawie niepojęta. Z pewnością, jeśli istoty takie istnieją, zamieszkują one sfery pozbawione światła i, jeśli goreją, to goreją w lodach, które rzeczywiście sprawiają bóle piekące, nie zaś w błyszczących płomieniach, między świetlnymi córami gwiazd. Cierpią, ponieważ są źli, a zło jest cierpieniem, ale bóle ich pochodzą zapewne z odmrożeń. Co do Szatana waszego, przed którym drżą wasi teologowie, z tego, co opowiadacie o nim, nie uważam go za godnego wzgardy; jeżeli trafem istnieje rzeczywiście, widzę w nim nie szkaradną bestię, lecz raczej małego sylfa lub co najmniej trochę szyderczego i bardzo inteligentnego gnoma-hutnika.

Mój drogi mistrz zatkał sobie uszy i uciekał, nie chcąc słyszeć więcej.

— Co za bezbożność, Rożenku, mój synu! — zawołał, będąc już na schodach. — Co za bluźnierstwa! Czy odczułeś dobrze całą szkaradę poglądów tego filozofa? Posuwa on ateizm do jakiegoś radosnego szału, który mnie zadziwia. Ale to właśnie czyni go prawie niewinnym. Odlączywszy się od wszelkiej wiary, nie może on szarpać naszego świętego Kościoła, jak ci, co jeszcze złączeni są z nim jakimś okaleczalym i krwawiącym członkiem. Takimi są, mój synu, lutrzy i kalwini, którzy zakażają Kościół tam, gdzie doń przyrośli. Przeciwnie, ateusze gubią się tylko sami, toteż można obiadować u nich bez grzechu. Nie mamy zatem potrzeby robić sobie skrupułu, że pozostajemy u pana d'Astarac, choć nie wierzy on ani w Boga, ani w diabła. Ale czy widziałeś, Rożenku, na dnie miseczki tę garść brylantów, których liczby sam on zdaje się nie znać, a które wydały mi się bardzo czystej wody? Nie mam wielkiego zaufania do opali i szafirów, ale małe brylanciki wyglądają bardzo na prawdziwe.

Byliśmy już na poddaszu przed naszymi pokojami, więc dobrej nocy sobie życząc, rozeszliśmy się na spoczynek.

Wiedliśmy, mój dobry mistrz i ja, aż do wiosny żywot spokojny i jednostajny. Pracowaliśmy cały ranek zamknięci w naszej bibliotece, po obiedzie powracaliśmy tam znowu — jak na przedstawienie, mawiał Hieronim Coignard, nie by wzorem szlachty i lokai przypatrywać się niesmacznym błęźństwu, lecz by przysłuchiwać się wzniosłym, choć często sprzecznym dyskursom mędrców starożytnych.

W ten sposób odczytywanie i tłumaczenie Panopolitańczyka postępowało szybko. Ja niewiele do tego się przyczyniałem, taka praca przechodziła moje wiadomości, dosyć i tak trudno mi było nauczyć się znaków pisma greckiego na papierusach. Pomagałem jednak mojemu mistrzowi posiłkować się autorami, którzy mogli mu być pomocni w jego poszukiwaniach, zwłaszcza często zaglądałem do Olimpiodora i Focjusza¹³⁷; od tego to czasu dobrze poznałem ich dzieła. Te drobne usługi oddawane księdzu Coignardowi podnosiły mnie niemało we własnych oczach.

Po zimie ostrej i długiej byłem już kandydatem na uczonego, gdy nagle prawie przyszła wiosna, ze świetnym swym dworem, z błękitem niebios, z bładą zielenią i śpiewem ptaszek. Zapach rozkwitłych bzów, wznoszący się aż do biblioteki, odurzał mnie i naprowadzał marzenia, z których mój drogi mistrz wyrывał mnie nagle, mówiąc:

¹³⁶*Achilles i Tersytes* (mit. gr.) — bohaterowie *Iliady*, wojownicy achajscy biorący udział w oblężeniu Troi: Achilles był mężny, zaś Tersytes kłótniwy i tchórzliwy. [przypis edytorski]

¹³⁷*Olimpiodor i Focjusz* — *Olimpiodor Młodszy* (ok. 500–ok. 570): filozof neoplatonicki ze szkoły aleksandryjskiej, komentator Arystotelesa; *Focjusz* (ok. 820–891): patriarcha Konstantynopola, autor dzieła *Biblioteka*, zawierającego omówienia 279 prac z różnych dziedzin, z których większość nie zachowała się do naszych czasów. [przypis edytorski]

— Kubusiu Rożenku, wejdź no na drabinę i zobacz, czy ten łotr Manethon¹³⁸ nie wspomina o jakimś bożku Imhotepie¹³⁹, który sprzecznościami swymi męczy mnie diabelnie. — I z miną zadowoloną zażywał niuch tabaki. — Synu — ciągnął dalej — zdziwiająca to rzecz, jak wielki wpływ na nasz stan moralny miewa nasz ubiór. Od czasu jak płaszczyk mój rozmaitymi sosami poplamilem w użyciu, czuję się o wiele mniej porządnym człowiekiem. A ciebie, Rożenku, od czasu jak jesteś ubrany jak hrabia, czy nie bierze chętką zachodzić do garderoby jakiej aktorki w operze lub rzucić garść fałszywych luidorów¹⁴⁰ w partii faraona¹⁴¹ — jednym słowem, czy nie czujesz się człowiekiem wyższego świata? Nie tłumacz słów moich źle, ale zważ, że dosyć jest pierwszemu lepszemu gburowi dać bermycę¹⁴² z kitą, by poszedł natychmiast dać się zabić w służbie króla. Rożenku, na uczucia nasze wpływa tysiące rzeczy drobnych, wymykających się spod uwagi, a los naszej duszy nieśmiertelnej zależy często od powiewu zbyt słabego nawet, by pochylić źdźbło trawy. Jesteśmy igraszką wiatrów. Ale podaj mi, proszę cię, te *Rudimenta Vossiusa*¹⁴³, których czerwone grzbiety widzę pod twą lewą pachą.

Dnia tego po obiedzie pan d'Astarac wyszedł z mistrzem moim i ze mną na przechadzkę po parku. Zaprowadził nas ku wschodniej stronie, skąd widać było Rueil i Mont-Valérien. Była to część parku najbardziej zapuszczona i zaniedbana. Bluszcz i trawa, strzyżone tylko przez króliki, zarastały aleje; od czasu do czasu zwalone pnie suchych drzew zagradzały drogę. Marmurowe posągi stojące wzdłuż alei uśmiechały się, obojętne na swą ruinę; nimfa złamaną rękę podnosiła do ust, jakby zalecała ostrożność pasterzowi; młody faun¹⁴⁴, którego głowa leżała w trawie, podnosił jeszcze fletnię do ust; wszystkie te szczątki dawnych bóstw, zda się, uczyły nas gardzić niszczącą potęgą lat i losu.

Idąc brzegiem rowu, wyszliśmy na mały placyk, gdzie stały pochylone czary, z których piły gołębie; stamtąd zapuściliśmy się w wąską ścieżkę wijącą się wśród gęstwiny krzaków.

— Idźcie ostrożnie — rzekł pan d'Astarac — ścieżka ta jest niebezpieczna, bo z obydwóch stron otoczona jest mandragorami¹⁴⁵, które nocami śpiewają u stóp drzew. Ukryte są przy ziemi, ale strzeżcie się nastąpić na nie, byłoby to zgubą dla was, bo smutne są namiętności, którymi darzą mandragory: niecą one mękę kochania lub pragnienie bogactw.

Zapytałem, jak uniknąć można tego niewidzialnego niebezpieczeństwa, na co otrzymałem od pana d'Astarac'a niezbyt uspokajającą odpowiedź, że tylko intuicją, przeczućciem, a niczym innym kierować się można.

— W ogóle — dodał — ta ścieżka jest urocza.

Prowadziła nas ona prosto do małego pawiloniku z cegły, ukrytego wśród bluszczu; zapewne był on niegdyś mieszkaniem leśniczego. Tu kończył się park i zaczynały się monotonne bagniska Sekwany.

— Widzicie ten pawilon — rzekł pan d'Astarac — mieszka w nim najuczestszy z ludzi. Tu Mozaides, sto dwanaście lat wieku liczący, z majestatyczną wytrwałością przenika arkana przyrody. Prześcignął znacznie Imbonatusa i Bartoloniego¹⁴⁶. Szczycę się tym, panowie, że pod mym dachem przebywa kabalista największy po Enochu, synu Kaina.

¹³⁸Manethon (III w. p.n.e.) — zhellenizowany kapłan egipski, autor napisanej po grecku historii Egiptu (*Aegyptiaca*), z której zachowały się fragmenty w pracach późniejszych autorów. [przypis edytorski]

¹³⁹Imhotep (ok. XXVIII w. p.n.e.) — wezyr faraona Dżesera, twórca piramidy schodkowej w Sakkarze; w późniejszej tradycji uznawany za autora tekstów mądrościowych i lekarza, czczony jako bóg architektury, matematyki i medycyny, patron skrybów. [przypis edytorski]

¹⁴⁰luidor (z fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]

¹⁴¹faraon — dawna gra w karty. [przypis edytorski]

¹⁴²bermyca (z niem.) — wysoka czapka, najczęściej wykonana z niedźwiedziej skóry w oryginalnym kolorze lub nią pokryta, używana przez żołnierzy wojsk wyborowych (dziś m.in. przez reprezentacyjną gwardię brytyjską). [przypis edytorski]

¹⁴³Vossius, Gerardus (1577–1649) — niderlandzki uczyony i humanista; autor licznych dzieł z dziedziny historii, retoryki, gramatyki, m.in. *Linguae graecae rudimenta*. [przypis edytorski]

¹⁴⁴faun (mit. rzym.) — istota leśna wyobrażana jako mężczyzna z kozłimi kopytami i rogami; utożsamiana z greckim satyrem. [przypis edytorski]

¹⁴⁵mandragora — roślina o korzeniu przypominającym sylwetkę człowieka; używana jako lek i amulet, była obiektem legend o jej nadzwyczajnych własnościach, m.in. krzyku, jaki wydaje podczas wyciągania z ziemi. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Imbonatus i Bartoloni — Bartoloni: zapewne raczej Giulio Bartolucci (1613–1687), włoski hebraista z zakonu cystersów, autor czterotomowej pracy bibliograficznej *Bibliotheca Magna Rabbinica*, której ostatni tom opracował jego uczeń Imbonatus (właśc. Carlo Giuseppe Imbonati), autor późniejszego dodatku do tego dzieła pt. *Bibliotheca latino-hebraica*. [przypis edytorski]

Skrupuły religijne nie pozwalają Mozaidesowi zasiąść za mym stołem, który uważa za chrześcijański, czym zbyt wiele honoru mu oddaje. Nie macie pojęcia, jak silna jest u tego mędrca nienawiść do chrześcijan; z wielkim dopiero trudem zgodził się zamieszkać w tym pawilonie, gdzie przebywa sam z siostrzenicą swą Jahelą. Dość już długo czekaliście panowie na znajomość z Mozaidesem, toteż was obojdwóch przedstawię zaraz temu boskiemu człowiekowi.

To powiedziawszy, pan d'Astarac wszedł z nami do pawilonu i po kręconych schodach wprowadził nas do pokoju, gdzie wśród stosu rozrzuconych rękopisów, w głębokim fotelu z wysokimi poduszkami, siedział starzec o żywych oczach, haczykowatym nosie; dwa długie, rzadkie pasma siwej brody spływały mu z krótkiego, w tył podanego podbródka. Aksamitna czapka, o kształtach korony cesarskiej, nakrywała jego łysą głowę, ciało nieludzko chude owinięte było starą, żółtą jedwabną szatą, błyszczącą i brudną.

Choć przenikliwe spojrzenie jego zwrócone było na nas, żadnym ruchem nie zdradził, że zauważył nasze przyjście; twarz jego miała wyraz boleśnie uparty, w palcach pomarszczonych wolno kręcił trzcinę, która służyła mu za pióro.

— Słów próżnych nie spodziewajcie się od Mozaidesa — rzekł pan d'Astarac. — Od dawna już mędrzec ten rozmawia tylko z duchami i ze mną. Słowa jego są cudowne. Ponieważ nie zechce pewnie rozmawiać z wami, w kilku słowach objaśnię wam jego zasługi. On pierwszy przeniknął duchową treść ksiąg Mojżesza, opierając się na liczbowej wartości liter hebrajskich, co zależy od porządku liter alfabetu. Porządek ten zakłócony był, począwszy od litery jedenastej. Mozaides go przywrócił; dokonał, czego nie mogli dokazać Atrabis, Filon, Awicenna, Rajmund Lullus, Pico della Mirandola, Reuchelin, Henryk Morus i Robert Flydd¹⁴⁷. Mozaid zna liczbę złotą, która odpowiada słowu „Jehowa” w świecie duchów. Pojmujecie, panowie, że jest to rzeczą nieskończonej wagi.

Mój drogi mistrz wyjął tabakierkę z kieszeni, podał nam ją uprzejmie i pociągając niuch tabaki, rzekł:

— Czy nie sądzisz, panie d'Astarac, że wiadomości te są zupełnie zdolne zaprowadzić waszą miłość prosto do piekła po przekroczeniu tego doczesnego żywota? Bo ostatecznie imci Mozaides błdzi widocznie w wykładzie Pism Świętych. Gdy Zbawiciel Pan nasz zmarł na krzyżu dla odkupienia rodu ludzkiego, synagoga poczuła, iż spadła jej przepaska na oczy; zachwiała się jak pijana niewiasta i korona runęła jej z głowy. Odtąd zrozumienie Starego Testamentu znajduje się w Kościele katolickim, do którego należą mimo licznych swych nieprawości.

Na te słowa Mozaides, podobny do dawnych bożków-kozlów, zaśmiał się przerażająco i rzekł do mego drogiego mistrza głosem cierpkim, wolnym i jakby z oddali dochodzącym:

— Maszora¹⁴⁸ nie powierzyła ci swych tajemnic i Miszna¹⁴⁹ nie objawiła ci swych tajni.

— Mozaides — mówił dalej pan d'Astarac — tłumaczy jasno nie tylko księgi Mojżesza, ale co ważniejsze, księgę Enocha, którą chrześcijanie odrzucili, nie rozumiejąc jej, tak jak ów kogut z bajki arabskiej wzgardził perłami, które znalazły się były w jego pośladzie¹⁵⁰. Ta księga Enocha jest tym cenniejsza, księże Coignard, że z niej dowiadujemy się o pierwszych stosunkach cór ludzi z sylfami. Bo pojmujesz, że te anioły, które według słów Enocha wchodzą z kobietami w związki miłosne, są to właśnie sylfy i salamandry.

¹⁴⁷ *Filon, Awicenna, Rajmund Lullus, Pico della Mirandola, Reuchelin, Henryk Morus i Robert Flydd* — *Filon z Aleksandrii* (ok. 10 p.n.e.–ok. 40 n.e.): filozof i teolog żydowski piszący po grecku; *Awicenna, właśc. Ibn Sina* (908–1036): perski uczony, lekarz, jeden z najwybitniejszych filozofów islamu; *Rajmund Lull* (ok. 1232–ok. 1315): kataloński filozof, teolog i poeta; *Giovanni Pico della Mirandola* (1463–1494): włoski filozof i filolog; *Johannes Reuchlin* (1455–1522): niemiecki filozof, humanista i hebraista; *Henryk Morus, właśc. Henry More* (1614–1687): angielski teolog i filozof, członek grupy platoników z Cambridge; *Robert Fludd* (1574–1637): angielski medyk, alchemik, astrolog. [przypis edytorski]

¹⁴⁸ *maszora* — dziś popr.: *masora* (hebr.: tradycja), zbiór uwag, komentarzy, danych statystycznych i reguł, których celem jest zachowanie i przekazanie tekstu biblijnego w niezmiennym kształcie, wypracowany przez żydowskich uczonych, spisany między VI a X w. n.e.; ujednolicony tekst ustalony przez tych uczonych (masoretów), zwany tekstem masoreckim, został powszechnie przyjęty w judaizmie za obowiązującą wersję tekstu Biblii. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ *Miszna* — uporządkowany zbiór starożytnego żydowskiego prawa ustnego, uzupełniający prawo przekazywane przez Torę (biblijny Pięcioksiąg), spisany w II–III w., stanowiący najstarszą część *Talmudu*. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *poślad* — gorszej jakości zboże, używane jako pasza. [przypis edytorski]

— Zgodzę się i na to, by ci się nie sprzeciwiać — odpowiedział mój mistrz. — Ale podług tego, co doszło do nas z księgi Enocha, która widocznie jest apokryfem¹⁵¹, podejrzewam, że anioły te nie były sylfami, lecz kupcami fenickimi.

— A na czym to — rzekł pan d'Astarac — zasadzasz pan tę swą szczególną opinię?

— Zasadzam ją na tym, co w księdze tej powiedziano, że anieli nauczyli kobiety użycia naszyjników i naramienników, sztuki malowania brwi i używania farb rozmaitych. Również napisano tam, że anieli nauczyli córy ludzkie własności korzeni i drzew, czarowania, sztuki gwiazdziarskiej. Czyż tak po prawdzie, anioły te nie są zupełnie podobne do jakichś tyryjczyków lub sydończyków¹⁵², lądujących na dzikim, wpół bezludnym wybrzeżu, i u podnóża skał rozkładających swój kram, by kusić nim córy dzikich plemion. Handlarze ci w zamian za bursztyń, kadzidła, futra, dawali miedziane naszyjniki, amulety, leki i zadziwiali te piękne nieuczzone stworzenia opowiadaniem o gwiazdach, których znajomości nabyli w żegludze. To chyba jasne i pragnąłbym wiedzieć, w jaki sposób pan Mozaides zaprzeczy temu!

Mozaides milczał dalej, a pan d'Astarac znów się uśmiechnął:

— Księżu Coignardzie, jak na człowieka nieznającego Gnozy i Kabały, rozumujesz wcale nieźle. Twoje słowa zwróciły moją uwagę na to, że między tymi sylfami, którzy połączyli się w miłości z córami ludzi, mógł znajdować się jakiś gnom-hutnik i złotnik. Gnomy chętnie zajmują się złotnictwem i prawdopodobne jest, że to te duchy przemysłne ukuły owe naramienniki, które bierzesz za fenicką robotę. Ale uprzedzam, że nie będzie z korzyścią dla was, mości księżu, mierzyć się z Mozaidesem co do znawstwa starożytności. Odnalazł on dokumenty odwieczne, które uważano za stracone, między innymi kolumnę Seta¹⁵³ i wyrocznie Sambethei, córki Noego, pierwszej Sybilli¹⁵⁴.

— Och! — zawołał mój mistrz drogi, podskakując tak, że tumany kurzu wzbiły się z zaproszonej podłogi. — Och, co za bajki! Tęgo już zanadto. Drwisz pan z nas, i Mozaides nie mógł do tej głowy, pod tę wielką, do korony Karola Wielkiego¹⁵⁵ podobną czapkę naładować tyle szaleństw. Ta kolumna Seta jest śmiesznym wymysłem Józefa Flawiusza¹⁵⁶, bajką bez sensu, na którą się dotąd, prócz pana nikt nie złapał. Co zaś do przepowiedni Sambethei, córki Noego, to pragnąłbym bardzo je słyszeć i pan Mozaides, tak skąpy w słowach, wyświadczyłby mi grzeczność, gdyby je chciał przez usta swe przepuścić, bo przyznaję chętnie, że nie może on użyć w tym celu owych innych, bardziej ukrytych dróg, którymi dawne Sybille posługiwały się, wydając swe tajemnicze wyrocznie.

Mozaides, który dotąd zdawał się nic nie słyszeć, nagle rzekł:

— Córka Noego przemówiła, Sambetea rzekła: „Człowiek próżny, który wyśmiewa się i szydzi, nie usłyszy głosu wychodzącego z siódmej świętości; bezbożnik goni ku niechybnej swej zgubie”.

Po tej wyroczni rozstaliśmy się wszyscy z Mozaidesem.

Tęgo roku lato było przepiękne i zachęcało mnie do przechadzek. Pewnego dnia błądziłem pod drzewami Cours-la-Reine; miałem przy sobie dwa dukaty, które znalazłem był tego ranka w kieszeni mego ubrania — był to pierwszy objaw szkodliwości naszego fabrykanta złota. Usiadłem na werandzie cukierni przy stoliku, którego szczupłość

¹⁵¹apokryf (z gr.: *apokryphos*: ukryty, tajemny) — judaistyczne i wczesnochrześcijańskie księgi religijne niewłączone do kanonu biblijnego; pierwotnie: tekst ukryty, tajemny, tylko dla wtajemniczonych, co nie oznaczało tekstu o wątpliwej autentyczności czy wręcz nieautentycznego. [przypis edytorski]

¹⁵²tyryjczycy i sydończycy — mieszkańcy Tyru i Sydonu, najważniejszych miast-państw staroż. Fenicjan, położonych na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w ob. Libanie. [przypis edytorski]

¹⁵³kolumna Seta — wg żydowskiego pisarza Józefa Flawiusza (*Starożytności żydowskie* I 2) Set, biblijny trzeci syn Adama i Ewy, zdobył wiedzę o ciałach niebieskich i ich układzie, a ponieważ Adam przewidywał, że świat zostanie kiedyś zniszczony, raz przez ogień, a raz przez wodę, Set zbudował dwie kolumny: z cegły i z kamienia (na wypadek, gdyby ceglana zniszczyła wodą), na których spisał odkrycia, by je zachować dla ludzkości; kolumna miała ocaleć i znajdować się w krainie Sirdiad. [przypis edytorski]

¹⁵⁴Sybilla (mit. gr; mit. rzym.) — wieszczka przepowiadająca przyszłość; najbardziej znaną Sybillą była kapłanka wyroczni Apollina w Cumae, której przypisywano autorstwo ksiąg z przepowiedniami dotyczącymi losów Rzymu. [przypis edytorski]

¹⁵⁵Karol I Wielki (ok. 742–814) — król Franków i Longobardów, cesarz rzymski, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku cesarstwa zachodniorzymskiego. [przypis edytorski]

¹⁵⁶Józef Flawiusz (I w.) — historyk żydowski piszący po grecku. [przypis edytorski]

odpowiadała w sam raz samotności mej i nieśmiałości; zacząłem rozmyślać tam nad dziwnym biegiem mych losów, podczas gdy wkoło mnie muszkietierowie w towarzystwie wesołych dziewcząt spijali wina hiszpańskie. Zdawało mi się chwilami, że Krzyż des Sablons, pan d'Astarac, Mozaides, papirus Zosimos, moje piękne ubranie, że to wszystko to tylko sen, z którego ocknę się lada chwila, aby znaleźć się w kurtce kuchcika, przy rożnie w gospodzie „Królowej Gęsiej Nózki”.

Z mych marzeń wyrwało mnie nagle pociągnięcie za rękaw; ujrzałem przed sobą brata Anioła, którego twarz kryła się zupełnie między kapturem a brodą.

— Panie Jakubie Ménétrier — rzekł po cichu — pewna panna, która pragnie twego dobra, czeka na ciebie w karecie na szosie, między rzeką a bramą de la Conférence.

Serce zabiło mi silnie. Zadziwiony i zachwycony tą przygodą, udałem się natychmiast ku wskazanemu przez kapucyna miejscu, starając się jednak iść — co uważałem za najstosowniejsze — krokiem spokojnym. Przybywszy na brzeg, ujrzałem karetę; mała rączka kobieca oparta była na jej drzwiczkach.

Drzwiczki te otwały się, gdym się zbliżył; ku zdziwieniu swemu zobaczyłem w karecie pannę Katarzynę, w różowej atlasowej sukni, w kapturku, którego czarne koronki ładny tworzyły kontrast z jej jasnymi włosami.

Zmieszany stałem na stopniu karety.

— Chodź — rzekła — siadaj przy mnie. Proszę cię, zamknij drzwiczki; nie chcę, by cię widziano. Przejeżdżając w tej chwili koło Cours-la-Reine, zobaczyłam cię przed cukiernią, kazałam cię zaraz przywołać przez braciszka, którego wzięłam dla ćwiczeń wielkopostnych i odtąd zatrzymałam przy sobie; jakiegokolwiek zdarzą się okoliczności, pobożnym być należy. Bardzo ładnie wyglądałeś, panie Jakubie, przy tym małym stoliku, ze szpadą na kolanach, z miną zadumaną człowieka wyższego stanu. Miałam zawsze sympatię dla ciebie, a nie należę do tych kobiet, które w powodzeniu zapominają o dawnej przyjaźni.

— A więc, panno Katarzyno — zawołałem — ta karetka, ci lokaje, ta atlasowa suknia...

— Są to — odrzekła — dowody szczodrości pana de la Guéritaude, jednego z najbogatszych finansistów. Prowadzi interesy z dworem, pożyczka pieniądze królowi. Jest to przyjaciel doskonały, którego za nic w świecie nie chciałabym rozgniewać; nie jest jednak tak miły jak pan, panie Jakubie. Dał mi też mały domek w Grenelle, który ci pokażę od piwnicy do strychu. Panie Jakubie, jestem bardzo kontenta, że jesteś na drodze do kariery; prawdziwe zdolności zawsze wyjdą na wierzch. Zobaczysz moją sypialnię, cała lustrzana i złocona, jak sypialnia panny Davilliers. Co porabia twoje ojczyisko? Między nami mówiąc, zanadto zaniedbywał swą żonę i gospodę, a to jest bardzo źle u człowieka jego stanu. Ale mówmy o tobie.

— Mówmy o tobie, panno Katarzyno — rzekłem nareszcie. — Jesteś bardzo ładna i doprawdy szkoda wielka, że lubisz kapucynów; bo już co do generalnych dzierżawców¹⁵⁷, tych trzeba ci wybaczyc.

— Och! — zawołała. — Nie wymawiaj mi brata Anioła; trzymam go tylko dla swego zbawienia i gdybym miała dać rywala panu de la Guéritaude, byłby nim...

— Byłby nim?

— Nie pytaj mnie, panie Jakubie. Jesteś niewdzięcznik; bo wiesz dobrze, że zawsze cię wyróżniałam, ale nie zwracałeś na to uwagi.

— Przeciwnie, byłem nawet bardzo wrażliwy na twoje szyderstwa, panno Katarzyno. Zawstydzonaś mnie zawsze tym, że jeszcze nie mam wąsów; mówiłaś mi nieraz, że jestem do niczego...

— Była to prawda, panie Jakubie, więcej nawet, niż ci się zdaje. Dlaczegoż nie domyśliłaś się, że jak najlepiej jestem dla ciebie usposobiona?

— Bo też dlaczego, Kasiu, byłaś tak ładna, że aż strach mnie brał? Nie śmiałem spojrzeć na ciebie, a raz przecież widziałem, że na serio byłaś zagniewana na mnie.

¹⁵⁷generalny dzierżawca — w dawnej Francji jedna z osób, które na podstawie zawartych odnawialnych kontraktów pobierały podatki w imieniu króla w zamian za sowite premie dla siebie. [przypis edytorski]

— I miałam rację, panie Jakubie. Nade mnie wolałeś tę Sabaudkę z chustką na głowie, tego wyrzutka z portu Świętego Mikołaja¹⁵⁸.

— Ach, wierz mi, Kasiu, że nie było to ani z upodobania, ani ze skłonności, lecz dlatego jedynie, że użyła ona środków energicznych dla pokonania mej nieśmiałości.

— Ach, mój drogi, jestem starsza od ciebie; wierz mi, że nieśmiałość jest wielkim grzechem przeciw miłości. Czy nie widziałeś, że żebraczka ta nosi dziurawe pończochy i że ma u skraju spódnic na pół łokcia szeroką falbanę z brudu i błota?

— Widziałem to, Kasiu.

— Czyż nie widziałeś, że jest ona źle zbudowana, a nade wszystko dobrze zniszczona?

— Widziałem, moja Kasiu.

— Jakże więc ty, z twoją białą cerą i dystyngowanym obejściem, mogłeś kochać tę małą sabaudzką?

— Sam tego nie pojmuję, Kasiu. W owej chwili wszystkie myśli moje musiały być pełne ciebie. I pomyśl tylko: jeżeli sama myśl o tobie dała mi siłę i odwagę, którą mi dziś wyrzucasz, jakie by były moje zapęły, gdybym był miał w swych objęciach ciebie lub przynajmniej dziewczynę do ciebie podobną. Bo kochałem cię bardzo.

Wzięła mnie za rękę i westchnęła. Smutnym głosem mówiłem dalej:

— Kochałem cię, Kasiu, i kochałbym cię dziś jeszcze, gdyby nie ten mnich obrzydliwy. Oburzyła się.

— Co za posądzenie! Gniewasz mnie doprawdy; głupstwa mówisz.

— Nie kochasz więc kapucynów?

— Pfe!

Nie uważałem za stosowne napierać więcej w tej sprawie. Objąłem ją wpół, usta nasze się spotkały i całe jestestwo moje rozplynęło się w rozkoszy tego pocałunku. Po chwili miękkiego poddania wyrwała się z mych objęć z zarumienioną twarzą, wilgotnym okiem i rozchylonymi ustami. Od tej pory poznałem, jak zdobi kobietę pocałunek złożony na jej ustach. Od pocałunku mego na licach Kasi zakwitły róże najśliczniejszej barwy, oczy jej jak kwiat błękitne zwilżyła rosa błyszcząca.

— Dziecko jesteś — rzekła, poprawiając kapturek. — Idź teraz, nie możesz pozostać ani chwili dłużej. Pan de la Guéritaude przyjdzie niebawem, kocha on mnie tak niecierpliwie, że wyprzedza zwykle godzinę spotkania.

Widząc na mej twarzy przykrość, jaką mi te słowa sprawiły, dodała czule i żywo:

— Ale słuchaj mnie, Jakubie; o dziewiątej wraca on zawsze do swej starej żony, która z wiekiem jest coraz zgryźliwsza i której zazdrość straszna nie znosi niewierności męża, od czasu zwłaszcza, jak już nie może sama odpłacić mu takąż monetą. Przyjdź do mnie dziś o pół do dziesiątej wieczorem. Dom mój jest na rogu ulicy du Bac. Poznasz go łatwo, ma po trzy okna na każdym piętrze i balkon kryty różami; wiesz, że zawsze lubiłam kwiaty. Do widzenia — wieczorem!

Odepchnęła mnie pieszczotliwym gestem, w którym zdawał się zdradzać żal, że nie mogła mnie zatrzymać, i z paluszkami na ustach szepnęła jeszcze:

— Do dziś wieczora!

Nie wiem, jak zdołałem wyrwać się z objęć Kasi, wiem tylko, że wyskakując z karety, omal nie wpadłem na pana d'Astarac, którego długa postać stała jak pień na brzegu szosy. Ukłoniłem mu się grzecznie i wyraziłem zdziwienie z tak szczęśliwego trafu.

— Traf — odrzekł — zmniejsza się, w miarę jak zwiększa się wiedza; dla mnie on nie istnieje już więcej, wiedziałem bardzo dobrze, mój synu, że cię tu spotkam. Mam z tobą do pomówienia i nie chcę odkładać tego nadal. Chodźmy, proszę cię, poszukaj samotności i ciszy, potrzebnej dla naszej rozmowy. Nie przybieraj tak zafrasowanej miny, tajemnice, które ci chcę odsłonić są cudowne zaprawdę, ale przyjemne zarazem.

To powiedziawszy, zaprowadził mnie brzegiem Sekwany aż do Wyspy Łabędziej, która wznosiła się jak łąka zieleni na środku rzeki. Tu skinął na przewoźnika i wkrótce łądz

Los, Wiedza

¹⁵⁸port Świętego Mikołaja (fr. port Saint-Nicolas) — dawny port Paryża, który znajdował się na prawym brzegu Sekwany, w pobliżu kościoła Saint-Nicolas-du-Louvre (XIII w.), zburzonego na krótko przed rewolucją. [przypis edytorski]

przewiozła nas na tę wyspę zieloną, uczęszczaną w dniu pogodne przez inwalidów, grających tu w kręgle i popijających wino. Noc zapalała pierwsze gwiazdy, w trawie słychać było szmer owadów. Wyspa o tej porze była zupełnie pusta; pan d'Astarac usiadł w pół jeszcze widnym końcu alei orzechowej i zaprosił mnie, bym siadł przy nim, odezwał się w te słowa:

— Trzem rodzajom ludzi, synu, filozof nie może odsłonić swych tajemnic: książętom — bo potęgę ich powiększać byłoby rzeczą nieostrożną, zuchwalcom — bo nie należy uzbierać ich myśli bezlitosnych, i rozpustnikom — bo mogliby tajemnej wiedzy użyć na zaspokojenie swych złych namiętności.

Ale mogę otworzyć je tobie, mój synu, gdyż nie jesteś ani rozpustnikiem, za nic bowiem liczę błąd, w który przed chwilą popaść miałeś w objęciach tej dziewczyny, ani ambitnym, skoro zadowalałeś się dotąd obracaniem różną w kuchni ojcowskiej. Bez obawy więc odsłonię ci ukryte prawa wszechświata.

Nie należy sądzić, że życie ogranicza się do tych ciasnych warunków, w których jedynie widome jest oczom pospółstwa. Filozofowie i teolodzy wasi, nauczając, że człowiek jest celem i końcem stworzenia, rozumują jak stonogi w Wersalu i Tuileryach¹⁵⁹, gdyby im się zdawało, że wilgoć piwnic istnieje tylko dla nich, a reszta zamku nie może być zamieszkała.

System świata, jak go w zeszłym stuleciu podług Arystarcha z Samos¹⁶⁰ i filozofów pitagorejskich nauczał Kopernik, znany ci jest zapewne, bo z podręczników znają go¹⁶¹ nawet bazgracze szkolni i miejskie gąski; u mnie widziałeś przyrząd objaśniający go dokładnie za pomocą ruchu zegarowego.

Wzniesz oczy, synu! Widzisz nad twą głową Wóz Dawida, jak ciągnięty przez Mizara i dwie inne gwiazdziste towarzyski, okrąża biegun, dalej idzie Arktur, Wega z Lutni, Kłos Panny, Korona Ariadny — wszystko to są słońca. Prosty rzut oka na świat wystarcza, aby widzieć, że całe stworzenie jest dziełem ognia i że życie w swych formach najpiękniejszych winno być podsyćcane płomieniem.

Czym zaś są planety? Zlepkiem błota, brudu i pleśni! Przyjrzyj się natomiast wspaniałemu orszakowi gwiazd, zgromadzeniu słońc. W wielkości i potędze równają się one lub przewyższają słońce nasze, a gdy w jasną noc zimową pokażę ci w mej lunecie Syriusza, oczy twoje i dusza będą olśnione. Czy w dobrej wierze myślisz, że Syriusz, Altair, Regulus, Aldebaran, wszystkie te słońca wreszcie są tylko przeznaczone, by nam świecić? Czy myślisz, że ten stary Febus¹⁶², od wieków potoki światła i ciepła lejący w przestwór, w którym krążymy, za jedyny cel ma oświetlać Ziemię i kilka innych drobnych, nikczemnych¹⁶³ planet? To mi świeca! Milion razy większa niż cała izba!

Musiałem naprzód objaśnić ci, że wszechświat składa się ze słońc i że wszystkie w nim znajdujące się planety są mniej niż niczym. Przewiduję, co chcesz temu zarzucić, i zaraz odpowiem. Słońca, powiesz, z biegiem wieków gasną i stają się także zlepkiem błota.

Nie, odrzeknę, bo utrzymują się przy życiu przez komety, które przyciągnięte spadają na te słońca. To są siedliska prawdziwego życia; planety i ziemia nasza są tylko miejscem zamieszkania larw. Oto prawdy, którymi przede wszystkim powinieneś się przejąć, mój synu.

Teraz, synu, gdy wiesz już, że ogień jest żywiołem naczelnym, łatwiej pojmiesz to, czego chcę cię nauczyć, a co jest o wiele ważniejsze niż wszystko, czego nauczyłeś się dotąd, ważniejsze niż wszystko, co rzekli kiedykolwiek Erazm, Turnebus, Scaliger¹⁶⁴. Nie wspo-

¹⁵⁹Wersal i Tuilerie — pałace królów francuskich. [przypis edytorski]

¹⁶⁰Arystarch z Samos (ok. 310–230 p.n.e.) — grecki astronom i matematyk, który jako pierwszy zaproponował heliocentryczny model Układu Słonecznego. [przypis edytorski]

¹⁶¹System świata, jak go (...) nauczał Kopernik, znany ci jest zapewne, bo z podręczników znają go — znany, ale wówczas oficjalnie nadal nieakceptowany przez Kościół katolicki, gdyż z powodów religijnych tezę o nieruchomości Słońca i ruchomości Ziemi uważano za heretycką; książka Kopernika i inne dzieła traktujące o heliocentryzmie jako prawdziwym obrazie świata w XVIII w. nadal umieszczone były na kościelnym indeksie ksiąg zakazanych; zakaz zniesiono dopiero w XIX wieku. [przypis edytorski]

¹⁶²Febus (mit. gr., , mit. rzym.) — zlatynizowana forma słowa *Fojbos* (gr.: promienny), przydomek Apolla, boga światła i słońca. [przypis edytorski]

¹⁶³nikczemny (daw.) — marny, niewiele wart. [przypis edytorski]

¹⁶⁴Erazm, Turnebus, Scaliger — Erazm z Rotterdamu, właśc. *Gerrit Gerritszoon* (1467–1536): holenderski filozof, filolog, jeden z czołowych przedstawicieli renesansowego humanizmu; *Adrianus Turnebus*, właśc. *Adrien Turnèbe* (1512–1565): francuski humanista, hellenista; *Jules César Scaliger* (1484–1558): działający we Francji humanista i filolog włoski, adwersarz Erazma z Rotterdamu. [przypis edytorski]

minam już nawet o teologach, jak Quesnel lub Bossuet¹⁶⁵, są to męty ducha ludzkiego i mają rozumu nie więcej niż oficer gwardii. Nie traćmy czasu, by gardzić tymi mózga-
mi, które co do wielkości i kształtu podobne do jaj ptasich; wracajmy do treści naszej
rozmowy. Podczas gdy istoty powstałe z gliny nie mogą przekroczyć pewnego stopnia
doskonałości, stopień ten co do piękności kształtów osiągnął był Antinous¹⁶⁶ i pani de
Parabère¹⁶⁷, a co do zdolności poznania, jedynie Demokryt¹⁶⁸ i ja — istoty powstałe
z ognia rozporządzają mądrością i inteligencją, o jakich my nawet pojęcia nie mamy.

Taka jest, mój synu, natura tych pełnych chwały dzieci słońca. Znane im są prawa
wszechświata równie dobrze jak nam gra szachowa, bieg gwiazd na niebie nie ma dla
nich tajemnic, jak dla nas skoki króla, wieży i konika na szachownicy. Duchy te stwarzają
światy w tych częściach przestworza, gdzie nie było ich dotąd, i kształtują je podług swego
upodobania; jest to dla nich rozrywką, która na chwilę ich odrywa od ważniejszej sprawy
spajania się ze sobą w niewypowiedzianych uniesieniach miłosnych. Wczoraj zwróciłem
mą lunetę w znak Panny i dostrzegłem daleki świetlany obłoczek; jest to zapewne, mój
synu, dzieło jeszcze bezkształtne jednego z tych tworów ognia.

Zaprawdę, wszechświat tylko stąd bierze swe pochodzenie. Bynajmniej nie jest on
wynikiem woli jedynej, lecz jest rezultatem cudownych kaprysów wielkiej liczby du-
chów, które zabawiały się tym tworzeniem, każdy oddzielnie i każdy w innym czasie. To
tłumaczy różnorodność, wspaniałość i niedoskonałość świata, bo potęga i wiedza tych
duchów, choć niezmierne, mają także swe granice. Kłamałbym, utrzymując, że człowiek,
choćby był filozofem lub magiem, może wejść z nimi w bliskie stosunki; przeciwnie,
żaden z nich mi się nie objawił, i to, co ci o nich opowiadam, znam tylko bądź ze słysze-
nia, bądź przez indukcję. Toteż, choć istnienie ich jest pewne, posunąłbym się za daleko,
opisując ci ich charakter i obyczaje. Trzeba umieć nie wiedzieć, mój synu; szczyć się
tym, że przedstawiam tylko fakty dokładnie zaobserwowane. Zostawmy więc te duchy,
a raczej tych demiurgów w ich odległej chwale i zajmijmy się znakomitymi a bliżej nas
obchodzącymi istotami. Tutaj to, mój synu, słuchaj mnie uważnie.

Jeżeli przed chwilą z pogardą mówiłem o planetach, to jedynie dlatego, że miałem na
myśli tylko ich powierzchnię stałą, skorupę tych pęcherzy czy bąblików, i owe nędzne
twory po niej pełzające. Mówiłbym innym tonem, gdybym wówczas wraz z planetami
miał był na myśli powietrze i opary, które je otaczają. Powietrze bowiem jest żywiołem
szlachetnym, który tylko ogniowi ustępuje, toteż jedynie powietrze, które je opływa, stan-
nowi o godności i znaczeniu planet. Te chmury, te miękkie opary, powiewy, blaski, tonie
błękitu, te wyspy ruchome z purpury i złota, przesuwane nad naszymi głowami, są
zaludnione przez tłumy cudnych istot. Zwiemy je sylfami i salamandrą, są one nie-
wymownie miłe i piękne; możemy wchodzić z nimi w związki, których rozkoszy pojąć
niepodobna. Salamandry są tak przedziwnej urody, że w porównaniu z nimi najpiękniej-
sza kobieta z dworu czy z miasta jest tylko wstrętną małpą. Salamandry chętnie oddają
się filozofom; słyszałeś zapewne o tej cudnej istocie, która towarzyszyła panu Descartes¹⁶⁹
w jego podróżach. Jedni mówili, że to swą córkę naturalną wszędzie woził z sobą, inni
znów sądzili, że jest to automat przezeń z przedziwną wykonany sztuką. W rzeczywisto-
ści była to salamandra, którą ten rozumny mąż wziął za kochankę i z którą nie rozłączał
się nigdy. Podczas podróży morskiej do Holandii wziął ją na statek, gdzie ją trzymał za-
mkniętą w szkatułce z cennego drzewa, wewnątrz atlasem wybitej. Kształt tej szkatułki

Wiedza

¹⁶⁵Quesnel i Bossuet — Pasquier Quesnel (1634–1719): francuski teolog, jansenista, po śmierci Arnalda uważa-
ny za przywódcę jansenizmu; Jacques-Bénigne Bossuet (1627–1704): francuski biskup katolicki, teolog, nadworny
kaznodzieja Ludwika XIV, wychowawca jego syna. [przypis edytorski]

¹⁶⁶Antinous (111–130) — grecki młodzieniec, oficjalny kochanek cesarza Hadriana; kiedy utonął w Nilu, na
rozkaz Hadriana powstało wiele rzeźb i portretów przedstawiających Antinosa jako ideał młodzieńczej pięk-
ności. [przypis edytorski]

¹⁶⁷pani de Parabère, właśc. Marie Madeleine de La Vieuville, markiza Parabère (1693–1755) — francuska
arystokratka, słynna piękność swoich czasów, oficjalna kochanka Filipa II, księcia Orleanu, w czasie kiedy
sprawował regencję w imieniu małoletniego Ludwika XV. [przypis edytorski]

¹⁶⁸Demokryt z Abdery (ok. 460–ok. 370 p.n.e.) — filozof grecki, najwyszczególniejszy uczony starożytny
przed Arystotelesem, autor kilkudziesięciu dzieł z różnych dziedzin, współtwórca (razem ze swoim nauczycielem
Leukippossem) pierwszej atomistycznej teorii budowy świata. [przypis edytorski]

¹⁶⁹Descartes, René, pol. Kartezjusz (1596–1650) — francuski filozof, fizyk i matematyk; prekursor geome-
trii analitycznej; zwolennik racjonalizmu w filozofii, zwany ojcem europejskiej filozofii nowożytnej. [przypis
edytorski]

i ostrożność, z jaką strzegł ją Descartes, zwróciły uwagę kapitana; korzystając ze snu filozofa, podniósł wieko i zobaczył salamandrę. Ten prostak i nieuk wyobraził sobie, że tak cudna istota może być tylko dziełem czarta i ze strachu wrzucił ją do morza. Rozumiesz dobrze, że ta piękna osoba nie utonęła bynajmniej i łatwo połączyła się znów ze swym ukochanym, któremu wierna była całe życie; po jego śmierci opuściła tę ziemię, by więcej już na nią nie powrócić.

Przytaczam ci ten przykład wśród wielu innych, byś poznał stosunki miłosne salamander z filozofami. Miłość ta jest zbyt cudowna, by poddawać się mogła jakim bądź umowom. Przyznasz, że śmieszny ceremoniał towarzyszący małżeństwu byłby tu zupełnie nie na miejscu. Ładnie by to było, gdyby notariusze w peruce i tłusci proboszczowie w to nos swój wtykali. Ci jegomościem zdolni są jedynie pieczętować pospolity związek mężczyzny i kobiety. Gody weselne mędrców z salamandrami mają innych, świetniejszych świadków; święcą je ludy powietrzne przy dźwięku harf, płynąc na niewidzialnych toniach, w czółnach różami uwieńczonych, popychanych przez lekkie powiewy.

Nie sądz jednak, że śluby te przez to, iż nie zapisane do brudnego rejestru w szpetnej zakrystii, są tym samym mniej trwałe i łatwe do zerwania; poręczycielami ich są duchy igrające w chmurach, z których tryska błyskawica i pada grom. Objawiam ci tu, mój synu, rzeczy, które mogą ci się przydać, po znakach niezawodnych poznałem bowiem, że przeznaczony jesteś do łoża salamandry.

— Niestety, panie! — zawołałem. — Ten los mnie przeraża, mam także prawie skrupuły, co i ów kapitan holenderski, który wrzucił był do morza kochankę pana Descartes'a. Tak jak on nie mogę pozbyć się myśli, że te damy powietrzne są czartami. Lękałbym się zatracić duszę z nimi, bo ostatecznie, mój panie, małżeństwa te przeciwne są naturze i sprzeczne z prawami boskimi. Ach, czemuż nie ma tu księdza Hieronima Coignarda, czemu mój drogi mistrz nie słucha twych słów! Pewny jestem, że swymi argumentami umocniłby mnie przeciwko twej wymowie i przeciw urokowi salamander.

— Ksiądz Coignard — rzekł pan d'Astarac — doskonale jest do tłumaczeń z greki, ale nie trzeba go odrywać od jego ksiąg. To nie jest filozof. Ty zaś, mój synu, rozumiesz z niedołęstwem nieuctwa i nieudolność twoich rozumowań martwi mnie. Związki te, mówisz, przeciwne są naturze? Cóż wiesz o tym? W jaki sposób mógłbyś o tym wiedzieć? Jakże można rozróżnić, co jest naturalne, od tego, co nim nie jest? Czy dostatecznie znamy wszechogarniającą Izydę, by rozsądzać, co jest według niej, a co przeciw niej? Powiem więcej nawet: nic nie jest przeciw niej, a wszystko według niej, skoro wszystko jest działaniem jej narządów, wszystko przybiera nieskończone kontury jej ciała. Skąd wziąć by się mieli wrogowie, aby ją znieważać mogli? Nic nie działa przeciw niej i poza nią; siły, co zdają się ją zwalczać, są tylko objawami jej własnego życia.

Tylko nieucy śmia rozstrzygać, czy czyn jakiś jest naturalny, czy też nie. Lecz przyjmijmy na chwilę ich złudzenia i przesady i udawajmy nawet, jakoby można popełnić czyny przeciwne naturze. Czyż dlatego czyny te mają być złe i potępienia godne? Trzymam się tu tymczasem powszechnych poglądów moralistów, którzy przedstawiają cnotę jako bój z popędami, jako chęć ujarznienia naszych instynktów, jednym słowem jako walkę z człowiekiem naturalnym. Sami więc przyznają, że cnota jest przeciwna naturze, nie mogą więc potępiać żadnego czynu, jaki bądź on będzie, za to właśnie, co ma z cnotą wspólnego.

Zboczyłem od przedmiotu, mój synu, aby ci wykazać lekkomyślność twego rozumowania. Obraziłbym cię, przypuszczając, że masz jeszcze pewne wątpliwości co do tego, że niewinne są cielesne związki ludzi i salamander. Teraz wiedz zatem, że prawo religijne nie tylko małżeństw tych nie wzbrania, ale właśnie, za wyłączeniem wszelkich innych, je zaleca; zaraz dam ci tego dowody oczywiste.

Zamilkł chwilę i wyjąwszy tabakierkę, zażył szczyptę tabaki.

Noc była głęboka, jasnopłynne światło księżycy i odbicia latarń nadbrzeżnych drżały na falach rzeki, otaczały nas roje drobnych muszek. Ostry brzęk owadów wzbijał się w ciszę wszechświata. Z nieba szła taka słodycz, iż zdawało się, że mleko splywa na ziemię z blaskiem gwiazd.

Pan d'Astarac mówił dalej:

— Biblia, mój synu, a głównie księgi Mojżesza zawierają wielkie i pożyteczne prawdy. Są tak wyjątkowo dzisiaj nierozsądny i śmieszny dlatego, że teologowie swoimi komenta-

Natura, Filozof

Natura, Czyn, Cnota

Noc

rzami, objaśnieniami i rozmyślaniami tak dalece skazili to tak zwane przez nich Pismo, że uczynili zeń podręcznik omyłek, bibliotekę nonsensów, stek kłamstw, głupstw, idiotyzmów, liceum ignorancji, muzeum bezceństw, skarbnicę głupoty i złośliwości ludzkiej. Ale pierwotnie, synu, była to świątynia pełna światła niebieskiego.

Szczęśliwie udało mi się przywrócić Pismu jego pierwotną wspaniałość. Prawda nakazuje mi wyznać, że Mozaides przez swą znajomość alfabetu i języka hebrajskiego był mi w tym wielce pomocny. Ale nie odchodźmy od głównego przedmiotu. Wiedz naprzód, mój synu, że treść Biblii polega na przenośniach i że głównym błędem teologów było, że pojęli dosłownie to, co winno być uważane tylko jako symbol; niech ta prawda będzie ci stale przytomna w dalszym ciągu słów moich.

Kiedy Demiurgos zwany Jehową — ma on jeszcze wiele innych imion, gdyż nadają mu w ogóle wszystkie nazwy wyrażające jakość i ilość — gdy Jehowa stworzył nie świat, powiedzieć to byłoby głupstwem, ale małą cząstkę świata i uczynił zeń miejsce zamieszkania Adama i Ewy, w przestworzu były liczne istoty subtelniejsze, których nie stworzył był Jehowa i których stworzyć nie byłby nawet zdolny. Były one dziełem kilku innych demiurgów, dawniejszych i zręczniejszych od niego; jego kunszt był kunsztem doskonałego garncarza, zdolnego niby garnki lepić z gliny istoty takie, jakimi my jesteśmy. Nie mówię tego po to, bym go miał nie doceniać, bo i tak praca jego o wiele przewyższa siły ludzkie, ale zaznaczyć tu chciałem niedoskonałość tej jego pracy dni siedmiu.

Jehowa tworzył nie w ogniu, który sam tylko wydać może arcytwory życia, lecz w błocie, stąd też mógł tylko wykonać dzieło dobrego garncarza. Jesteśmy tylko, mój synu, ożywionymi garnkami. Nie należy posądzać Jehowy, że ludził się co do wartości swej pracy. Zdała mu się dobra tylko w pierwszej chwili, gdy był jeszcze w zapale tworzenia, ale wkrótce uznał swój błąd i Biblia pełna jest wyrażen jego niezadowolenia, które dochodziło do złego humoru, a czasem nawet do gniewu. Nigdy żaden twórca nie miał więcej wstrętu i odrazy do dzieł swojej ręki. Chciał je zniszczyć i w istocie też większą część ich potopił. Ten potop, którego wspomnienie przechowało się u Żydów, Greków i Chińczyków, był także ostatnim wielkim rozczarowaniem dla nieszczęśliwego Demiurga. Widząc śmieszność i bezużyteczność takich gwałtów, popadł w zniechęcenie i apatię, która od czasów Noego aż do dni dzisiejszych wzrasta stopniowo i doszła już chyba do ostatniego stopnia. Ale zaszedłem za daleko; w tak rozległych przedmiotach trudno utrzymać się w pewnych granicach. Umysł nasz, gdy się w nich zagłębia, podobny jest do promieni słonecznych, które w jednym skoku przechodzą od świata do świata.

Wróćmy do Raju ziemskiego, gdzie Demiurg umieścił Adama i Ewę, dwa naczynia wyszłe¹⁷⁰ z jego ręki. Nie żyli oni tam sami wśród zwierząt i roślin; Duchy powietrzne, stworzone przez demiurgów ognia, unosiły się nad nimi i przyglądały im się z ciekawością, pełną życzliwości i litości. Przewidział to Jehowa i spieszymy dodać na jego chwałę, że liczył na to, iż duchy ognia, którym możemy już dać prawdziwe ich imię elfów i salamander, pomogą mu udoskonalić i przekształcić jego figurki gliniane. Przemyślnie rzekł do siebie: „Mój Adam i Ewa, ulepieni z gliny, ciężcy są i nieprzejrzysti, brak im światła i powietrza, nie umiałem dać im skrzydeł. Łącząc się z elfami i salamandrami, stworzonymi przez delikatniejszego i zdolniejszego ode mnie demiurga, zrodzą dzieci, które, jako powstałe zarówno z rasy świetlanej, jak z rasy ziemnej, zrodzą znów dzieci bardziej świetlane od siebie, aż z czasem potomstwo ich dorówna w piękności synom i córom powietrza i ognia”.

Nie zaniedbał też niczego, aby zwrócić na Adama i Ewę spojrzenia elfów i salamander. Niewiastę ulepił na kształt amfory, z przedziwną harmonią krągłych linii, która wystarcza, by uznać go za księcia geometrów; w ten sposób pospolitość materiału okupił wspaniałością kształtu; Adam rzeźbiony był mniej pieszczotliwą ręką, ale z takim ładem i proporcją miary, że gdy ją później Grecy zastosowali w budownictwie, stanowiła sama całą piękność ich świątyń.

Widzisz więc, synu, że Jehowa nie zaniedbał niczego, aby twory swoje uczynić godnymi pocałunków tych istot powietrznych, których dla nich pragnął. Nie wspominam o staraniach, które poczynił, by związki te były płodne; ustrój płci dostatecznie świadczy o jego mądrości w tym względzie. Toteż mógł z początku wieszować sobie swej zręcz-

¹⁷⁰wyszłe — daw. forma imiesłowu przymiotnikowego, dziś zastępowana raczej zdaniem podrzędnym: które wyszły. [przypis edytorski]

ności i przebiegłości. Mówiłem już, że elfy i salamandry przyglądały się Adamowi i Ewie z ciekawością, życzliwością i czułością, które zazwyczaj poprzedzają miłość; zbliżyły się do nich i wpadły w zasadzkę, którą tak przemyślnie we wdzięku swych amfor zastawił na nich Jehowa. Pierwszy mąż i pierwsza niewiasta przez długie wieki cieszyli się rozkosznymi pieścizotami tych duchów powietrza, które darzyły ich wieczną młodością.

Taki był los ich, taki byłby i nasz. I trzebaż było, by rodzice rodu ludzkiego, sprzykrzywszy sobie te wzniosłe rozkosze, zapragnęli we wzajemnym związku zakosztować uciech zbrodniczych? Ale cóż chcesz, mój synu — ulepieni z gliny, mieli upodobanie do błota. Niestety zesłi się z sobą, tak jak schodzili się z duchami. A tego właśnie Demiurg zakazał im surowo; lękając się słusznie, że będą mieli ze sobą potomstwo grube, ciężkie i przyziemne jak oni sami, pod najsurowszą karą zabronił im zbliżać się do siebie. Takie jest znaczenie słów Ewy: „A zaś owocu z drzewa znajdującego się w środku Raju Bóg zakazał nam dotykać i jeść z obawy, abyśmy nie umarli”. Rozumiesz, mój synu, że jabłko, które skusiło biedną Ewę, nie było owocem jabłoni, lecz że jest to alegoria, której znaczenie teraz ci wytłumaczyłem. Jehowa, choć był istotą niedoskonałą, często gwałtowną i kapryśną, był jednak demiurgiem zbyt rozumnym, by gniewać się o jabłko lub granat; trzeba być biskupem lub kapucynem, by wierzyć takim baśniom. Dowodem tego, że jabłko oznacza właśnie to, co mówię, jest, iż Ewę dotknęła kara odpowiednia do winy. Nie powiedziano jej: „Będziesz trawić z trudem”, lecz przeciwnie: „Rodzić będziesz w boleściach”, a jakież, proszę cię, wyobrazić sobie można związek między jabłkiem a trudnym porodem? Tymczasem, kara jest jak najlepiej zastosowana, jeżeli przewinienie takie jest właśnie, jak ci mówiłem.

Oto, synu, prawdziwe wyjaśnienie grzechu pierworodnego; wskazuje ci ono twój obowiązek — unikać kobiet; pociąg do nich jest zgubny. Dzieci tą drogą zrodzone są nędzne i głupie.

— Ależ panie — zawołałem zadziwiony — czyż one mogą się rodzić inaczej?

— Na szczęście rodzi się ich wiele — odpowiedział — ze związków ludzi z duchami powietrza. To są dzieci inteligentne i piękne; tak zrodziły się olbrzymy, o których wspomina Hezjod¹⁷¹ i Mojżesz. Tak przyszedł na świat Pitagoras, zrodzony przez salamandrę, swą matkę, ze złotem udem¹⁷²; tak urodzili się: Aleksander Wielki¹⁷³, o którym mówiono, że jest synem węża i Olimpiady¹⁷⁴, Scypion Afrykański¹⁷⁵, Arystomenes z Messeny¹⁷⁶, Juliusz Cezar¹⁷⁷, Porfiriusz¹⁷⁸ i cesarz Julian¹⁷⁹, który przywrócił kult ognia,

¹⁷¹Hezjod (VIII–VII p.n.e.) — poeta grecki, twórca poematów epickich porównywany z Homerem; autor m.in. dzieł: *Teogonia* (o powstaniu bogów i początkach świata) oraz *Prace i dni* (poemat dydaktyczny o rolnictwie). [przypis edytorski]

¹⁷²Pitagoras (...) ze złotem udem — wg staroż. tradycji Pitagoras miał złote udo. [przypis edytorski]

¹⁷³Aleksander III Macedoński, zw. *Aleksandrem Wielkim* (356–323 p.n.e.) — król Macedonii, uczeń Arystotelesa, zwycięzca w wojnie z Persją; jego podboje zainicjowały epokę hellenistyczną. [przypis edytorski]

¹⁷⁴Olimpias (ok. 375–316 p.n.e.) — żona króla Macedonii Filipa II, matka Aleksandra III Macedońskiego. [przypis edytorski]

¹⁷⁵Scypion Afrykański Starszy, właśc. *Publius Cornelius Scipio Africanus Maior* (235–183 p.n.e.) — rzymski wódz z okresu II wojny punickiej, zwycięzca Hannibala w bitwie pod Zumą. [przypis edytorski]

¹⁷⁶Arystomenes z Messeny (VII w. p.n.e.) — król Mesenii, który walczył ze Spartanami podczas drugiej wojny mezeńskiej (685–668 p.n.e.) i przez 11 lat stawiał im opór na górze Eira. [przypis edytorski]

¹⁷⁷Gajusz Juliusz Cezar (100–44 p.n.e.) — rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator i pisarz; członek I triumwiratu; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim. [przypis edytorski]

¹⁷⁸Porfiriusz z Tyru, gr. *Porphyrios* (ok. 234–ok. 305) — filozof neoplatonicki, uczeń Plotyna; autor dzieła *Isagoge*, standardowego podręcznika logiki Arystotelesa przez całe średniowiecze; polemizował z chrześcijaństwem. [przypis edytorski]

¹⁷⁹cesarz Julian, właśc. *Flavius Claudius Iulianus* (331–363) — cesarz rzymski (od 361), filozof i autor piszący po grecku, znany pod nadanym mu przez chrześcijan przydomkiem Apostata, tzn. Odstępca, ze względu na odrzucenie przez niego religii chrześcijańskiej przyjętej przez jego rodziców i powrót do tradycyjnych rzymskich kultów religijnych; ostatni cesarz wyznający religię dawnych Rzymian; podjął próbę jej zreformowania, dążąc do przywrócenia jej statusu religii państwowej; aktami prawnymi starał się osłabić chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

zniesiony przez Konstantyna Odstępcę¹⁸⁰, Merlin¹⁸¹ cudotwórca, zrodzony z sylfa i z zakonnicy, córki Karola Wielkiego, święty Tomasz z Akwinu¹⁸², Paracelsus¹⁸³ i w czasach nowszych pan van Helmont¹⁸⁴.

Obiecałem panu d'Astarac, że skoro już tak jest, zgodzę się na miłość z salamandrą, jeżeli tylko znajdzie się taka co, mnie zechce. Zapewnił mnie, że znajdę nie jedną, ale dwadzieścia lub trzydzieści, spośród których będę mógł wybierać do woli. I nie tyle z chęci spróbowania tej przygody, ile dla przypodobania się panu d'Astarac zapytałem go, w jaki sposób można się porozumiewać z tymi istotami powietrznymi.

— Nic łatwiejszego nadto — rzekł — wystarcza do tego szklana kula, której użytek ci wytłumaczę. Mam dużo takich kul i niebawem dam ci u siebie w gabinecie wszelkie potrzebne objaśnienia. Ale dosyć na dzisiaj.

Wstał i podszedł do promu, na którym przewoźnik, czekając na nas, chrapał, leżąc na wznak. Gdy stanęliśmy na przeciwnym brzegu, oddalił się szybko i niebawem zniknął w ciemności.

Z długiej tej rozmowy pozostało mi tylko niejasne wrażenie snu; myśl o Kasi była mi bliższa i miłsza. Mimo cudów, których się nasłuchałem, mimo że nie wieczerał, bardzo pragnąłem ją ujrzeć; nie na tyle bowiem przejąłem się ideami filozofa, bym miał coś obrzydliwego widzieć w tej ładnej dziewczynie. Zdecydowany byłem doprowadzić do końca moją przygodę miłosną, zanim pozyskam miłość jednej z tych furii powietrznych, nieznoszących ziemskich rywalek. Obawiałem się tylko, że Kasi może sprzykrzyło się czekać, bo pora była już bardzo spóźniona. Szybko pobiegłem więc wzdłuż rzeki, pędem przeleciałem most Królewski i wpadłem w ulicę du Bac. Po chwili byłem już na rogu Grenelle, gdzie usłyszałem krzyki zmieszane ze szczękami szabel. Hałas pochodził z domu, który Kasia jako swój mi opisała. Tam na bruku poruszały się cienie i latarnie i dochodziły głosy:

— Jezusie, ratuj! Zabijają mnie!

— Huzia na kapucyna! Śmiało! Klujcie go!

— Jezusie, Maryjo, wspieraj mnie!

— To piękny ptaszek! Huzia, huzia! Klujcie, gałgany, klujcie ostro!

Okna otwierały się dokoła i wychylały się głowy w szlafmycach¹⁸⁵.

Nagle cały ten ruch i hałas przebiegł mimo mnie jak łowy w lesie i poznałem brata Anioła umykającego co sił w nogach, podczas gdy trzech wysokich drabów uzbrojonych jak gwardziści gnało tuż za nim, dziurawiąc mu skórę końcami swych halabard. Pan ich, młody szlachcic, czerwony i pękaty, podniecał ich głosem i ruchami jak sforę psów.

— Śmiało, śmiało! Klujcie! Zwierz twardy!

Przechodził właśnie koło mnie.

— Panie — rzekłem — nie masz odrobiny litości.

¹⁸⁰Konstantyn I Wielki (272–337) — cesarz rzymski, reformator państwa, pierwszy z cesarzy, który porzucił tradycyjną religię rzymską i przeszedł na chrześcijaństwo; w 313 wydał edykt mediolański, proklamując swobodę wyznawania tej religii; zwołał sobór nicejski (325), pierwsze zgromadzenie biskupów chrześcijańskich z całego państwa, oczekując rozwiązania sporów doktrynalnych. [przypis edytorski]

¹⁸¹Merlin — jeden z bohaterów legend arturiańskich, wielki czarodziej, wychowawca i doradca Artura. [przypis edytorski]

¹⁸²Tomasz z Akwinu (ok. 1225–1274) — filozof i teolog, dominikanin, jeden z najważniejszych myślicieli w dziejach chrześcijaństwa; twórca tomizmu, nurtu filozoficznego powstałego na bazie filozofii Arystotelesa i wyłożonego w *Summie teologii*, jednym z głównych dzieł filozoficznych i teologicznych średniowiecza, który stanowi do dziś nieoficjalną filozofię Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

¹⁸³Paracelsus, właśc. *Theophrastus Bombastus von Hohenheim* (ok. 1493–1541) — szwajcarski lekarz, przyrodnik, alchemik i filozof, zwany ojcem medycyny nowożytnej; w dziele *Liber de nymphis, sylphis, pygmaeis et salamadris, et de caeteris spiritibus* (Księga o nimfach, sylfach, gnomach i salamandrach oraz tym podobnych duchach, 1566) podzielił mające ludzki wygląd istoty żywołów na cztery rodzaje: wodne, czyli nimfy albo ondyny, powietrzne, czyli sylfy, podziemne gnomy oraz duchy ognia, czyli salamandry, do każdej kategorii dodając opowieści z nią związane. [przypis edytorski]

¹⁸⁴Helmont, *Jobann Baptista van* (1579–1580) — flamandzki lekarz, fizjolog, alchemik, kontynuator idei alchemii medycznej (jatrochemia), zainicjowanej przez Paracelsusa. [przypis edytorski]

¹⁸⁵szlafmyca (z niem.) — czapka do spania. [przypis edytorski]

— Mój panie — odrzekł — widać, że kapucyn ten nie twoją kochankę pieścił i że nie ty zastałaś tę oto damę w ramionach tej cuchnącej bestii. Można jeszcze znieść spółkę z jej finansistą, który płaci, bo ostatecznie żyć trzeba; ale kapucyna ścierpieć niepodobna. Spójrz tylko na tę bezwstydnice!

I wskazywał mi na Kasię, która stojąc w bramie w koszuli, z rozwianym włosom, z oczami łez pełnymi, piękniejsza niż kiedykolwiek, szeptała mdlejącym głosem, który ranił mi duszę:

— Nie zabijajcie go! To brat Anioł, to biedny braciszek.

Draby lokaje powrócili, donosząc, że zaniechali pościgu przed zbliżającym się patrolem, ale i tak na kilka cali głęboko zatopili swe piki w zad świątobliwego męża. Szlafmyce poznikały z okien, które zamykały się kolejno, i podczas gdy szlachcic rozmawiał ze swą służbą, zbliżyłem się do Kasi, której łzy osychały w dołeczkach jej uśmiechu.

— Biedny braciszek ocalony — rzekła — ale drżałam o niego. Mężczyźni są straszni, gdy kochają, nie słuchają żadnej perswazji.

— Kasiu — rzekłem dotknięty — czy po to przyjść mi kazałaś, bym był świadkiem klótni twych przyjaciół? Niestety, nie mam prawa brać w niej udziału.

— Miałbyś to prawo, gdybyś był chciał, panie Jakubie — odrzekła.

— Widzę — rzekłem — że jesteś osobą najbardziej poszukiwaną w Paryżu; nie wspominałaś mi nic o tym młodym szlachcicu.

— Nie myślałam o nim; przyszedł niespodzianie.

— I przychwycił cię z bratem Aniołem.

— Zdawało mu się, że widział to, czego nie było! To raptus, z którym rozsądnie mówić nie można.

Spod koronki jej rozchylonej koszuli widać było pierś jak piękny owoc nabrzmiałą, ozdobioną pączkiem róży; objąłem ją w ramiona i namiętnie całowałem po piersiach.

— Nieba! — zawołała. — Na ulicy! Wobec pana d'Anquetil, który na nas patrzy!

— Kto jest pan d'Anquetil?

— Morderca brata Anioła, naturalnie; któż to mógłby być inny?

— Prawda Kasiu — rzekłem — twoi przyjaciele i tak są dosyć liczni, nowych już tu nie potrzeba.

— Proszę cię, nie ubliżaj mi, panie Jakubie.

— Nie ubliżam ci, Kasiu, uznając twoje wdzięki i chciałbym im oddać taki hołd, jaki oddają im inni.

— Panie Jakubie, to, co mówisz, z daleka trąci obrzydliwie gospodą twego ojca.

— Niedawno jednak, panno Katarzyno, nie gardziłaś zapachami jej komina.

— Fe, szkaradnik, ordynus, ubliża kobiecie!

I zaczęła rzucać się i wykrzykiwać, tak że pan d'Anquetil zwrócił się, podszedł do nas i popychając ją do mieszkania, nie szczędząc jej przy tym wymysłów, wszedł za nią na korytarz, zamknąwszy mi drzwi przed nosem.

Myśl o Kasi prześladowała mnie cały tydzień po tej przygodzie; obraz jej błyszczał na kartkach ksiąg, nad którymi przy boku mego drogiego mistrza pochylałem się w bibliotece. Focjusz, Olimpiodoros, Fabricius i Vossius¹⁸⁶ mówili mi tylko o pięknej dziewczynie w koronkowej koszuli. Wizje te kłoniły mnie do próżniactwa, lecz ksiądz Hieronim Coignard, pobłażliwy dla drugich zarówno, jak i dla siebie, uśmiechał się tylko dobrotliwie, widząc moje zmieszanie i roztargnienie.

— Jakubie Rożenku — odezwał się do mnie pewnego dnia ten mistrz kochany — czy nie uderzają cię zmiany, jakim z biegiem wieków ulega moralność? Księgi zgromadzone w tej wspaniałej Astaraceńskiej Książnicy dowodzą niepewności ludzkich w tej sprawie.

¹⁸⁶ Focjusz, *Olimpiodoros, Fabricius i Vossius* — Focjusz (ok. 820–891): patriarcha Konstantynopola, autor dzieła *Biblioteka*, zawierającego omówienia 279 prac z różnych dziedzin, z których większość nie zachowała się do naszych czasów; *Olimpiodor Młodszy* (ok. 500–ok. 570): filozof neoplatonicki ze szkoły aleksandryjskiej, komentator Arystotelesa; *Wolfgang Fabricius Capito* (1478–1541): niemiecki reformator religijny, autor m.in. *Institutionum Hebraicarum libri duo* lub też *Teodor Fabricius* (1501–1559): niemiecki teolog protestancki, autor *Tabulae duae, de nominibus Hebraeorum una, altera de verbis*; *Gerardus Joannes Vossius*, właśc. *Gerrit Janszoon Vos* (1577–1649): niderlandzki uczyony i humanista, autor licznych dzieł. [przypis edytorski]

Zastanawiam się nad tym, mój synu, by w umysł twój wszczepić tę trwałą i zbawienną zasadę, że nie ma dobrych obyczajów poza religią i że maksymy filozofów, pragnących ustanowić jakąś moralność przyrodzoną, są mrzonkami i bajką. Podstawy dla zacnych obyczajów nie ma w przyrodzie, która sama w sobie jest obojętna, nieświadoma ani dobra, ani zła; znajduje się ona za to w słowie Boskim, którego przekraczać nie trzeba, chyba by później należytą skrucą to wynagrodzić. Prawa ludzkie zasadzają się na użyteczności, a użyteczność ta może być tylko pozorna i zwodnicza, bo oczywiście nie wiadomo, co w istocie jest użyteczne i ludziom potrzebne. Nadto obyczajów naszych dobrą połówę przynajmniej zrodził jedynie przesąd. Prawa ludzkie utrzymywane w sile groźbą kary, podstępem i przebiegłością w pole wyprowadzić można; każdy człowiek umiejący się zastanowić jest też ponad nimi, są one po prawdzie łapkami dla głupców.

Nie tak, mój synu, jest z prawami Boskimi: te są trwałe, ani ich zmienić, ani oszukać niepodobna; ich pozorny nierozsądek kryje mądrość niepojętą. Sprzeczne one nieraz z naszym rozumem, ale dlatego jedynie, że wyższe są nad rozum nasz i zgodne są nie z pozornym, lecz z istotnym celem człowieka. Kto ma szczęście je znać, winien ich przestrzegać. Nie przeczę, że przestrzeganie tych praw, zawartych w dekalogu i przykazaniach kościelnych, jest prawie zawsze bardzo trudne, a nawet niemożliwe bez łaski, na którą nieraz długo czekać trzeba, bo przecie obowiązkiem jest jej się spodziewać. Dlatego też wszyscyśmy nędzni i grzeszni.

Tu właśnie podziwiać należy ustrój religii chrześcijańskiej, która zbawienie zasadza głównie na skrusic. Zauważ, mój synu, że największe świętości zdobywa się pokutą, a że skrucą jest zawsze w prostym stosunku do winy, zatem najwięksi grzesznicy najlepszym są na świętych materiałem. Mógłbym licznymi znakomitymi przykładami poprzeć tę teorię, ale sądzę, żeś dostatecznie zrozumiał, że *materia prima*¹⁸⁷ na świętość to pożądlivość, lubieżność, wszystkie sprośności ciała i ducha. Należy tylko tak zebrany materiał urobić podług wymagań sztuki teologicznej, wymodelować zeń, że tak powiem, posąg pokuty, co jest dziełem kilku lat, kilku dni lub nawet jednej chwili, jak to się dzieje w razie skruchy doskonałej. Jakubie Rożenku, jeśli mnie dobrze rozumiałeś, nie będziesz dokładał nędznych starań, by być człowiekiem porządnym według opinii ludzkiej, lecz zabiegać będziesz jedynie, by zadosyć uczynić sprawiedliwości Boskiej.

Odczuwałem dobrze wysoką mądrość maksym mego mistrza. Obawiałem się tylko, że moralność ta, praktykowana bez należytego sądu, doprowadzić może do największych zgorzeń. Wątpliwości swe wyraziłem księdzu Hieronimowi Coignard, który uspokoił mnie w te słowa:

— Jakubie Rożenku, widzę, że nie zwróciłeś dość uwagi na to, com ci wyraźnie mówił, a mianowicie, że to, co nazywasz zgorzeniem, jest nim tylko w opinii prawników i sędziów świeckich czy duchownych, oraz względnie praw ludzkich, które są dowolne i przejściowe, jednym słowem — postępować wedle tych praw jest rzeczą godną barana. Człowiek rozumny nie dba o to, by stosować się do przepisów panujących w Châtelet¹⁸⁸ i w biurze policji. Nie ma sobie za ubliżenie dostać się do nieba krętymi drogami, po których kroczyli najwięksi święci. Gdyby błogosławiona Pelagia¹⁸⁹ nie była uprawiała procedury, z którego pod portalem¹⁹⁰ kościoła Świętego Benedykta żyje dziś Joasia harfiarka, nie miałyby potem powodu pokutować szeroko i obficie i podług wszelkiego prawdopodobieństwa spędziwszy jak matrona w przeciętnej i banalnej uczciwości żywot swój cały, nie byłaby w tej chwili w chórach świętych przed *tabernaculum*¹⁹¹, gdzie w chwale swej spoczywa Święte Świętych. Czyż nazwiesz zgorzeniem piękny rozkład życia tej wybran-

¹⁸⁷*materia prima* (łac., filoz.) — dosł.: materia pierwsza, pierwotna; podstawowy budulec świata; pojęcie z filoz. Arystotelesa oraz z alchemii. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*Châtelet* — dawny zamek w Paryżu, od XII w. siedziba sądu królewskiego i więzienie; zburzony w 1802. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*Pelagia z Antiochii*, zw. *Pelagia Pokutnica* a. *Pelagia Nierządnica* (IV–V w.) — chrześcijańska pustelnica i święta, nawrócona na chrześcijaństwo rozpustna tancerka; legenda o jej żywocie była bardzo popularna. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*portal* (archit.) — ozdobne, architektoniczno-rzeźbiarskie obramienie otworu wejściowego budowli, np. kościoła; w okresie romańskim i gotyckim z kilkoma rzędami luków cofających się w głąb ściany. [przypis edytorski]

¹⁹¹*tabernaculum* (łac.), pol. *tabernakulum* — w Kościele katolickim: zamykana szafka służąca do przechowywania hostii. [przypis edytorski]

ki? Nie, zapewne! Ten sposób myślenia należy pozostawić urzędnikom policji, którzy po śmierci nie znajdują może i kącika z tyłu za nieszczęsnymi istotami, które dziś w hańbie posyłają do szpitala¹⁹². Poza zatraceniem duszy i potępieniem wiecznym nie ma ani zepsucia, ani zbrodni, ani zła na tym świecie znikomym, gdzie wszystko winno się kierować i rządzić myślą o świecie niebieskim.

Przyznaj więc, Rożenku, mój synu, że czyny w opinii ludzkiej potępienia godne do dobrego końca doprowadzić mogą, i nie staraj się godzić sprawiedliwości ludzkiej z sprawiedliwością Boską, która jest jedynie słuszna, nie według pojęć naszych, lecz *ex definitione*¹⁹³.

Teraz, mój synu, zrób mi tę grzeczność i poszukaj u Vossiusa wytłumaczenia tych kilku niejasnych słów użytych przez Panopolitańczyka, z którym walczyć trzeba w ciemnościach w ten sposób chytry, któremu dziwował się już wielkoduszny Ajaks¹⁹⁴, jak nam donosi Homer, książę poetów i historyków. Ci starzy alchemicy mieli styl ciężki, Maniliusz¹⁹⁵ — niech mi wybaczy pan d'Astarac — pisał o tym przedmiocie daleko wytworniej.

Ledwie mistrz mój drogi wyrzekł te słowa, gdy nagle stanął cień między nami. Był to cień pana d'Astarac, a raczej była to cienka czarna jego postać, podobna do cienia. Czy nie słyszał, czy też lekcewał sobie słowa mego mistrza, dosyć że nie objawił żadnej niechęci; przeciwnie, powińszował księdzu Hieronimowi Coignardowi gorliwości i wiedzy i dodał, że liczy na jego światłą pomoc, by doprowadzić do końca dzieło największe, jakie kiedykolwiek człowiek śmiertelny był podjął. Zwracając się zaś do mnie, rzekł:

— Mój synu, zejdz na chwilę do mego gabinetu, muszę ci ważną oświadczyć tajemnicę.

Poszedłem za nim do tego samego pokoju, do którego wprowadzono mnie z moim drogim mistrzem za pierwszym razem, w dniu, gdy przyjął nas do swego dworu. Zobaczyłem tam znów wsparte o ściany postacie starych Egipcjan o twarzach złotych. Szklana kula wielkości dyni leżała na stole. Pan d'Astarac rzucił się na sofę i dał mi znak, bym siadł przy nim. Kilka razy przesunąwszy po czole rękę ozdobioną amuletami i drogimi kamieniami, rzekł wreszcie:

— Synu, po rozmowie naszej na Wyspie Łabędziej nie mogę cię obrażać przypuszczeniem, byś miał jeszcze jakie wątpliwości co do istnienia sylfów i salamander. Jest ono równie rzeczywiste jak istnienie ludzi, może rzeczywistsze jeszcze, jeżeli miarą rzeczywistości ma być trwanie objawów, przez które rzeczywistość ta się wyraża; żyją one bowiem daleko dłużej od nas. Salamandry z wieków w wiek wiodą swoją niezniszczalną młodość, niektóre pamiętają Noego, Menesa¹⁹⁶ i Pitagorasa. Przez bogactwo ich wspomnień i świeżość ich pamięci rozmowa z nimi niesłychanie jest pociągająca. Utrzymywano nawet, że zyskiwać one mają nieśmiertelność w objęciach ludzi i że nadzieja uniknięcia śmierci wabić ich ma do łoża filozofów; ale są to kłamstwa, które umysłu oświeconego nie omamią. Każdy związek płci nie tylko nie zapewnia kochankom nieśmiertelności, ale przeciwnie, jest symbolem śmierci, i nie znalazłbyśmy miłości, gdybyśmy mieli żyć wiecznie.

Tak samo rzecz się ma z salamandrą, które w uściskach mędrców szukają innej nieśmiertelności: nieśmiertelności gatunku; jedyna to nieśmiertelność, której rozumnie spodziewać się można. I chociaż za pomocą wiedzy spodziewam się przedłużyć znacznie życie ludzkie, rozciągnąć je przynajmniej na pięć, sześć wieków, nigdy nie pochlebiałem sobie, że potrafię zapewnić ludziom trwanie nieograniczone. Nierozumne byłoby walczyć przeciw naturalnemu porządkowi rzeczy. Jak marnym bajkom, tak nie wierz też, mój synu,

Nieśmiertelność

¹⁹²posyłają do szpitala — szpitala dla żebraków i wólcągów, gdzie wysyłano także chorych wenerycznie. [przypis edytorski]

¹⁹³*ex definitione* (łac.) — z definicji. [przypis edytorski]

¹⁹⁴Ajaks a. *Ajas* (mit. gr.) — uczestnik wojny trojańskiej, najdzielniejszy po Achillesie wojownik achajski; walczyć trzeba w ciemnościach w ten sposób chytry, któremu dziwował się (...) Ajaks, jak nam donosi Homer: podczas walki o ciało Patrokłosa Zeus zesłał na walczących w tym miejscu mgłę i gęsty mrok, co uniemożliwiało pozostałym Achajom rozpoznanie krytycznej sytuacji na polu bitwy i przyjsię z pomocą; Ajaks modlił się wówczas o przywrócenie światła słonecznego (Homer, *Iliada* XVII 366–374, 643 i nast.). [przypis edytorski]

¹⁹⁵Marek Maniliusz, właśc. *Marcus Manilius* (I w.) — rzymski poeta, astrolog i filozof stoicki; autor poematu dydaktycznego na temat astrologii pt. *Astronomica*. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Menes — władca, który wg Manetona, zhellenizowanego kapłana egipskiego z III w. p.n.e., zjednoczył Dolny i Górny Egipt i w ten sposób stał się pierwszym faraonem; współcześnie zwykle utożsamiany z Narmerem (ok. 3100 p.n.e.), historycznym zjednoczycielem Egiptu i założycielem pierwszej dynastii. [przypis edytorski]

nieśmiertelności zdobytej w pocałunkach. Pomyśl ten jest hańbą kabalistów, którzy go powzięli. To jednak pewne, że salamandry chętnie wchodzą w miłosne związki z ludźmi. Sam niezwłocznie doświadczysz tego na sobie. Przygotowałem cię dostatecznie na ich przyjęcie, a ponieważ od chwili twego wtajemniczenia nie miałeś nieczystych związków z kobietą, otrzymasz nagrodę za swą powściągliwość.

Wrodzona mi niewinność cierpiała, odbierając pochwały, na które tylko wbrew mej woli zasłużyłem; chciałem już wyznać panu d'Astarac moje grzeszne myśli, ale nie dał mi przyjść do słowa i żywo mówił dalej:

— Pozostaje mi tylko, mój synu — rzekł — dać ci klucz, który otworzy ci wstęp do państwa duchów; uczynię to natychmiast.

Wstał i położył rękę na szklanej kuli, zajmującej połowę stołu.

— To naczynie — rzekł — pełne jest pyłu słonecznego, którego nie możesz widzieć, bo jest zbyt czysty i przejrzysty, by podpadać mógł pod grube¹⁹⁷ zmysły ludzkie. Tak to najpiękniejsze części wszechświata wymykają się spod wzroku naszego i widome są tylko uczonym, zbrojnym w należyte przyrządy. Rzeki i błonia powietrzne na przykład są nam niewidoczne, chociaż w istocie są one bez porównania piękniejsze i rozmaitsze niż najwspanialszy krajobraz ziemski.

Wiedz zatem, że balon ten zawiera pył słoneczny, którego właściwością jest podniecać żar w nas płonący. Na podniecenie to niedługo czekać trzeba; polega ono na takim wysubtelnieniu zmysłów, że poczynamy widzieć i dotykać duchy powietrzne koło nas się unoszące. Skoro tylko zerwiesz pieczęć zamykającą otwór balonu i odetchniesz pyłem słonecznym, który zeń ulatniać się będzie, ujrzysz w pokoju istoty podobne z układu linii i wygięć ciała do kobiet, ale od wszystkich kobiet o wiele piękniejsze; to będą właśnie salamandry. Nie ma wątpliwości, że ta, którą widziałem w zeszłym roku w gospodzie twego ojca, pierwsza zjawi się przed tobą, bo zdaje się, że jej się podobasz, toteż radzę ci, byś jak najprędzej zadowolili jej požądania. Usiądź wygodnie w fotelu przed tym stołem, odkorkuj balon i oddychaj spokojnie jego zawartością. Wkrótce zobaczysz, że to, co ci zapowiedziałem, spełni się co do słowa. Zostawiam cię samego. Żegnaj.

I zniknął dziwnie nagle, jak to było jego zwyczajem. Pozostałem sam przed szklanym balonem; wahałem się, czy go otworzyć, bojąc się, by nie wymknęły się zeń jakieś wyziewy odurzające. Myślałem, że pan d'Astarac wprowadził doń może za pomocą swej sztuki pary, które usypiają tych, co nimi odetchną, i darzą ich snami o salamandrach. Nie byłem na tyle filozofem, by mi zależało na szczęściu tego rodzaju. Może, myślałem sobie, pary te sprowadzają szaleństwo?

Nieufność moja była tak wielka, że przez chwilę chciałem iść do biblioteki i poradzić się księdza Coignarda, mego dobrego mistrza. Ale zaniechałem tego jako rzeczy próżnej, bo przewidywałem jego odpowiedź. Gdy tylko zacząłbym mówić o pyłe słonecznym i Geniuszach powietrza: „Jakubie Rożenku — odrzekłby mi — pamiętaj, synu, nie wierzyć żadnym głupstwom, a polegać na własnym rozumie we wszystkim, prócz spraw naszej świętej wiary. Daj pokój tym balonom, pyłom i tym podobnym bredniom kabały i alchemii”.

Zdawało mi się, że słyszę tę jego przemowę między dwoma niuchami tabaki, i na tak chrześcijańskie sentencje nie umiałbym nic odrzec. Z drugiej strony myślałem nad tym, w jak dziwnej sytuacji będę wobec pana d'Astarac, gdy zapyta mnie o salamandrę. Cóż mu odpowiem? Jak przyznać się do powściągliwości i wahania, nie zdradzając jednocześnie swej nieufności i strachu? Poza tym, mimo mej woli, ciekaw byłem przygody. Nie jestem łatwowierny, przeciwnie, mam dziwną skłonność do wątpienia, która, tak jak wszystkim innym, każe mi nie dowierzać nawet rzeczom rozsądnym i oczywistym. Gdy mowa o czymś niezwykłym, mówię zawsze: „Czemu nie?”. W tym przypadku, przed tym balonem to „czemu nie?” było słabą stroną mej inteligencji naturalnej i skłaniało mnie właśnie do łatwowierności. Niczemu nie wierzyć znaczy wierzyć wszystkiemu; niebezpieczeństwem dla umysłów wolnych i pozbawionych wiary jest, że łatwiej zbierają się w nich na chybił trafił produkty o formach najdziwaczniejszych, które nigdy nie zdołałyby się wcisnąć do umysłów rozsądnie i przeciętnie wierzących. Gdy z ręką na woskowej pieczęci myślałem o tym, co kiedyś mówiła matka o magicznych karafkach pana d'Astarac'a, moje

Wiara, Rozum

¹⁹⁷gruby (daw.) — prymitywny. [przypis edytorski]

„czemu nie?” szeptało mi, że ostatecznie być to może, iż w pyle słonecznym widoczne są wieszczki powietrzne. Ale zaledwie myśl ta, wcisnąwszy się do mego mózgu, poczyniała w nim wygodnie się rozsiadać, uważałem ją natychmiast za śmieszna i pokracznie głupią. Myśli, skoro nami owładną, stają się prędko zuchwałe; najmiłsze są te, które tylko przemijają jak przechodnie, ta zaś stanowczo wyglądała na mocno szaloną. Gdym tak bił się z myślą: otworzyć czy nie otworzyć — pieczęć, którą ciągle miałem w palcach, nagle pękła w mych rękach i balon był odkorkowany.

Czekałem, obserwowałem. Nie widziałem nic, nie czułem nic. Byłem tym zawiedziony, gdyż nadzieja wyjścia ze szranków przyrody prędko i zręcznie wciska się nam do duszy. Nic! Ani jednego mętnego, niejasnego złudzenia, ani niewyraźnej wizji. Spełniało się, com przewidywał; cóż za zawód! Uczułem pewnego rodzaju złość. Leżąc w fotelu, przysięgałem sobie w obliczu otaczających mnie Egipcjan o długich, czarnych oczach, że na przyszłość do duszy mojej nie dam dostępu kłamstwom kabalistów. Znów oto raz jeszcze poznałem mądrość mego dobrego mistrza i postanowiłem za jego wzorem rządzić się jedynie rozumem we wszystkim, co nie tyczy się naszej chrześcijańskiej wiary katolickiej. Czekać na wizytę pani salamandry? Co za naiwność! Czyż mogą istnieć salamandry? Cóż możemy wiedzieć o tym? „Czemu nie?”

Powietrze, od południa już ciężkie, stawało się duszne; zmęczony długimi dniami spokoju i odosobnienia, czułem teraz jakby ciężar na czole i powiekach. Zbliżająca się burza nużyła mnie, opuściłem ręce, przymknąłem oczy i głowę oparłszy o fotel, zapadłem w półsen, zaludniony Egipcjanami o złotych twarzach i lubieżnymi marami. Nie wiem, jak długo trwał ten stan niepewny, podczas którego, jak płomyk w ciemnościach, żył we mnie tylko zmysł miłości. Nagle przebudzony zostałem lekkim odgłosem kroków i szelestem sukien; otworłem oczy i krzyknąłem z podziwu.

Przedemną stała cudna istota w czarnej atlasowej sukni, o kruczonych włosach okrytych koronką, o błękitnych oczach, rysach rzeźbionych w ciele młodym i świeżym, z krągłymi licami i ustami ożywionymi niewidzialnym pocałunkiem. Spod krótkiej sukni widać było nóżki drobne, śmiałe, żywe i wesołe; stała wyprostowana, krągła, trochę przysadziła w swych rozkosznych wdziękach; poniżej aksamitki, którą miała na szyi, widać było kwadracik piersi śniadej, lecz błyszczącej. Patrzyła na mnie ciekawie. Mówiłem, że sen mój podniecił mnie do miłości. Wstałem i rzuciłem się ku niej.

— Przepraszam — rzekła — szukam pana d'Astarac.

— Pani — odrzekłem — nie ma tu pana d'Astarac'a; jesteśmy sami tylko, ty i ja. Czekałem na ciebie, jesteś moją salamandrą; otworzyłem flakon kryształowy — przybyłaś — jesteś moja.

Chwyciłem ją w objęcia i okrywałem pocałunkami każdy kawałek ciała niezakryty suknią.

Wyrwała się.

— Szalony jesteś — rzekła.

— To bardzo naturalne — odpowiedziałem — któż by nie był na mym miejscu?

Spuściła oczy, zarumieniła się i uśmiechnęła; upadłem jej do nóg.

— Skoro pana d'Astarac tu nie ma, muszę się oddalić.

— Zostań — zawołałem, zasuważąc rygiel.

— Nie wiesz, czy prędko powróci? — zapytała.

— Nie, pani, nie wróci tak prędko. Zostawił mnie samego z salamandrami; z nich pragnę jednej tylko, a tą jesteś ty.

Chwyciłem ją w ramiona, zaniósłem na sofę, na którą wraz z nią upadłem, i całowałem namiętnie. Nie poznawałem siebie. Krzyczała, nie słyszałem jej; odpychała mnie, drapała; daremna jej obrona podsycala tylko mą żądzę. Przykrywałem ją sobą, ścisakałem, przewracałem; ciało jej zmiękło i ustąpiło, zamknęła oczy, uległa — i wkrótce poczułem w triumfie, jak ramiona jej bez gniewu już mnie przytulały.

Potem, rozłączeni już niestety z tego rozkosznego uścisku, spojrzeliśmy na siebie zdziwieni. Starając się przyzwoicie wrócić do przytomności, milczała, doprowadzając do porządku zmięte swe suknie.

— Kocham cię — rzekłem. — Jak się nazywasz?

Nie myślałem nawet, by była salamandrą, i co prawda nigdy naprawdę w to nie wierzyłem.

Pożądanie, Seks

— Nazywam się Jahela — odpowiedziała.
— Co, jesteś siostrzenicą Mozaidesa?
— Tak, ale cicho bądź... Gdyby się dowiedział...
— Cóż by zrobił?
— O! Mnie nic, ale tobie bardzo dużo złego. Nienawidzi chrześcijan.
— A ty?
— Och, ja? Ja nie lubię Żydów.
— Jahelo, kochasz mnie choć trochę?
— Zdaje mi się, mój panie, że po tym, co między nami zaszło, pytanie twoje jest obrażą.

— To prawda, ale staram się uzyskać przebaczenie za swą prędkość i zapał, które zapomniały pytać się o twoje uczucia.

— Nie rób się bardziej winnym, niż jesteś; cały twój gwałt i zapał nie przydałyby ci się na nic, gdybyś mi się nie był podobał. Widząc cię tu uspionego w fotelu, uważałam, że zasługujesz na me względy, czekałam twego przebudzenia i... wiesz resztę.

Odpowiedziałem pocałunkiem, oddała mi go. Co za pocałunek! Niby świeże poziomki leśne roztapiał się w mych ustach. Żądze moje odżyły znowu, znów przycisnąłem ją namiętnie do serca.

— Tym razem — rzekła — bądź mniej gwałtowny i nie myśl tylko o sobie; nie trzeba być egoistą w miłości. Młodzi ludzie nie dosyć myślą o tym, można ich jednak wyrobić.

Utonęliśmy w otchłani rozkoszy. Po czym boska Jahela rzekła do mnie:

— Czy nie masz grzebienia? Muszę poprawić włosy, wyglądam jak czarownica.

— Jahelo! — odpowiedziałem — nie mam grzebienia, czekałem na salamandrę. Ubóstwiam cię.

— Ubóstwiał mnie, mój drogi, ale bądź dyskretny. Nie znasz Mozaidesa.

— Cóż takiego, Jahelo! Czyż może być tak straszny, mając sto trzydzieści lat życia, z których siedemdziesiąt pięć spędził w piramidzie?

— Widzę, mój drogi, że nasłuchiłeś się baśni o moim wuju i byłeś na tyle naiwny, żeś im uwierzył. Wieku jego nikt nie zna, ja nie znam go także, pamiętam go zawsze starym, wiem tylko, że jest krzepki i niezwykle silny. Miał bank w Lizbonie i tam zdarzyło mu się zabić chrześcijanina, którego przychwycił u ciotki Miriam. Uciekł, zabierając mnie z sobą; odtąd kocha mnie z czułością matki, mówi do mnie z pieszczotami, jak do małego dziecka, i płacze, gdy widzi mnie śpiącą.

— Mieszkaś z nim?

— Tak jest, w pawilonie leśniczego, na drugim końcu parku.

— Wiem, idzie się tam przez ścieżkę mandragor. Jakże to stało się, że nie spotkałem cię wcześniej? Przez jakichś los zawistny, będąc tak blisko ciebie, żyłem, nie widząc cię? Co mówię — żyłem? Czyż można żyć, nie znając cię? Jesteś więc zamknięta w tym pawilonie?

— Prawda, że żyję bardzo odosobniona i nie mogę chodzić, tak jak bym chciała, ani do sklepów, ani na spacer, ani do teatru; czułość Mozaidesa nie daje mi swobody, strzeże on mnie jak zazdrośnik, bo oprócz sześciu złotych kubków, które wywiózł z Lizbony, i mnie niczego nie kocha na świecie. Ma on do mnie daleko więcej przywiązania, niż miał dla ciotki Miriam, toteż jeszcze chętniej zabiłby ciebie, niż zabił Portugalczyka. Nie sądzę, by ta obawa mogła wstrzymać człowieka z sercem; ostrzegam cię tylko, byś był dyskretny. Czy jesteś szlachetnego rodu, wyższej kondycji?

— Nie, niestety, mój ojciec trudni się rzemiosłem i prowadzi coś w rodzaju handlu.

— Czy prowadzi interesy z dworem? Czy ma urząd w finansach? Nie? To szkoda, trzeba więc kochać cię dla ciebie samego wyłącznie. Ale powiedz mi naprawdę, czy pan d'Astarac nieprędko powróci?

To pytanie, to imię wywołało we mnie okropne podejrzenie. Posądziłem piękną Jahelę, że przysłana jest przez kabalistę, by odegrać przede mną rolę salamandry, posądziłem ją nawet, że jest nimfą tego starego wariata. By od razu wszystkiego się dowiedzieć, zapytałem ją szorstko, czy zawsze udaje salamandrę w tym zamku.

— Nie rozumiem cię — rzekła i spojrzała na mnie wzrokiem pełnym niewinnego zadziwienia. — Mówisz jak sam pan d'Astarac i myślałabym, że jesteś dotknięty jego manią, gdybyś mi nie dowiódł przed chwilą, że nie podzielasz jego wstrętu do kobiet.

Pocałunek

Seks, Samolubstwo,

Młodość

On kobiet nie cierpi i dla mnie prawdziwy to przymus widzieć go i mówić z nim. Teraz jednak, gdy cię tu zastała, jego właśnie szukałam.

Uradowany, że podejrzenie moje było niesłuszne, znów okryłem ją pocałunkami. Postarała się przy tym, bym zobaczył, że ma czarne pończoszki, powyżej kolan brylantowymi sprzączkami spięte, a widok ten naprowadził znów myśli moje na przedmiot jej miły. Z wielką zręcznością i zapalem nęciła mnie i podniecała, i zauważyłem, że ożywia ją i bawi ta gra w chwili, gdy ja czułem się już nią zmęczony. Robiłem jednak, jak mogłem najlepiej, i udało mi się tej pięknej istocie oszczędzić obrazy, na którą nie zasługiwała bynajmniej. Zdało mi się, że była rada ze mnie. Wstała z twarzą spokojną i rzekła:

— Więc naprawdę nie wiesz, kiedy pan d'Astarac powróci? Przyznam ci się, że przyszłam poprosić go o małą sumę z pensji, którą winien memu wujowi, a która teraz jest mi niezbędnie potrzebna.

Wyjąłem sakiewkę i przepaszając ją, podałem jej trzy dukaty, które raczyła przyjąć. Było to wszystko, co mi pozostało ze zbyt rzadkiej szczodrości kabalisty, który wyznając zawodowo pogardę dla pieniędzy, zapominał niestety wypłacać pensje.

Zapytałem Jahlę, czy będę miał szczęście widzieć ją znowu.

— Tak — odrzekła.

Umówiliśmy się, że będzie przychodzić w nocy do mego pokoju, ilekroć będzie mogła wymknąć się z pawilonu, w którym ją strzeżono.

— Uważaj tylko, że moje drzwi są czwarte w korytarzu na prawo, piąte prowadzą do księdza Hieronima Coignarda, inne zaś zamykają dostęp do strychów, gdzie mieszka dwóch, trzech kuchcików i kilka setek szczurów.

Zapewniła mnie, że się nie omyli i zastuka do moich, a nie do innych drzwi.

— Zresztą — dodała — ten ksiądz Coignard wydaje mi się poczciwym człowiekiem i zdaje się, że nie mamy się czego obawiać z jego strony. Widziałam go przez okienko, w dniu, w którym przyszedł z tobą do mego wuja. Wydaje się miły, choć nie słyszałam, co mówił. Zwłaszcza jego nos świadczy, że to człowiek przemyślny i zdolny. Kto ma taki nos, temu nie brak zasobów, toteż pragnę go poznać. Zawsze zyskuje się na obcowaniu z ludźmi sprytnymi. Żałuję tylko, że nie podobał się memu wujowi przez lekkość swych wyrażań i przez swoje drwiące usposobienie. Mozaides go nienawidzi, a o sile jego nienawiści żaden chrześcijanin pojęcia mieć nie może.

— Moja panno — odrzekłem — ksiądz Hieronim jest człowiekiem bardzo uczonym, pełen jest rozumu i życzliwości; zna świat i masz rację, sądząc, że umie zawsze dobrze dać radę. Ja zawsze też do jego wskazówek się stosuję. Ale powiedz, czy nie widziałaś mnie wówczas w pawilonie przez okienko twoje?

— Widziałam — rzekła — i nie taję, że cię wyróżniłam od razu. Ale muszę powrócić do mego wuja. Żegnaj.

Pan d'Astarac wieczorem po kolacji zapytał mnie, co słyhać z salamandrą. Ciekawość jego zmieszała mnie trochę. Odpowiedziałem, że spotkanie z nią przeszło moje oczekiwania, że jednak pragnę zachować dyskrecję, stosowną w tego rodzaju przygodach.

— W tym przypadku, mój synu — odrzekł mi — dyskrecja twoja nie jest tak konieczna, jak sądzisz. Salamandry nie żądają tajemnicy w miłości, której się nie wstydzą. Jedną z tych nimf, która mnie kocha, w nieobecności mojej spędza najchętniej czas na tym, że wycina złączone razem nasze inicjały w pniach świerków, których wysmukłe wierzchołki stąd widzieć możesz. A czy nie uważasz, mój synu, że tego rodzaju miłości, zaprawdę cudowne, nie męczą, lecz przeciwnie, dodają nowych sił? Jestem pewien, że po tym, co zaszło, będziesz mógł całą noc tłumaczyć i przerobisz przynajmniej sześćdziesiąt stron Zosimosa Panopolitańczyka.

Przyznałem się, że przeciwnie, chce mi się bardzo spać, co wytłumaczył sobie zadziwieniem moim po pierwszym spotkaniu. Tak więc mąż ten naprawdę wierzył, że miałem stosunek z salamandrą. Robiłem sobie wyrzuty, że go oszukuję, ale byłem do tego zmuszony; zresztą tak dobrze sam się oszukiwał, że niewiele można by dodać do jego złudzeń. Poszedłem więc spać spokojnie i położywszy się, zagasiłem świecę po skończonym najpiękniejszym dniu mego życia.

Jahela dotrzymała słowa. Trzeciej nocy zapukała do mych drzwi. Było nam daleko wygodniej w moim pokoju aniżeli wówczas w gabinecie pana d'Astarac i to, co zaszło między nami przy owej pierwszej znajomości, było dziecinną igraszką wobec tego, czym natchnęła nas miłość przy drugim spotkaniu. O świcie wyrwała się z mych ramion, zapewniając stokrotnie, że wróci znów wkrótce, i nazywając mnie swą duszą, życiem, koteczkiem swoim.

Dnia tego wstałem bardzo późno i zeszedłszy do biblioteki, zastałem mego mistrza nad papirusem Zosimosa, z piórem w jednej, a lupą w drugiej ręce. Pracował z zapalem godnym zachwytu wszystkich znawców piśmiennictwa.

— Jakubie Rożenku — rzekł — najważniejszą trudnością w odczytywaniu tego manuskryptu jest to, że pewne litery łatwo tu można wziąć za inne, toteż, by odczytywanie się powiodło, trzeba sporządzić listę znaków, liter, co do których mogą się zdarzać takie pomyłki. Inaczej ku wiecznej hańbie naszej i słusznemu potępieniu gotowiśmy przyjąć zupełnie złe *lectiones*¹⁹⁸. Dziś zdarzyło mi się popełnić kilka śmiesznych błędów tego rodzaju. Musiałem od rana już mieć umysł zmacony tym, co widziałem tej nocy i co ci tu zaraz opowiem.

Obudziłem się nade dniem i zachciało mi się lyknać tego białego wina, którego zalety wychwalałem wczoraj panu d'Astarac. Istnieje bowiem, mój synu, między winem białym a pianiem koguta związek sympatyczny, sięgający zapewne czasów Noego; jestem pewny, że gdyby święty Piotr owej pamiętnej nocy spędzonej na podwórku arcykapłana wychylił był kieliszek białego wina mozelskiego lub choćby tylko orleańskiego — nie byłby się zaparł Jezusa, nim drugi kur zapiał¹⁹⁹. Nie powinniśmy jednak bynajmniej żałować, mój synu, tego brzydkiego czynu; przepowiednie bowiem musiały się spełnić i gdyby ten Piotr czy Kefas owej nocy nie popełnił był ostatniej nikczemności, nie byłby dziś największym świętym w raju, kamieniem węgielnym naszego Kościoła — ku zawstydzeniu ludzi wedle sądu świata porządnych, którzy patrzeć muszą, jak klucze ich wiecznej szczęśliwości trzyma w ręku łotr nikczemny. Co za zbawienny przykład, który wyrwa człowieka z fałszywych poduszczeń ludzkiego honoru i prowadzi na drogę zbawienia! Co za przemyślny ustrój wiary! Co za mądrość Boska, która wynosi pokornych i nędznych, by poniżyć pysznych! O cudzie! O tajemnico! Ku wiecznej hańbie faryzeuszów i prawników, prosty rybak znad Jeziora Tyberiadzkiego, dla ciężkiej podłości swojej pośmiewisko dziewczek kuchennych wraz z nim wygrzewających się na podwórku arcykapłana, gbur, wyrzekający się mistrza swego i wiary wobec kucht mniej powabnych zapewne od pokojówki pani starościny z Séez — nosi na czole potrójną koronę²⁰⁰, na palcu pierścien arcybiskupski, wyniesiony jest nad książąt, biskupów, nad króle i cesarze, ma prawo łączyć i rozłączać; najszanowniejszy mąż, najuczciwsza niewiasta nie wejdą do nieba, jeżeli on im wstępu nie otworzy! Ale powiedz no mi, Rożenku, mój synu, na czym przerwałem wątek mego opowiadania, wplątawszy węć świętego Piotra, księcia apostołów? Zdaje mi się, że mówiłem ci o szklance wina, którą wypilem o świcie. Zeszedłem zatem w koszuli tylko do kredensu i wyjąłem z szafy, od której klucz przezornie z wieczora już do siebie zabrałem, jedną butelkę, którą z rozkoszą opróżniłem. Po czym, wracając po schodach, spotkałem między drugim a trzecim piętrem białogłówkę²⁰¹ tylko w biel odzianą, schodzącą po stopniach. Przelęknęła się bardzo i uciekła w głąb korytarza. Pobiegnęłam za nią, dognałem, objąłem w ramiona i wycalowałem, party nagłą i niepowściągniętą sympatią. Nie potępiaj mnie, mój synu, uczyniłbyś to samo na moim miejscu, a może i więcej jeszcze. Była to ładna dziewczyna, podobna do pokojówki pani starościny, ale z żywszym spojrzeniem. Nie śmiała krzyknąć, szeptała mi tylko do ucha: „Puść, puść mnie! Szalony jesteś!”. Widzisz, Rożenku, mam jeszcze na ręku ślady jej paznokci; ach, czemuż również żywo nie zachowałem na ustach śladu pocałunków, którymi mnie obdarzyła!

— Co, księżo? — zawołałem. — Pocałowała was?

¹⁹⁸*lectiones* (łac. Im od *lectio*: czytanie), pol.: *lekcje* — tu: konkretne sposoby odczytania tekstu rękopiśmiennego w miejscach, w których jego zapis jest wątpliwy, możliwe są różne warianty. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*święty Piotr owej pamiętnej nocy (...) nie byłby się zaparł Jezusa, nim drugi kur zapiał* — Mk 14, 66–72; Mt 26, 69–74; Łk 22, 54–60; J 18, 15–26. [przypis edytorski]

²⁰⁰*nosi na czole potrójną koronę* — tiarę papieską, nakrycie głowy papieża Kościoła katolickiego, mające kształt spiczastej czapki, do której w XIV w. dodano osadzone trzy korony, symbol najwyższej duchownej i świeckiej władzy papieża jako władcy Państwa Kościelnego. [przypis edytorski]

²⁰¹*białogłówka* (daw.) — zdrobn. od: białogłowa; młoda kobieta, dziewczyna. [przypis edytorski]

— Bądź pewny, synu — odrzekł mój drogi mistrz — że dostałbyś taki sam uścisk, gdybyś był na moim miejscu; naturalnie pod warunkiem, że skorzystałbyś tak jak ja ze sposobności. Mówiłem ci, że trzymałem ją silnie w objęciach, usiłowała uciec, tłumiała krzyk, żaliła się: „Puść mnie, błagam! Dnieje już, jeszcze chwila, a jestem zgubiona”. Jej obawy, jej strach, niebezpieczeństwo wzruszyłyby barbarzyńcę. Nie jestem okrutnikiem, uwolniłem ją za cenę pocałunku, który też dała mi natychmiast. Wierz mi na słowo — rozkoszniejszego nie otrzymałem nigdy.

W tym miejscu opowiadania mój kochany mistrz uniósł głowę, by pociągnąć tabaki, i zauważył mój smutek i zmieszanie, co wziął za zdziwienie.

— Jakubie Rożenku — rzekł — to, co ci mam dalej powiedzieć, zadziwi cię jeszcze więcej. Z żalem wielkim tedy²⁰² puściłem tę piękną pannę, ale ciekawość moja kazała mi iść za nią. Zeszedłem za nią ze schodów, widziałem, jak przeszła przez sień i wyszła małą furtką wychodzącą na pola, w stronę, gdzie park najrozleglejszy, i pobiegła w aleję. Pobiegłem za nią; wiedziałem przecie, że nie pójdzie daleko tylko w bieli i w czepku nocnym. Weszła na ścieżkę mandragor; to jeszcze spotęgowało mą ciekawość i poszedłem za nią aż do domku Mozaidesa. W tej chwili, w swej brudnej szacie i wielkiej czapce, ukazał się w oknie ten Żyd szkaradny, jak te figurki wyskakujące z uderzeniem południa w starych gotyckich zegarach, przechowywanych w równie gotyckich i równie śmiesznych kościołach ku ucieście prostaków i ku zyskom kościelnego sługi.

Spostrzegł mnie w gęstwinie krzaków w chwili właśnie, gdy ta ładna dziewczyna, chyżza jak Galatea²⁰³, wśliznęła się do domu. Wyglądało to tak, jak gdybym ścigał ją sposobem a zwyczajem satyrów, o których mówiliśmy kiedyś, komentując piękne ustępy z Owidiusza. Do tego podobieństwa przyczyniał się jeszcze mój strój, bo jak ci mówiłem, mój synu, byłem w koszuli. Na mój widok oczy Mozaidesa błysnęły, wydobył spod swej brudnej żółtej opończy sztylet dość zgrabny, począł wywijać nim przez okno ręką nieociężałą jeszcze od starości i jednocześnie ciskał mi złorzeczenia dwujęzyczne. Tak, Rożenku, moje wiadomości gramatyczne upoważniają mnie do twierdzenia, że wymyśliły te były w dwu językach i że język hiszpański, a raczej portugalski, mieszał się w nich z hebrajskim. Wściekałem się, że nie rozumiałem dokładnie, co mówił, bo nie znam tych języków, choć poznaję je po pewnych często powtarzających się dźwiękach. Prawdopodobnie posądzał mnie, że chciałem zgwałcić tę dziewczynę, która, jak sądzę, jest Jahelą, jego siostrzenicą. Pamiętasz zapewne — mówił o niej kilkakroć panu d'Astarac. Przekleństwa jego były więc po części pochlebstwem, bo dziś, taki, jakim mnie uczynił bieg lat i trudy burzliwego życia, nie mogę już rościć prawa do miłości młodych dziewic. Niestety! Musiałbym chyba zostać biskupem, by zakosztować tak smacznego kęska. Żałuję tego bardzo, ale nie należy przywiązywać się zbyt mocno do znikomych dóbr tego świata i musimy umieć opuścić to, co nas opuszcza.

Mozaides więc, wywijając sztyletem, wydawał z krtani swej to ostre, to chropawe dźwięki, które składały się na hańbiącą mnie arię czy kantylenę²⁰⁴. I nie chwaląc się, mój synu, mogę powiedzieć, że traktował mnie od gwałcicieli i rozpustników w tonie uroczystym i majestatycznym. Gdy skończył nareszcie swe przekleństwa, postarałem się dać mu ripostę dwujęzyczną, tak jak w dwu językach był atak. Po francusku i po łacinie odpowiedziałem mu, że jest mordercą i świętokradcą, gdyż zarzynał niewiniątka i sztyletował hostie poświęcane.

Chłodny wietrzyk poranka, muskając moje nogi, przypomniał mi, że jestem w koszuli; zażenowało mnie to trochę, bo oczywiście brak spodni nie jest to strój odpowiedni dla człowieka chcącego wykazać prawdy święte, zgromić błędy i ścigać zbrodnie. Mimo to odmalowałem mu okropny obraz jego występków i zagroziłem mu sprawiedliwością Boską i ludzką.

— Czyż być może — zawołałem — by ten Mozaides, mający tak ładną siostrzenicę,

Antysemityzm, Wiara

²⁰²tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

²⁰³Galatea (mit. gr.) — kobieta wyrzeźbiona przez Pigmaliona, króla Cypru i rzeźbiarza, który zakochał się we własnym dziele, zaś bogini Afrodyta na usilne prośby Pigmaliona ożywiła posąg (Owidiusz, *Metamorfozy* X 243–297); albo też: boginka morska, ukochana sycylijskiego pasterza Akisa (Acisa), którego zabił, przysięgając głazem, zazdrosny olbrzym Polifem, a Galatea zamieniła jego wypływającą spod głazu krew w rzeczkę (Owidiusz, *Metamorfozy* XIII 740–897). [przypis edytorski]

²⁰⁴kantylena (z wł., muz.) — rodzaj śpiewnej melodii. [przypis edytorski]

zarzynał niewiniątka i sztyletował hostie?

— Nie wiem nic o tym — rzekł ksiądz Hieronim Coignard — i nic wiedzieć nie mogę, ale są to zbrodnie jego plemienia i mogę go nimi obarczyć bez obrazy. W osobie tego niewiernego zlorzeczyłem całemu szeregowi jego zbrodniczych przodków. Wiesz przecie, co mówią o Żydach i ich ohydnych obrządkach. W starej kosmografii Münstera²⁰⁵ jest rycina przedstawiająca Żydów, kaleczących dziecko; że to Żydzi, łatwo rozpoznać po sukiennym kole naszytym na ich odzieży na znak hańby. Nie sądzę jednak, by było to u nich w ogólnym i codziennym użyciu. Wątpię też, czy Izraelici tak skłonni są do znieważania rzeczy świętych; oskarżać ich o to jest to przypuszczać, że na równi z nami głęboko przejęci są boskością Pana naszego Jezusa Chrystusa. Bez wiary świętokradztwa pojąć niepodobna i Żyd, który przebija sztyletem hostię świętą, tym samym oddaje szczerzy hołd prawdzie przeistoczenia²⁰⁶. Są to, mój synu, bajki dobre dla prostaków i jeżeli cisnąłem je w twarz temu potwornemu Mozaidesowi, uczyniłem to nie za radą zdrowego sądu, lecz raczej dla zaspokojenia mej gwałtownej niechęci i gniewu.

— Ach — zawołałem — mogłeś zadowolić się, zarzucając mu morderstwo Portugalczyka, którego zabił z zazdrości; tego mordu bowiem dopuścił się naprawdę.

— Co — zawołał mój drogi mistrz — Mozaides zabił chrześcijanina?! Mamy w nim, Rożenku, niebezpiecznego sąsiada. Z tej przygody wyciągniesz zapewne ten co i ja wniosek. Pewne jest, że siostrzenica jego jest kochanką pana d'Astarac i niewątpliwie wracała z jego sypialni, gdym spotkał ją na schodach. Zbyt silną mam wiarę, bym mógł nie żałować, że tak miła osoba należy do plemienia, które ukrzyżowało Jezusa Chrystusa. Niestety! Nie mam wątpliwości, mój synu, że ten szkaradny Mordechaj jest wujem Estery²⁰⁷, dla której zbyteczne jest sześć miesięcy nacierać się mirrą²⁰⁸ i wonnościami, by być godną królewskiego łoża. Nie dla tego starego kruka spagiryty stosowna taka piękność i czuję ochotę zająć się jej osobą. Mozaides musi ukrywać ją starannie, bo gdyby ukazała się w alejach lub w teatrze, miałyby nazajutrz wszystkich u swych stóp. Nie chciałbyś widzieć jej, Rożenku?

Odrzekłem, że pragnąłbym tego bardzo, po czym pograżyliśmy się obaj w naszym tłumaczeniu greckim.

Pewnego wieczora byłem z moim droгим mistrzem na ulicy du Bac. Było bardzo gorąco i ksiądz Hieronim Coignard rzekł do mnie:

— Jakubie Rożenku, mój synu, czy nie myślisz, że dobrze byłoby skrócić na lewo, w ulicę Grenelle, aby odszukać jakąś gospodę? Na domiar musimy znaleźć gospodarza, który by nam sprzedał dzban wina za dwa su²⁰⁹. Zupełnie jestem ogolocony z pieniędzy, mój synu, a i ty pewnie nie lepiej zaopatrzony jesteś dzięki szczodrości pana d'Astarac, który może robi złoto, ale nie daje go swym sekretarzom i służbie, jak tego na sobie mamy przykład. Pozostawia nas w oplakanyim stanie, nie mam całego szeląga w kieszeni i widzę, że będę musiał sprytem i przebiegłością zaradzić temu złemu. Pięknie jest znosić ubóstwo ze spokojem ducha, jak Epiktet, który tym nabył chwały niezniszczalnej, ale jest to ćwiczenie duchowe, którego syt jestem i które wskutek nawyknięcia mocno mnie już znudziło. Czas już, bym począł praktykować inną cnotę i nauczył się władać bogactwem, nie będąc przez nie owładnięty, co jest stanem najszlachetniejszym, do którego wznieść się może dusza filozofa. Chcę niedługo mieć dobry jakiś zysk, by dowieść, że statek mój i w powodzeniu się nie zachwieje. Widzisz, Rożenku, że właśnie dumam, jakie by ku temu wynaleźć środki.

²⁰⁵ *Münster, Sebastian* (1488–1552) — niemiecki geograf, kartograf, hebraista; autor m.in. popularnego, mającego wiele wydań i tłumaczeń, ilustrowanego opisu świata pt. *Cosmographia universalis* (1544). [przypis edytorski]

²⁰⁶ *przeistoczenie* — tu: transsubstancjacja, tj. w teologii katolickiej przemiana substancji podczas Eucharystii: chleba w ciało, a wina w krew Chrystusa. [przypis edytorski]

²⁰⁷ *Mordechaj i Estera* — postacie z biblijnej *Księgi Estery*: Estera była młodą Żydówką wychowywaną w czasie niewoli babilońskiej przez swojego kuzyna Mordechaja; została żoną króla perskiego Achaszwerosza, wybraną spośród wielu piękności kraju. [przypis edytorski]

²⁰⁸ *mirra* — wonna żywica używana w charakterze kadzidla lub pachnidła. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *su* (fr. *sou*) — drobna moneta francuska, używana do 1795. [przypis edytorski]

Gdy tak ze szlachetną swą wytwornością mówił mój mistrz drogi, zbliżyliśmy się do domu, w którym pan de la Guéritaude ulokował był pannę Katarzynę. „Poznasz go — powiedziała mi — po krzewach różanych na balkonie”. Za ciemno już było, bym mógł je widzieć, lecz zdało mi się, że czuję ich zapach. Zbliżywszy się jeszcze kilka kroków, poznałem Kasię: stała w oknie z koneweczką wody w ręku i podlewała kwiaty. Poznawszy mnie na ulicy, roześmiała się i przesała mi całusa. Zaledwie to uczyniła, ręka jakaś wysunęła się zza żaluzji i wymierzyła jej policzek, który tak ją przestraszył, że wypuściła z rąk konewkę, a ta o mały włos nie upadła na głowę mego mistrza. Po czym piękność spoliczkowana zniknęła, a policzkujący zajął jej miejsca w oknie i przechyliwszy się za kratę, zawołał:

— Chwała Bogu, że nie jesteś waćpan tym kapucynem. Znieść nie mogę, gdy moja kochanka posyła całusy tej śmierdzącej bestii, która ciągle krąży pod tymi oknami; tym razem przynajmniej mogę się nie rumienić za jej wybór. Wydajesz mi się porządnym człowiekiem; zdaje mi się też, że cię już gdzieś widziałem. Bądź łaskaw przyjsć na górę, wieczera przygotowana w domu. Będzie mi miło, gdy podzielicie ją ze mną — ty i ten ksiądz również, który całą konewkę wody dostał na głowę i otrząsa się jak pudel zmoczony. Po kolacji zagramy w karty, a nad ranem zmierzmy się na szable. Uczynię to jednak tylko z grzeczności, aby cię uczyć, mój panie, gdyż naprawdę ta dziewczyna cięcia szabli nie warta. To szelma, której więcej widzieć nie chcę.

W tym, który tak przemawiał, poznałem owego pana d'Anquetil, którego widziałem niedawno, jak żywo podszczuwał swą służbę w pogoni za bratem Aniołem. Mówił grzecznie i traktował mnie jak szlachcica; odczuwałem dobrze, jakim względem jest to dla mnie, że zgadza się bić ze mną. Mój drogi mistrz nie mniej odczuwał tyle uprzejmości z jego strony. Dostatecznie otrząsłszy się, rzekł:

— Rożenku, mój synu, na tak miłe zaproszenie odmówić nie możemy.

Już dwaj lokaje zeszedli z pochodniami i wprowadzili nas do sali, gdzie na stole srebrnymi świecznikami oświetlonym przygotowana była wieczera. Pan d'Anquetil prosił, byśmy zasiedli, i ksiądz Coignard zawiązał już był serwetę pod brode i zatopił widelec w pierś kwiczoła²¹⁰, gdy uszów naszych doszedł odgłos płaczu i łkania.

— Nie zważajcie na to — rzekł pan d'Anquetil — to Kasia tak lamentuje w pokoju, gdzie ją zamknąłem.

— Ach, panie, trzeba jej wybaczyć — rzekł mój mistrz, żałośnie patrząc na kwiczoła nadzianego na ostrzu swego widelca. — Najsmaczniejsze potrawy gorzkie są, gdy zaprawne łzami i jękiem. Czyż możesz ze spokojnym sercem dać płakać kobiecie? Przebacz jej, proszę cię! Czy tak wielka to wina, że posłała całusa memu młodemu uczniowi, który był jej sąsiadem i towarzyszem w czasach wspólnej biedy, gdy ta piękna dziewczyna słynęła z wdzięków jedynie pod altanką „Małego Bachusa”? Jest to rzecz zupełnie niewinna, o ile niewinnym i zupełnie wolnym od zmazy pierworodnej może być czyn ludzki, a zwłaszcza czyn kobiety. Pozwól pan też powiedzieć sobie, iż zazdrość jest uczuciem gotyckim, smutną pozostałością obyczajów barbarzyńskich i że nie powinna istnieć w duszy wytwornej i szlachetnie urodzonej.

— Mości księżu — odrzekł pan d'Anquetil — z czego to wnioskujesz, że jestem zazdrosny? Nie jestem nim, ale nie znoszę, by kobieta kpiła sobie ze mnie.

— Jesteśmy igraszka wicherów — rzekł, wzdychając, mój mistrz. — Wszystko z nas sztydzi: niebo, gwiazdy, deszcz, zefiry, cienie, światło i kobieta. Pozwól pan, by Kasia wieczerała z nami. Ładna jest i rozweseli naszą ucztę. Cokolwiek zawinić mogła, całus ten i reszta nie mniej miłą czyni ją dla oczu. Niewierność kobiet nie szpeci ich rysów. Przyroda, która lubi je zdobić, obojętna jest na ich błędy. Naśladuj ją pan i przebacz Kasi.

I ja przyłączyłem swe prośby do próśb mego drogiego mistrza; pan d'Anquetil zgodził się uwolnić uwięzioną. Zbliżył się do drzwi, skąd dochodziły łkania, otworzył je i zawołał na Kasię, która odpowiedziała tylko silniejszym jeszcze płaczem.

— Panowie — rzekł, zwracając się do nas, jej kochanek — oto leży na łóżku, rozciągnięta na brzuchu jak długa, z głową w poduszkach. Jak śmiesznie zadem trzęsie za każdym łkaniem! Przypatrzcie się tylko: oto za czym tyle zabiegamy i dla czego popielniamy tyle głupstw. Kasiu, chodź na kolację.

²¹⁰kwiczol — łowny ptak leśny. [przypis edytorski]

Ale Kasia nie ruszyła się z miejsca i płakała dalej. Pociągnął ją za rękę, ujął w pól — opierała się ciągle. Począł nalegać:

— No, chodź, pieszczotko.

Ale Kasia upierała się, nie odwróciła się nawet i dalej obejmowała poduszki i materac. Kochanek jej zniecierpliwiał się i szorstko klnąc, zawołał:

— Hola, wstawaj, szelmo!

Wstała natychmiast, uśmiechając się przez łzy, wsunęła rękę pod ramię pana d'Anquetil i weszła z nim do jadalni z miną zadowolonej ofiary.

Usiadła pomiędzy mną a panem d'Anquetil i głowę opierając na ramieniu kochanka, nogą szukała mej nogi pod stołem.

— Panowie — rzekł nasz gospodarz — zechciejcie wybaczyć mi mój czyn gwałtowny, którego jednak nie mogę żałować, gdyż zawdzięczam mu przyjemność ugoszczenia was tutaj. Rzeczywiście nie mogę pozwolić na wszystkie kaprysy tej ładnej dziewczyny i stałem się bardzo podejrzliwy, odkąd zdybałem ją z jej kapucynem.

— Mój kochany — rzekła doń Kasia, przydepując mi nogę — zazdrość cię oślepia; wiedz, że tylko pan Jakub mi się podoba.

— Kpi jeszcze — rzekł pan d'Anquetil.

— Ani myśli o tym — odrzekłem. — Widać, że tylko pana kocha.

— Nie chwając się, umiałem pozyskać jej przywiązanie. Niemniej jest bardzo zalotna.

— Pić! — rzekł ksiądz Coignard.

Pan d'Anquetil podał dzban memu mistrzowi i zawołał:

— Ale, księżo, ty, co także jesteś członkiem Kościoła, powiedz nam przecie, dlaczego kobiety kochają kapucynów?

Ksiądz Coignard otarł usta i rzekł:

— Dlatego, że kapucyni kochają z pokorą i nie odmawiają niczego; dlatego jeszcze, że ani zastanowienie, ani wytworność obyczajów nie osłabia ich instynktów przyrodzonych. Panie, wino twoje jest bardzo zacne.

— Zbyt wiele szacunku dla mnie — odrzekł pan d'Anquetil — jest to wino pana de la Guéritaude. Wziąłem mu kochankę, mogę więc chyba brać i jego wina.

— Nic słusniejszego — odrzekł mój mistrz — widzę, panie, że wznosisz się ponad przesady.

— Nie chwał mnie więcej, niż trzeba, mości księżo — rzekł pan d'Anquetil. — Urodzenie moje ułatwia mi to, co trudne jest może dla człowieka z gminu. Człowiek z gminu winien miarkować wszystkie swoje czyny i zmuszać się do ścisłej uczciwości; szlachcic zaś ma szacunek bić się za króla i dla przyjemności swojej. To zwalnia go od zważania na drobnostki. Służyłem pod panem de Villars²¹¹, walczyłem w wojnie sukcesyjnej²¹², bez najmniejszej przyczyny o mało mnie nie zabito w bitwie pod Parmą: słuszne więc chyba, bym w zamian miał prawo bić swoją służbę, okpiwać wierzycieli i zabierać moim przyjaciółom, gdy mi się zechce, żonę lub nawet kochankę.

— Zacnie mówisz — rzekł mój mistrz drogi — i widzę, że dbasz o utrzymanie przywilejów szlacheckich.

— Nie mam zgoła — rzekł pan d'Anquetil — skrupułów krępujących większość ludzi, a dobrych jedynie, by powstrzymywać nieśmiały i mieć w ryzach nieszczęśliwych.

— Racja — rzekł mój mistrz.

— Nie wierzę w cnotę — dodał pan d'Anquetil.

— Masz rację — rzekł jeszcze mój mistrz. — Zwierzę ludzkie, takie jak jest, nie może być cnotliwe bez jakiejś ułomności. Spójrz, proszę, na tę ładną dziewczynę tu za naszym stołem, spójrz na jej małą główkę, na piękne piersi, łono dziwnie krągłe — gdzie, w jakim miejscu tej osoby mogłoby się schować źdźbełko cnoty? Miejsca nie ma na to,

Szlachcic

Żołnierz, Szlachcic

Cnota, Piękno

²¹¹Villars, Claude de (1653–1734) — francuski arystokrata, dowódca wojskowy, marszałek Francji, wybitny generał Ludwika XIV. [przypis edytorski]

²¹²wojna o sukcesję hiszpańską (1701–1714) — toczona pomiędzy Wielką Brytanią, Holandią, Austrią i Sabaudią a Francją, Hiszpanią, Bawarią i Kolonią o władzę nad Hiszpanią i jej posiadłościami po śmierci bezdzietnego króla Hiszpanii Karola II Habsburga; zakończona traktatem pokojowym w Utrechcie, na mocy którego Filip V (wnuk francuskiego króla Ludwika XIV) zachował tron Hiszpanii wraz z koloniami, zrzekając się jednocześnie praw do tronu Francji, zaś Ludwik XIV zrzekł się praw dynastycznych do Hiszpanii, co miało zapewnić zachowanie równowagi sił w Europie. [przypis edytorski]

tak tu wszystko jest pełne, krągłe, twarde, soczyste. Cnota jak kruk gnieździ się w ruinach: zamieszkuje doły i zmarszczki ciała. Ja sam, panie mój, choć od dzieciństwa oddany surowym rozmyślaniom nad religią i filozofią, tylko poprzez szczyby, które w mej osobie poczyniły wiek i cierpienie, zdołałem cokolwiek wchłonąć w siebie cnoty. A i to wyznać trzeba, że więcej jeszcze przejmowałem się pychą niż cnotą. Toteż do boskiego Stwórcy taką zanoszę modlitwę: „Boże mój, uchwaj mnie od cnoty, jeśli ona oddalić mnie ma od świętobliwości”. Ach, świętobliwość! Oto co możemy i powinniśmy osiągnąć. Oto właściwy dla nas kres! Daj nam, Boże, szczęśliwie do niego dopłynąć! Tymczasem daj mi pan pić.

— Wyznam ci też — rzekł pan d’Anquetil — że nie wierzę w Boga.

— To potępiam stanowczo, mój panie — rzekł ksiądz. — Trzeba wierzyć w Boga i we wszystkie prawdy naszej świętej wiary.

Pan d’Anquetil obruszył się.

— Kpisz, mój księżu, masz mnie za głupszego niż jestem. Powtarzam ci, że nie wierzę w Boga ani w czarta, nie chodzę nigdy na mszę, chyba na mszę królewską. Kazania księży są bajkami starych bab, możliwymi może w czasach, kiedy babka moja jeszcze widziała księdza de Choisy²¹³, przebranego za kobietę i rozdającego chleb święcony u Świętego Jakuba-du-Haut-Pas. W owe czasy istniała jeszcze wiara; teraz nie ma jej już, dzięki Bogu.

— Na wszystkich świętych i na wszystkich diabłów, mój drogi, nie mów tak! — krzyknęła Kasia. — Jest Bóg; taka to prawda, jak że ten pasztet stoi na stole, a dowodem tego, że gdy zeszłego roku byłam raz w wielkim strapieniu a biedzie i z porady brata Anioła ofiarowałam świeczkę do kościoła kapucynów, na przechadzce już nazajutrz spotkałam pana de la Guéritaude, który dał mi ten domek z wszystkimi meblami, z piwnicą pełną win, które dziś pijamy, i dosyć pieniędzy, by żyć przyzwoicie.

— Pfe! — rzekł pan d’Anquetil. — Głupia, miesza Boga w tak brudne sprawy; to obrzydliwość, która razi każdego, nawet ateusza.

— Panie — rzekł mój drogi mistrz — lepiej jest, jak to czyni ta prosta dziewczyna, kłaść Boga do brudnych sprawek, aniżeli za twoim przykładem wypędzać Go ze świata, który stworzył. Jeżeli nie On sam przywiódł Kasi, która także jest jego stworzeniem, tego grubego płatnika, niemniej pozwolił, by go spotkała. Nieznane nam są drogi Jego, i to, co mówi ta dziewczyna, choć pomieszane i spojone nieco z bluźnierstwem, więcej prawdy zawiera, niż puste słowa, które pyszny niedowiarek czerpie z próżni swego serca. Nie ma nic wstrętniejszego nad tę lekkomyślność w rzeczach wiary, którą popisuje się tak chętnie młodzież dzisiejsza. Słowa twoje przejmują zgrozą. Czyż odpowiem na nie dowodami czerpanymi z ksiąg świętych i pism ojców Kościoła? Czy dam ci słyszeć, jak Bóg mówi do patriarchów i proroków: *Sic locutus est Abraham ei semini eius in saecula*²¹⁴? Czyż rozwinę przed twym wzrokiem tradycję Kościoła? Czyż powołam przeciw tobie świadectwo obydwóch Testamentów? Czyż pognębię cię cudami Chrystusowymi i słowem Jego, równie cudownym jak czynny? Nie, nie użyję tych świętych broni, lękałbym się znieważać je w tej walce nieuroczystej. Kościół przezornie ostrzega nas, byśmy tego, co miało być ku zbudowaniu, nie narażali na zgorzenie. Toteż milczeć będę o świętych prawdach, w których wzrosłem u stóp ołtarzy. Lecz nie gwałcąc czystej skromności mej duszy, nie narażając na profanację świętych tajemnic, ukazać ci jak Bóg objawia się rozumowi ludzkiemu w filozofii pogan, nawet w zdaniach niedowiarek. Tak, panie, przekonam cię, że ty nawet utrzymując, że Bóg nie istnieje, sam wyznajesz Go mimo twej woli. Bo na to zgodzisz się ze mną, że jeżeli istnieje ład na świecie, jest to ład boski i że wypływa ze źródła i krynicy wszelkiego ładu.

— Zgadzam się — rzekł pan d’Anquetil, rozpierając się w fotelu i głaszcząc swą istotnie kształtną łydkę.

— Uważaj zatem — ciągnął dalej mój drogi mistrz. — Gdy mówisz, że Boga nie ma, cóż czynisz wtedy? Wiążesz szereg myśli, układasz rozumowania, sam stajesz się objawem źródła wszelkiej myśli, wszelkiego rozumowania, którym jest Bóg właśnie. I czyż

²¹³Choisy, François-Timoléon de (1644–1724) — francuski pisarz i duchowny; ksiądz de Choisy, przebranego za kobietę: za sprawą matki de Choisy jako chłopiec ubierał się jak dziewczyna, po 18 roku życia krótko nosił męski strój, po czym wrócił do stroju kobiecego. [przypis edytorski]

²¹⁴*Sic locutus est Abraham ei semini eius in saecula* (łac.) — Jako rzekł Abrahamowi i nasieniu [tj. potomstwu] jego na wieki (Łk 1, 55). [przypis edytorski]

można starać się dowieść, że Bóg nie istnieje, nie świecąc zarazem w najnędnym rozumowaniu, które jednak jeszcze jest rozumowaniem, częścią tej harmonii, którą on ustanowił w wszechświecie?

— Mój księżę — odrzekł pan d'Anquetil — jesteś uciesznym sofistą²¹⁵. Wiadomo dziś, że świat jest dziełem czystego przypadku i nie można już mówić o Opatrzności, odkąd fizycy przez lunetę dostrzegli na księżycu żaby ze skrzydłami.

— A więc drogi panie — odparł mój mistrz — nie sierzdz²¹⁶ mnie to wcale, że są na księżycu żaby uskrzydłone. Takie ptaki błotne są godnymi mieszkańcami świata nie-uświęconego przez krew Pana naszego Jezusa Chrystusa. Przyznaję, że znamy tylko małą część wszechświata, i bardzo być może że, jak mówi pan d'Astarac, który zresztą jest wariatem — świat ten jest tylko kroplą błota wśród nieskończoności światów innych. Być może, że astrolog Kopernik nie śnił tylko, gdy nauczał, że ziemia nie jest matematycznym centrum stworzenia. Czytałem też, że Włoch pewien, imieniem Galileusz²¹⁷, który wprawdzie marnie skończył — podzielał te zapatrywania, a ostatnio pan de Fontenelle²¹⁸ także z nimi się zgadza. Ale są to tylko złudne pojęcia, zdolne jedynie zamącić słabsze umysły. Nieważna to rzecz, czy świat fizyczny jest większy czy mniejszy, tego lub innego kształtu. To, że jedynie inteligencją i rozumem objąć go możemy, wystarcza, by dowieść istnienia w nim Boga.

Jeżeli medytacje mędrca mogą ci być przydatne, panie, opowiem ci, jak mi się nagle w całej swej jasności ukazał dowód istnienia Boga, dowód lepszy od dowodu świętego Anzelma²¹⁹ i niezależny zupełnie od prawd Objawienia.

Było to w Séez, przed dwudziestu pięciu laty. Byłem bibliotekarzem księdza biskupa i pracowałem w galerii, której okna wychodziły na podwórze, gdzie każdego ranka widywałem pomywaczkę czyszczącą rondle jego eminencji.

Była to dziewczyna młoda, wysoka i krzepka; lekki meszek ocieniał jej górną wargę i nadawał jej twarzy pyszny, podniecający wdzięk. Jej rozwichrzone włosy, płaska pierś, długie, szczupłe ramiona, godne były zarówno Adonisa²²⁰, jak Diany²²¹; była to piękność chłopięca. Kochałem ją za to, kochałem jej duże, czerwone ręce, dziewczyna ta wzbudzała we mnie żądę gwałtowną i brutalną jak ona sama. Wiesz dobrze, jak nieprzeparane są podobne uczucia. Z mego okna kilku gestami i słowy dałem jej poznać me zapale; jeszcze zwięźlej wskazała mi, że im najzupełniej odpowiada, i nazaczyła mi na następną noc schadzkę na strychu, gdzie sypiała na wiązce siana, z łaski jego eminencji, u którego była pomywaczką. Niecierpliwie czekałem nocy i gdy nareszcie ciemność okryła ziemię, wziąłem drabinę i wdrapałem się na strych, gdzie na mnie czekała ta dziewczyna. Pierwszą moją myślą było uściskać ją, drugą — podziwiać ciągłość zdarzeń, która przywiodła mnie w jej ramiona. Bo zważ tylko, mój panie: młody duchowny, dziewczyna kuchenna, drabina,

²¹⁵*sophista* — tu: człowiek rozmyślnie używający nieuczciwej argumentacji w celu udowodnienia fałszywej tezy. [przypis edytorski]

²¹⁶*sierzdz* (przestarz.) — wzbudzać złość, gniewać. [przypis edytorski]

²¹⁷*Galileusz*, właśc. *Galileo Galilei* (1564–1642) — włoski astronom, filozof, fizyk; twórca podstaw eksperymentalno-matematycznych metod badawczych w przyrodznawstwie; odkrywca księżyców Jowisza, plam na Słońcu oraz fazy Wenus; zwolennik idei Kopernika; w 1616 kościelna komisja Świętego Oficjum (inkwizycji) uznała głoszone przez niego poglądy heliocentryczne za absurdalne naukowo oraz heretyckie, otrzymał nakaz ich porzucenia oraz zakaz ich dyskutowania i obrony; w 1633 jako 69-latek z powodu dalszego propagowania heliocentryzmu został wezwany przed sąd inkwizycji, zmuszony do odwołania poglądów i skazany na dożywotni areszt domowy. [przypis edytorski]

²¹⁸*Fontenelle*, *Bernard le Bovier de* (1657–1757) — francuski filozof, pisarz, religioznawca, prekursor metody porównawczej w badaniach nad religiami, popularyzator wiedzy, autor m.in. książki *Rozmowy o wielości światów* (1686). [przypis edytorski]

²¹⁹*Anzelm z Canterbury* (1033–1109) — włoski duchowny, filozof i teolog, uznawany za ojca scholastyki; święty Kościoła katolickiego i doktor Kościoła; w dziele *Proslogion* sformułował tzw. ontologiczny dowód na istnienie Boga, bazujący wyłącznie na określonej definicji pojęcia „Bóg”, bez odwoływania się do przesłanek z obserwowalnego świata, streszczający się w rozumowaniu: 1) Bóg jest to najdoskonalszy z bytów, jakie można pomyśleć, 2) istnienie realne jest czymś doskonalszym niż istnienie w samym tylko umyśle, zatem: 3) Bóg istnieje nie tylko w umyśle, jako pojęcie, ale także w rzeczywistości. [przypis edytorski]

²²⁰*Adonis* (mit. gr.) — otaczany kultem piękny młodzieniec, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona, rywalizujące o niego; kiedy zginął na polowaniu, rozszarpany przez dziką, Afrodyta uprosiła Zeusa, by pozwolił Adonisowi spędzać z nią wiosnę i lato na ziemi, a jesień i zimę z Persefoną w krainie zmarłych. [przypis edytorski]

²²¹*Diana* (mit. rzym.) — bogini łowów, lasów, gór i księżycy, opiekunka kobiet, utożsamiana z gr. Artemidą. [przypis edytorski]

wiązka siana! Co za ciągłość! Co za ład! Co za zbieg harmonii przedustawnych²²²! Co za związek przyczyn i skutków! Co za dowód istnienia Boga! Byłem tym żywo uderzony i rad byłem dołączyć ten dowód świecki do dowodów innych, których dostarcza teologia i które zresztą są aż nadto dostateczne.

— Księżę kochany! — rzekła Kasia — jedno złe jest w tej sprawie: to, że dziewczyna ta nie miała piersi; kobieta bez piersi jest jak łóżko bez poduszek. Ale czyż nie wiesz d'Anquetil, co teraz trzeba zrobić?

— Tak — odrzekł — trzeba zagrać w lombra²²³, bo to gra się we troje.

— Jeżeli chcesz — rzekła. — Ale co do mnie, proszę cię, byś kazał podać fajki. Nic przyjemniejszego jak palić fajczkę, popijając wino.

Lokaj przyniósł karty i fajki, które zaraz zapaliliśmy; wkrótce pokój pełen był obłoków dymu, wśród którego majaczyły figury pana d'Anquetil i księdza Coignarda, grających uważnie w pikietę²²⁴. Szczęście sprzyjało memu drogiemu mistrzowi, aż do chwili, gdy pan d'Anquetil, któremu zdało się, że już po raz trzeci zauważa, iż ksiądz Coignard znaczy więcej punktów, niż ma w istocie, zaczął go łżyć, nazywając oszustem, szulerem, rzeźmieszkiem, w końcu cisnął nań butelką, która rozbiła się o stół i zalała obrus winem.

— Trzeba więc będzie, mój panie — rzekł ksiądz — abyś kazał odkorkować inną butelkę, bo nam się jeszcze pić chce bardzo.

— Chętnie — odpowiedział pan d'Anquetil — ale pamiętaj ksiądz, że nie znaczy się punktów, których się nie ma, i że grać w karty fałszywie można tylko, gdzie są rozmaici ludzie, którym się nic nie należy, gdzie indziej zaś jest to rzecz brzydka. Czy chcesz, by cię miano za łotrzyka?

— To szczególne — odrzekł ksiądz Coignard — że w grze w karty lub w kości potępia się to, co zalecane jest w sztuce wojennej, polityce i handlu, gdzie to każdy za zaszczyt sobie poczytuje poprawiać omyłki fortuny. Nie dlatego to mówię, bym nie przestrzegął ścisłej uczciwości w grze. Jestem w tym bardzo skrupulatny i śniło ci się, mój panie, gdyś przypuszczał, że znacę punkta, których nie mam. Gdyby inaczej było, powołałbym się na przykład błogosławionego biskupa z Genewy²²⁵, który bez skrupułów oszukiwał w grze. Nie mogę jednak powstrzymać się od uwagi, że ludzie w grze w karty są daleko delikatniejsi niż w sprawach ważniejszych i są rzetelniejsi w grze w kości, gdzie to tylko nieznacznie ich krępuje, niż w prowadzeniu wojny lub w zawieraniu pokoju, gdzie to nie byłoby dogodne. Aelianus²²⁶ napisał po grecku dzieło o wybiegach wojennych, gdzie uwidacznia dobrze, do jakiego stopnia niektórzy wielcy wodzowie posuwali swe podstępny.

— Nie czytałem twego Aelianusa — rzekł pan d'Anquetil — i w życiu czytać go nie będę. Byłem na wojnie, jak każdy dobry szlachcic, służyłem królowi osiemnaście miesięcy; jest to najszlachetniejszy zawód. Powiem ci, na czym zasadza się właściwie. Mogę ci powierzyć ten sekret, skoro nikt go więcej nie usłyszy jak ty, te butelki, ten pan, którego niedługo zabiję, i ta dziewczyna, która właśnie się rozbiera.

— Tak — rzekła Kasia — jest mi za gorąco i rozbieram się do koszuli.

— A więc — ciągnął dalej pan d'Anquetil — cokolwiek by mówiły gazety, wojna polega jedynie na rabowaniu chłopom kur i świń; żołnierze podczas kampanii tylko tym się zajmują.

Gra, Handel, Wojna,
Polityka

Wojna

²²²harmonia przedustawna — pojęcie wprowadzone przez Gottfrieda Wilhelma Leibniza (1646–1716), niemieckiego filozofa epoki oświecenia: według jego koncepcji cały świat, wszystkie ciała i dusze (umysły) są w rzeczywistości wzajemnie od siebie niezależne, ale dzięki temu, że zostały odpowiednio z góry zaprogramowane przez Boga, działają w świecie w sposób skoordynowany; jako ilustrację Leibniz podawał przykład dwu jednakowo wyregulowanych zegarów. [przypis edytorski]

²²³lombra — dawna gra w karty, rozpowszechniona w Europie w XVII w. [przypis edytorski]

²²⁴pikietę — dawna gra w karty dla dwóch osób, pochodząca z Francji. [przypis edytorski]

²²⁵błogosławionego biskupa z Genewy, który bez skrupułów oszukiwał w grze — Franciszek Salezy, właśc. François de Sales (1567–1622): biskup Genewy, święty Kościoła katolickiego (kanonizowany w 1665), doktor Kościoła (od 1877); w książce *Filotea. Wprowadzenie do życia pobożnego* (1609) potępiał grę w karty i w kości, jednak wytykano, że za młodu był karciarzem, i wspomniano, że zwykł oszukiwać w grze (por. korespondencja Elżbiety Charlotty z Palatynatu, żony księcia Orleanu). [przypis edytorski]

²²⁶Aelianus Tacticus (łac.), gr. Ailianos Taktikos (II w.) — grecki pisarz, mieszkaniec Rzymu, autor traktatu o hellenistycznej taktyce wojennej. [przypis edytorski]

— Masz zupełną słuszność — rzekł mój dobry mistrz — mówiono niegdyś w Galii²²⁷, że kochanką żołnierza jest pani Grabież. Ale proszę cię, nie zabijaj mi mego ucznia, Jakuba Rożenka.

— Księżę — rzekł pan d'Anquetil — honor zmusza mnie do tego.

— Uf — rzekła Kasia, układając na piersiach koronki swej koszuli — lepiej mi tak.

— Panie — mówił dalej mój mistrz — Jakub Rożenek bardzo mi jest użyteczny przy tłumaczeniu Zosimosa Panopolitańczyka, czym właśnie się trudnię; będę ci nieskończenie zobowiązany, jeżeli zechcesz bić się z nim dopiero po ukończeniu tego wielkiego dzieła.

— Kpię z twego Zosimosa — rzekł pan d'Anquetil. — Kpię sobie z niego, słyszysz, księżę. Kpię sobie, jak król ze swej pierwszej kochanki. Któż to jest ten Zosimos?

— Zosimos, mości panie — rzekł ksiądz — Zosimos z Panopolis był to uczony Grek, który kwitnął w Aleksandrii w trzecim wieku ery chrześcijańskiej i pisał dzieła o alchemii.

— Co mnie to może obchodzić — odrzekł pan d'Anquetil — i po co go tłumaczysz?

— Panie — rzekł ksiądz Coignard — przyznaję, że pożytek stąd nie od razu czuć się daje i że nie zmieni to biegu świata. Ale zaopatrując w notatki i komentarze dzieło, które ten Grek napisał dla siostry swej Teozebii...

Dyskurs mego mistrza przerwała Kasia, śpiewając ostrym głosem:

Niech zazdrośnik się obraża!

Księciem zostać ma mój mąż!

Mam dość męża sekretarza.

Ta-ra-ri, ra-ri-ra-da.

— ...przyczyniam się do wzbogacenia skarbu wiedzy nagromadzonej przez uczonych, dokładam swą cegiełkę do gmachów dziejów rzeczywistych, którymi są raczej dzieje myśli i poglądów niż dzieje wojen i traktatów. Bo, mój panie, szlachectwem człowieka jest...

Kasia śpiewała dalej:

Wiem — w Paryżu będą plotki

I piosenkę złożą wraz!

Cóż obchodzą głupcy nas!

Ta-ra-ri, ra-ri-ra-da.

A mój mistrz mówił tymczasem:

— ...jest myśl. Z tego względu nie jest obojętne wiedzieć, jakie pojęcia miał ten Egipcjanin o przyrodzie metali i własnościach materii.

Hieronim Coignard lknął spory haust wina, podczas gdy Kasia śpiewała jeszcze:

Prostą czyli²²⁸ krętą drogą,

Czy przez pochwę, czy przez miecz —

Księciem zostać piękna rzecz!

Ta-ra-ri, ra-ri-ra-da!

— Księżę — rzekł pan d'Anquetil — nie pijesz, a w dodatku bredzisz. Służyłem we Włoszech w czasie wojny sukcesyjnej pod rozkazami brygadiera, który tłumaczył Polibiusza²²⁹, ale to był niedołęga. Po cóż tłumaczyć Zosimosa?

— Otóż jeśli chcesz wiedzieć koniecznie — rzekł mistrz mój — znajduję w tym pewną rozkosz zmysłową.

— To co innego. Ale w czym pan Rożenek, który pieści teraz moją kochankę, może ci być pomocny?

— Przez znajomość greki, której nabył ode mnie — rzekł mój mistrz.

Pan d'Anquetil zwrócił się do mnie:

— Co, mój panie, znasz język grecki? Nie jesteś zatem szlachcicem?

Wiedza, Szlachcic

²²⁷ *Galii* — kraina hist. w Europie Zach., obejmująca tereny ob. Francji, Belgii, Szwajcarii i pln.-zach. Włoch. [przypis edytorski]

²²⁸ *czyli* (daw.) — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -li; znaczenie: czy, czy też. [przypis edytorski]

²²⁹ *Polibiusz z Megalopolis*, gr. *Polybios* (ok. 200–ok. 118 p.n.e.) — najwybitniejszy historyk grecki epoki hellenistycznej, autor m.in. *Dziejów* w 40 księgach, obejmujących lata 264–146 p.n.e. i ukazujących wzrost potęgi Rzymu do rangi mocarstwa. [przypis edytorski]

— Panie — odrzekłem — ojciec mój jest chorującym w zgromadzeniu kucharzy pa-
ryskich.

— Niepodobna mi zatem zabić cię — odrzekł — zechciej mi to wybaczyć. Ale, mój
księżu, cóż to, nie pijesz? Zwiodłeś mnie. Sądziłem, że umiesz dobrze ciągnąć i chciałem
już wziąć cię za jałmużnika na dwór mój, gdy go mieć będę.

Tymczasem książdz Coignard pił prosto z butelki, a Kasia szeptała mi do ucha:

— Jakubie, czuję, że tylko ciebie kochać będę.

Te słowa, wyrzeczone przez tak piękną, tylko w koszulę odzianą osobę zmieszały
mnie rozkosznie. Do reszty upoiła mnie Kasia, pijąc ze mną z jednej szklanki, czego nie
zauważono w zamieszaniu tej wieczery, która wszystkim już zagrzała czupryny.

Pan d'Anquetil rozbił o stół szyjkę nowej butelki i znów napelniał nasze kielichy. Od
tej chwili nie zdawałem już sobie jasno sprawy z tego, co mówiono i co działo się wkoło
mnie. Widziałem jednak, że Kasia dla psoty nagle wylała szklankę wina za kołnierz swego
kochanka i że pan d'Anquetil oddał jej to, oblewając ją dwiema czy trzema butelkami
wina, co tę dziewczynę w koszuli zamieniło, zda się, na postać mitologiczną, rodzaj boginki
wodnej, nimfy²³⁰ czy najady²³¹. Plakała ze złości i wykręcała się w spazmach.

W tej chwili wśród ciszy nocnej usłyszeliśmy silne stukanie kołatką do drzwi wcho-
dowych²³². Oniemieliśmy i zdrętwieli, niby zaczarowani biesiadnicy.

Uderzenia stawały się silniejsze i częstsze. Pan d'Anquetil pierwszy przerwał milczenie,
z siarczystym zaklęciem zapytując sam siebie, któż to mógłby być owym natrętem. Mój
dobry mistrz, który w najbliższych nawet zdarzeniach czerpał natchnienie do cudownych
maksym, wstał i rzekł z namaszczeniem i powagą:

— Cóż nas obchodzi ręka, która tak silnie dobija się do tych wrót dla błałego, a może
i śmiesznego powodu? Nie starajmy się jej poznać nawet i uważajmy lepiej, że te uderzenia
pukają do naszych dusz zepsutych i zatwardziałych. Za każdym uderzeniem mówmy sobie:
to uderzenie jest, by nas ostrzec, że czas już poprawić się i myśleć o zbawieniu, którego
zaniedbujemy dla rozkoszy; to drugie — byśmy gardzili dobrami doczesnymi; to trzecie
— byśmy myśleli o wieczności. W ten sposób osiągniemy możliwie największy pożytek
z tego błałego, drobnego zdarzenia.

— Pocieszny jesteś — rzekł pan d'Anquetil — walą z taką siłą, że gotowi drzwi
wylamać.

I rzeczywiście zdawało się słyszeć jakby huk grzmotu.

— To zbójcy — zawołała przemoczona Kasia. — Jezusie ratuj, zamordują nas; to
kara za to, że wypędziliśmy braciszka. Ile to razy już mówiłam ci, d'Anquetil, że wygnać
kapucyna znaczy sprowadzać na dom nieszczęście!

— Głupia! — odrzekł pan d'Anquetil. — Ten przeklęty mnich wmawia jej wszystkie
głupstwa, jakie mu się podoba. Złodzieje byliby grzeczniejsi, a przynajmniej nie tak głośni.
To prędzej patrol.

— Patrol! To jeszcze gorzej! — rzekła Kasia.

— Ba! — rzekł pan d'Anquetil — Obijemy go!

Mój dobry mistrz wsunął dla ostrożności po butelce do każdej kieszeni — dla za-
chowania równowagi, jak mówi bajka. Cały dom trząsł się od szalonych uderzeń; pan
d'Anquetil, w którym ten szturm rozbudził drzemiący zapał wojenny, zawołał:

— Idę na rekonesans²³³.

Pobiegl, potykając się, do okna, w którym niedawno wypoliczkował był swą kochankę,
i niebawem powrócił, śmiejąc się do rozpuku.

— Ha, ha, ha! — zawołał. — Czy wiecie, kto tak puka? Oto pan de la Guéritaude,
w śmiesznej peruce, z dwoma ogromnymi sługusami trzymającymi płonące pochodnie.

— To być nie może — rzekła Kasia. — O tej porze śpi on przy swej starej żonie.

— A więc — odparł pan d'Anquetil — jest to chyba duch, jego sobowtór. W każdym
razie ten duch musiał pożyczyć peruki od oryginału, bo nawet widmo nie mogłoby jej tak
dobrze naśladować, taka jest śmieszna.

²³⁰nimfa (mit. gr.) — tu: boginka rzeczna. [przypis edytorski]

²³¹najada (mit. gr.) — boginka opiekująca się źródłem lub rzeką. [przypis edytorski]

²³²wchodowy (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

²³³rekonesans — zwiady, rozpoznanie sił nieprzyjaciela na jakimś terenie. [przypis edytorski]

— Czy prawdę mówisz, nie żartujesz? — zapytała Kasia. — Naprawdę jest tam pan de la Guéritaude?

— On sam, Kasiu, jeśli mam oczom wierzyć.

— Zgubiona jestem! — zawołała biedaczka. — Kobiety są bardzo nieszczęśliwe, nigdy nie dają im spokoju. Co ja pocznę? Czy nie chcielibyście panowie ukryć się tu w rozmaitych szafach?

— To dałoby się zrobić — rzekł ksiądz Coignard — ale jak ukryć z nami te butelki próżne z poutrącanymi szyjkami, szczątki dzbana, którym ten pan cisnął mi w głowę, ten obrus, pasztet, talerze, świeczniki, koszulę waćpanny, która winem zlaną zamieniła się w przejrzystą, różową zasłonę około twej piękności.

— Prawda, że ten głupiec zalał mi koszulę i że się jeszcze zaziębię. Ale może wystarczy ukryć tylko pana d'Anquetil w pokoju na górze; księdza podam za swego wuja, a pana Jakuba za brata.

— Nie, nie tak — rzekł pan d'Anquetil — pójdę sam zaprosić pana de la Guéritaude, by zechciał wieczerzać z nami.

Mój drogi mistrz, Kasia, ja zaklinaliśmy go, obejmowali, aby tego nie robił. Na próżno! Chwylił pochodnię i zbiegł na dół; drżąc, szliśmy za nim. Otworzył drzwi. Przed nami stał pan de la Guéritaude, tak jak go opisał: w peruce, między dwoma lokajami uzbrojonymi w pochodnie. Pan d'Anquetil skłonił mu się ceremonialnie i rzekł:

— Bądź łaskaw wejść bez zwłoki, szlachetny panie! Zastaniesz tu osoby wielce miłe i niezwykle: niejakiego Rożenka, któremu panna Kasia przez okno posyłała całusy, i księdza, który wierzy w Boga.

Przy tych słowach schylił się dworsko.

Pan de la Guéritaude, człek suchy i wysoki, nieskłonny był do żartów, toteż tyrada pana d'Anquetil zirytowała go, a gniew jego spotęgował się jeszcze na widok mego mistrza w rozpiętej odzieży, z jedną butelką w ręku i dwiema w kieszeni, i na widok Kasi w mokrej, oblepiającej ją koszuli.

— Młodzieńcze — rzekł z chłodnym gniewem, zwracając się do pana d'Anquetil — mam zaszczyt znać imię ojca twego, z którym rozmówię się jutro, dokąd ma posłać cię król dla rozmyślań nad twymi wybrykami i zuchwalstwem. Temu godnemu szlachcicowi pożyczyłem pieniędzy, a nie żądam ich zwrotu, toteż niczego odmówić mi nie może. A nasz ukochany książę jest w położeniu tym samym, co twój imię pan ojciec: ma także względy dla mnie. Tak więc to sprawa skończona. Zalałwiałem już trudniejsze, dzięki Bogu. Co zaś do tej dziewczyny, skoro niepodobna na dobrą drogę jej naprowadzić, szepnę jutro słówko panu dyrektorowi policji, który, o ile wiem, zawsze gotów umieścić ją w szpitalu. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Ten dom należy do mnie, zapłaciłem zań i chcę doń wejść.

Po czym zwracając się ku swej służbie i końcem łaski wskazując na mnie i mego mistrza, dodał:

— Wyrzucicie tych dwóch pijaków za drzwi.

Hieronim Coignard zazwyczaj odznaczał się przykładną łagodnością i zwykł był mawiać, że zawdzięcza tę słodycz swą zmiennym przygodom życia, los bowiem urobił go na kształt tych kamyków, które fala morska toczy i gładzi w przyprawach i odpływach. Znosił łatwo obelgi — przez filozofię zarówno, jak i przez ducha chrześcijańskiego; najwięcej mu jednak pomocna w tym była wielka pogarda dla ludzi, z której nie wyłączał i siebie samego. Tym razem jednak stracił wszelką miarę i zbył wszelkiej przezorności.

— Milcz, podły poborco — zawołał, wywijając butelką jak maczugą. — Jeżeli te gałgany odważą się przystąpić do mnie, łby im porozbijam; to ich nauczy szanować suknię duchowną, która już dość świadczy o moim świętem powołaniu.

Mój drogi mistrz w świetle pochodni, czerwony, spotniały, z oczami lypiącymi z orbit, w rozpiętej odzieży, z dużym brzuchem wywalonym ze spodni — wyglądał na człowieka, z którym nie łatwo się sprawić; toteż sługusy wahali się.

— Ciągnijcie — krzyczał pan de la Guéritaude — ciągnijcie tę kufę²³⁴ wina! Czyż nie widzicie, że tylko pchnąć go trzeba do rynsztoka, skąd zamiatacze sprzątną go i wrzucą do śmietnika? Wyciągnąłbym go sam, gdybym się nie bał splamzić odzieży.

²³⁴kufa — duża beczka drewniana do leżakowania piwa. [przypis edytorski]

Mojego drogiego mistrza głęboko ubodły te obelgi. Głosem godnym nawy kościelnej zawołał:

— Wstrętny poborco, niecny celniku, barbarzyński lichwiarzu, utrzymujesz, że to twój dom? Aby ci uwierzono, aby naprawdę wiadano, że do ciebie należy, napisz na tych drzwiach to słowo z Ewangelii: *Haceldama*, co znaczy: cena krwi²³⁵. Wtedy, skłoniwszy się, wpuścimy właściciela do jego domostwa. Złodzieju, bandyto, morderco, wypisz węglem, który ci w twarz cisnę, wypisz na tym progu twą plugawą łapą twoje tytuły własności! Pisz: cena krwi wdowy i sieroty, cena krwi sprawiedliwego. *Haceldama!* Jeśli zaś nie, zostań, gdzie jesteś, i daj nam teraz pokój, człowieku marny!

Pan de la Guéritaude, który nigdy nic podobnego nie słyszał, myślał, że ma do czynienia z wariatem, co łatwo można było przypuścić — i więcej dla obrony niż napaści podniósł swą długą laskę. Mój mistrz, nie władnąc sobą, cisnął butelkę w głowę imci pana poborcy, który runął jak długi na chodnik, krzyząc: „Zabił, zabił mnie!”. A że pływał w winie rozbitej butelki, na pierwszy rzut oka można było uwierzyć w zabójstwo. Jego dwaj lokaje chcieli rzucić się na mordercę i jeden już, już, zdawało się, że pochwyci księdza Coignarda, gdy ten nagle głową tak silnie uderzył draba w brzuch, że ten zatoczył się i padł na chodnik obok swego pana.

Podniósł się na swe nieszczęście i pochwyciwszy płonąca jeszcze pochodnię, zwrócił się w stronę, skąd spotkał go cios — ale mego mistrza nie było już w korytarzyku; wziął już był tymczasem nogi za pas. Pozostał tam jednak jeszcze pan d’Anquetil z Kasią i on to otrzymał od draba pochodnię po łbie. Obelga ta zdała mu się nie do zniesienia, toteż wyciągnąwszy szpadę, wepchnął ją w brzuch niefortunnego sługusa, który w ten sposób kosztem własnym poznał, że nie należy czepiać się szlachcica. Tymczasem mój drogi mistrz nawet dwudziestu kroków nie ubiegł jeszcze w ulicy, gdy drugi lokaj, wysoki dryblas z nogami jak szczudła, puścił się za nim w pogoń, przywołując straż i wyjąc: „Trzymajcie, trzymajcie!” Już wielkimi krokami dopędzał księdza i widzieliśmy jak na rogu ulicy św. Wilhelma wyciągał rękę, by go schwycić za kołnierz, gdy ksiądz Coignard, który znał niejedną sztuczkę, zawrócił gwałtownie i z boku zachodząc za swego łapacza, podstawił mu nogę i zwałił go wprost na słup przydrożny, o który ten rozbił sobie czerep. Działo się to podczas gdyśmy biegli, pan d’Anquetil i ja, na pomoc księdzu, nie chcąc opuścić go w tak groźnym niebezpieczeństwie.

— Daj mi rękę, księżo kochany — rzekł pan d’Anquetil — jesteś dzielny człowiek.

— Zdaje mi się istotnie — rzekł mój drogi mistrz — że byłem cokolwiek morderczy. Nie tyłem wynaturzony jednak, by szukać w tym chwały; wystarczy mi, by mi nie czyniono z tego zbyt wielkich zarzutów. Taka gwałtowność nie jest mym zwyczajem i z przyrodzenia jestem raczej stworzony do wykładania literatury w kolegium niż do bójk z sługusami na rogach ulic.

— Och — rzekł pan d’Anquetil — nie to jest najgorsze w tej sprawie. Ale zdaje mi się, żeś utłukł samego intendenta generalnego.

— Czy tak? — zapytał ksiądz.

— Tak prawda, jak to, że ja zapuściłem szpadę w trzewia tej kanalii — odparł pan Anquetil.

— W takiej koniunkturze²³⁶ — rzekł ksiądz — należy nam przede wszystkim przebłagać Boga, któremu jedynie musimy zdać rachunek za krew przelaną, a następnie przyspieszyć kroku do najbliższej sadzawki, w której się umyjemy; zdaje mi się bowiem, że ciecze mi krew z nosa.

— Masz rację — odrzekł pan d’Anquetil — i mnie ten bałwan, który tam zdycha w rynsztoku, rozciął czoło. Co to za zuchwalstwo!

— Przebac mu — rzekł ksiądz — aby tobie przebaczone było.

²³⁵słowo z Ewangelii: *Haceldama*, co znaczy: cena krwi — taką nazwę miało nosić pole pod Jerozolimą przez chrześcijan więzane z osobą Judasza, który za pieniądze zdradził Jezusa i wydał go prześladowcom (Mt 27, 3–8; Dz 1, 18–19). [przypis edytorski]

²³⁶koniunktura (z łac.) — tu: sytuacja, spłot okoliczności. [przypis edytorski]

W miejscu gdzie ulica du Bac wychodzi na pola, idąc wzdłuż muru szpitalnego, odnaleźliśmy wodotrysk, w którym brązowy tryton²³⁷ wyrzucał strumień wody do miski kamienniej. Umyliśmy się tam i napili, bo w tych przygodach wyschło nam w gardle.

— Cośmy uczynili — rzekł mój mistrz — i jak mógł się zmienić mój nastrój, zazwyczaj tak pokojowy? Prawda to, że nie należy sądzić ludzi wedle ich czynów, zawisłych często od okoliczności, lecz za przykładem Boga, ojca naszego, sędzić raczej wedle ich ukrytych myśli i głębokich skłonności.

— Ale co się stało z Kasią w tej okropnej przeprawie? — zapytałem.

— Pozostawiłem ją, chuchającą nad swym finansistą, by go ocucić. Może chuchać, ile chce — znam de la Guéritaude, jest bez litości i pośle ją do szpitala, a może nawet do Ameryki. Szkoda, była to ładna dziewczyna. Nie kochałem jej, ale ona kochała mnie do szaleństwa. Najdziwniejsze jednak, że jestem teraz bez kochanki.

— Bądź spokojny o to — rzekł mój zacny mistrz — znajdziesz inną, od tej niewiele, a przynajmniej nie zasadniczo różną. Coś mi się zdaje, że to, czego ty szukasz w kobiecie, jest im wszystkim wspólne.

— Widzę jasno — rzekł pan d'Anquetil — że jesteśmy w niebezpieczeństwie; mnie grozi więzienie w Bastylji, a tobie, mój księżę, wraz z Rożenkiem twym uczniem, który przecież nie zabił nikogo — stryczek.

— Smutna prawda — odparł ksiądz Coignard — trzeba pomyśleć o swym bezpieczeństwie. Może trzeba będzie opuścić Paryż, gdzie nas zapewne poszukiwać będą, i uciec do Holandii. Przewiduję, niestety, że będę pisywał znów paszkwile aktorkom tą ręką, która oto obfitymi komentarzami ozdabiała traktaty alchemiczne Zosimosa Panopolitańczyka!

— Posłuchaj mnie, mości księżę — rzekł pan d'Anquetil — mam przyjaciela, który ukryje nas w swych dobrach tak długo, jak będzie potrzeba. Mieszka on o cztery mile²³⁸ za Lugdunem w szkaradnej i dzikiej okolicy, gdzie widać tylko lasy, trawę i topole. Tam się udamy i poczekamy aż przejdzie burza. Będziemy polowali. Ale trzeba jak najprędzej znaleźć dylizans, a jeszcze lepiej kocz²³⁹.

— Co do tego mój panie — rzekł ksiądz — mam, co nam potrzeba. Oberża pod „Czerwonym Koniem” na placu des Bergeres dostarczy nam dobrych koni i wszelkiego rodzaju powozów. Znałem tam gospodarza, wówczas gdy był sekretarzem pani de Saint-Ernest. Był on zawsze gotów wygodzić ludziom wyższej kondycji. On sam nie żyje już zapewne, ale musi mieć syna, kubek w kubek doń podobnego. Czy masz pan pieniądze?

— Mam przy sobie dość znaczną sumę — rzekł pan d'Anquetil — z czego bardzo rad jestem, bo nie mógłbym przecie zająć do siebie, gdzie zapewne straż szukać mnie przyjdzie, aby mnie zaprowadzić do więzienia. Zostawiłem swych lokajów w domu Kasi i Bóg raczy wiedzieć, co się z nimi stało, ale nie bardzo troszczę się o to. Tłukłem ich i nie płaciłem im, a jednak nie jestem pewien ich wierności. Komu teraz ufać? Chodźmy więc zaraz na plac de Bergeres.

— Chcę panu coś zaproponować — rzekł ksiądz Coignard — i ufam, że moja propozycja się spodoba. Mieszkamy obaj z Rożenkiem w czarnoksięskim opuszczonym pałacu w bliskości krzyża des Sablons, gdzie z łatwością będziesz mógł przebyć dobie przez nikogo nie zauważony. Zaprowadzimy cię tam i tam poczekamy, aż nasz powóz będzie gotów. Dobre jest i to, że krzyż des Sablons nie jest zbyt daleko od placu des Bergeres.

Pan d'Anquetil nie mógł nic zarzucić temu planowi; i przed tym małym trytonem, z którego tłustych policzków tryskała woda, stanęło ostatecznie, by najpierw iść do krzyża des Sablons, a potem w oberży pod „Czerwonym Koniem” wziąć kocz do Lugdunu.

— Powiem wam panowie — rzekł mój dobry mistrz — że z trzech butelek, które uniosłem, jedna rozbiła się na głowie pana de la Guéritaude, druga stłukła się w mojej

Kochanek

Szlachcic, Sługa, Wierność

²³⁷ Tryton (mit. gr., mit. rzym.) — bóstwo morskie, syn i herold Posejdona (w mit. rzym. Neptuna); przedstawiany jako postać o ludzkim tułowi i rybim ogonie, z wielką muszlą (konchą), w którą dał, uspokajając lub wzburzając fale; czasem uznawany za ojca trytonów, podobnych sobie istot morskich. [przypis edytorski]

²³⁸ mila — dawna miara odległości o różnej wartości; mila francuska (*lieue*) była równa ok. 4 km. [przypis edytorski]

²³⁹ kocz — lekki czterokołowy, kryty lub półkryty pojazd konny o nadwoziu zawieszonym na pasach, z bocznymi drzwiczkami oraz przednimi i tylnymi siedzeniami w środku; wyparł wcześniejsze karety. [przypis edytorski]

kieszni podczas ucieczki. Szkoda ich obu! Trzecią, wbrew oczekiwaniu, udało mi się zachować. Oto jest.

I wyjmując ją spod poły, postawił ją na obramieniu wodotrysku.

— To doskonale! — rzekł pan d'Anquetil — ty masz wino, ja karty i kości w kieszeni; możemy zagrać.

— Prawda — rzekł mój drogi mistrz — że gra jest wielką rozrywką. Talia kart jest jak książka pełna przygód, jak romans, nad którym ma tę szczególną przewagę, że działamy w nim i czytamy go jednocześnie, a zarazem nie trzeba rozumu, by w nim działać, i nie trzeba znać liter, by go czytać. Jest i w tym jeszcze rzeczą cudowną, że ma on zawsze treść nową, ilekroć zmieszamy w nim kartki. Nie można go dosyć podziwiać, tak jest kunsztowny: z zasad matematycznych wyciąga tysiące ciekawych kombinacji i związków szczególnych, tak iż nawet wierzono sprzecznie z prawdą, że można odnaleźć w nich tajemnice serc, tajnie losów i arkana przyszłości.

To co mówię, tyczy się przede wszystkim taroka²⁴⁰ czeskiego, który jest grą najdoskonalszą — ale może stosować się też i do pikiety. Wynalazek kart przypisać trzeba starożytnym. Ja, choć nie mam co do tego żadnych pozytywnych danych, sądzę, że są one pochodzenia chaldejskiego²⁴¹. W obecnej swej formie dzisiejsze talie kart sięgają czasów Karola VII²⁴² — jeżeli prawdą jest to, com w Séez czytał w uczonej dysertacji²⁴³, że dama kierowa ma przedstawiać piękną Agnieszkę Sorel²⁴⁴, a damą pikową — pod nazwą Pallady²⁴⁵ — jest nie kto inny, jeno²⁴⁶ owa Joanna Dulys, zwana także Joanną d'Arc²⁴⁷, która walecznością swą ocaliła monarchię i przez Anglików w Rouen usmażona była w kotle, który za dwa szelągi pokazuje i który widziałem, będąc w tym miejscu. Część historyków utrzymuje jednak, że dziewicę tę spalono żywcem na dużym stosie; Nicole Gilles i Pasquier piszą, że przy zgonie objawiła się jej święta Katarzyna i święta Małgorzata. To pewne, że nie przez Boga były jej zesłane. Każdy człek szczerze pobożny i choć trochę uczony wie, że święte te są wymysłem mnichów bizantyjskich, którzy dzięki swej bujnej i barbarzyńskiej wyobraźni zachwascili całą martyrologię. Śmieszna bezbożnością jest twierdzić, że Bóg zesłał ku Joannie Dulys święte, które nie istniały; jednak niektórzy dawni kronikarze nie wahali się tak uczynić. Czemuż nie powiedzieli jeszcze, że Bóg zesłał tej dziewicy złotowłosą Izoldę, Meluzynę, Bertę o Wielkiej Nodze²⁴⁸ i wszystkie romansów rycerskich bohaterki, których istnienie nie jest bardziej bajeczne niż żywot świętej dziewicy Katarzyny lub świętej Małgorzaty! Pan de Valois²⁴⁹ w zeszłym stuleciu powstawał słusznie przeciw tym bajkom, które tak przeciwnie są religii, jak błąd przeciwnym jest prawdzie. Jest rzeczą pożądaną, by znalazł się duchowny dobrze obznajmiony z historią i oddzielił prawdziwych świętych²⁵⁰, których czcić należy, od takich jak Małgo-

Gra

²⁴⁰tarot a. tarok (wł.) — dawna gra karciana bądź talia do niej, używana również do wróżenia. [przypis edytorski]

²⁴¹chaldejski — babiloński; Chaldea to dawna nazwa terenów Babilonii, tj. środkowej i południowej Mezopotamii; kapłani chaldejscy słynęli w starożytności ze znajomości astronomii i astrologii. [przypis edytorski]

²⁴²Karol VII Wależjusz (1403–1461) — król Francji od 1422; na mocy traktatu w Troyes (1420) pozbawiony praw do tronu na rzecz króla Anglii Henryka V; po udanej misji Joanny d'Arc i odparciu Anglików spod Orleanu koronował się w Reims (1429), uwolnił terytorium całego kraju i pomyślnie zakończył wojnę stuletnią. [przypis edytorski]

²⁴³dysertacja — rozprawa naukowa. [przypis edytorski]

²⁴⁴Sorel, Agnès (ok. 1422–1450) — oficjalna kochanka króla Francji Karola VII. [przypis edytorski]

²⁴⁵Pallada a. Pallas (mit. gr.) — przydomek Ateny, dziewiczej bogini mądrości i wojny sprawiedliwej, patronki miasta Ateny. [przypis edytorski]

²⁴⁶jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

²⁴⁷Joanna d'Arc (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji; podczas wojny stuletniej poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw, twierdząc, że działa kierowana przez Boga; została schwytana przez Burgundczyków, przekazana Anglikom, osądzona przez sąd kościelny za herezję i spalona na stosie; święta Kościoła katolickiego (od 1920). [przypis edytorski]

²⁴⁸złotowłosa Izolda, Meluzyna, Berta o Wielkiej Nodze — Izolda Złotowłosa: postać z celtyckiej legendy *Dzieje Tristana i Izoldy*; Meluzyna: postać z podań i legend francuskich, kobieta z węzowym lub rybim ogonem, czarodziejka; Bertrada z Laonu, znana też jako Berta o Wielkich Stopach a. łac. *Regina pede aucae*, tj. Królowa o gęsiej stopie (ok. 720–783): żona króla Franków Pepina Krótkiego, matka Karola Wielkiego; błogosławiona Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

²⁴⁹Valois, Henri de (1603–1676) — francuski filolog i historyk; badacz i redaktor starożytnych tekstów związanych z historią chrześcijaństwa. [przypis edytorski]

²⁵⁰Jest rzeczą pożądaną, by znalazł się duchowny dobrze obznajmiony z historią i oddzielił prawdziwych świętych... — flamandzki jezuita Jean Bolland (1596–1665) podjął się zebrania wszystkich dostępnych materiałów

rzata, Łucja²⁵¹, Eustachy, którzy istnieli tylko w wyobraźni, lub takich nawet, jak święty Jerzy²⁵², co do którego również mam wątpliwości. Jeśli zdołam kiedy usunąć się w zacisze pięknego klasztoru posiadającego bogatą bibliotekę, poświęcę temu zadaniu resztę życia steranego w strasznych burzach i rozbiciach. Wzdycham do spokojnej przystani; pragnę i lubię czysty spokój, tak stosowny dla mego wieku i powołania.

Gdy tak ksiądz Hieronim Coignard mówił te słowa pamięci godne, pan d'Anquetil, nie słuchając zgola i siedząc na brzegu fontanny, tasował karty i kłął od wszystkich diabłów ciemność niepozwalającą rozpocząć partii pikiety.

— Masz rację, panie — rzekł mój mistrz drogi — niezbyt tu jasno, i żałuję bardzo, że tak jest, nie ze względu na karty, bez których łatwo obejść się mogą, lecz dlatego, że pragnąłem przeczytać parę kartek z *Pocieszeń* Boecjusza, których małe wydanie noszę zawsze w kieszeni, by je mieć pod ręką, gdy popadnę w nieszczęście, jak to właśnie zdarzyło mi się teraz. Bo dla człowieka mego stanu jest wielką niedolą zostać mordercą i być pod groźbą więzienia kościelnego. Czuję, że jedna stronica tej książki cudownej pokrzepiła by me serce, mdlejące na samo wspomnienie oficjała.

To mówiąc, osunął się na drugą krawędź fontanny tak głęboko, że zanurzył w wodzie cały piękny środek swej osoby. Nie dbał o to, zdawało się nawet, że tego nie zauważył. Wyciągnął z kieszeni Boecjusza, którego istotnie miał przy sobie, założył okulary, w których było tylko jedno szkiełko, i to w trzech miejscach pęknięte, i zaczął szukać ustępu najlepiej dostosowanego do położenia. I byłby go odnalazł niewątpliwie, gdyby nie przeszkadzały mu w poszukiwaniu lży nabiegające mu do oczu, złe stan okularów i zbyt słaby blask padający z nieba. Rad nie rad musiał przyznać, że nic nie widzi, i rozgniewany uczeplił się księżycy, który jakby na szyderstwo rożek zza chmury ukazał. Zwrócił się doń żywo i począł mu urągać:

— Gwiazdo nieczysta, wyuzdana i lubieżna — wołał — niezmordowanie przyświecasz bezwstydnemu ludzkiemu, a żalujesz promyka światła temu, kto odszukać pragnie cnotliwe sentencje!

— Toteż księżo — rzekł pan d'Anquetil — skoro ten drań księżyc nie dość jasno świeci, byśmy mogli zagrać w pikietę, a dostatecznie, by nam wskazać drogę, idźmy zaraz do tego pałacu, o którym mówiłeś, a gdzie mam wejść niepostrzeżony.

Rada była dobra, napiwszy się więc wina prosto z butelki, udaliśmy się wszyscy trzej drogą ku krzyżowi des Sablons. Szedłem naprzód z panem d'Anquetil, a mój drogi mistrz, którego chód ocieślał przez wodę, którą nasiąknięte były jego spodnie, włókl się za nami, płacząc, postępując i ociekając wodą.

Świtanie poczynało świecić nam w zmęczone oczy, gdy doszliśmy do zielonej furtki parku des Sablons. Nie potrzebowaliśmy pukać, bo już od jakiegoś czasu właściciel pałacu dał nam klucze od swej posiadłości. Umówiliśmy się, że mój drogi mistrz i pan d'Anquetil ostrożnie zapuszczą się w cień alei, a ja pozostanę cokolwiek za nimi, by obserwować Krytona lub którego z kuchcików, którzy mogliby widzieć nowego przybysza. Było to obmyślane bardzo mądrze, ale miało mi sprawić dużo kłopotu; bo gdy moi dwaj towarzysze byli już na górze i przekradli się do mego własnego pokoju, gdzie pan d'Anquetil miał ukrywać się aż do chwili ucieczki, ja wstępowałem dopiero na drugie piętro — gdzie spotkał pana d'Astarac, w czerwonej adamaszkowej szacie, ze srebrnym świecznikiem w ręku. Swym zwyczajem położył mi rękę na ramieniu.

o świętych katolickich, krytycznego sprawdzenia ich wiarygodności i oddzielenia legend od faktów z zastosowaniem metod naukowych, w tym tzw. krytyki historycznej (krytyka źródeł); jego pracę kontynuuje grupa zwana bollandystami, która do dziś wydała 67 tomów zapoczątkowanego przez Bollandia zbioru żywotów świętych pt. *Acta Sanctorum*. [przypis edytorski]

²⁵¹Łucja z Syrakuz (ok. 281–304) — popularna męczennica i święta chrześcijańska z Sycylii, patronka ociemniałych; jej najstarszy spisany żywot pochodzi z V w., a wszystkie szczegóły jej życia są konwencjonalne dla żywotów męczennic z początku IV w. [przypis edytorski]

²⁵²Jerzy, święty (zm. 303) — chrześcijański święty z Azji Mniejszej, zgodnie z tradycją oficer armii rzymskiej, z powodu wiary aresztowany, torturowany i ścięty; otoczony kultem na Bliskim Wschodzie, od czasu wypraw krzyżowych popularny również w Europie; średniowieczna legenda o św. Jerzym opowiada o jego walce ze smakiem. [przypis edytorski]

— No i cóż, mój synu — rzekł — czyż nie jesteś szczęśliwy, żeś zerwał wszelkie stosunki z kobietami i uniknąłeś przez to niebezpieczeństw wynikających z tego towarzystwa? Ze wzniosłymi córami powietrza nie masz potrzeby obawiać się tych kłótni, zwad, scen gwałtownych i obrażających, jakie zwykle wybuchają u istot złego prowadzenia. W samotności twojej, nawiedzany przez wieszczki, zażywasz cudnego pokoju!

Sądziłem z początku, że drwi ze mnie, ale niebawem poznałem po jego minie, że nie myślał o tym.

— Bardzo w porę spotykam cię, mój synu — dodał — i będę ci bardzo wdzięczny, jeśli wejdiesz na chwilę ze mną do mej pracowni.

Poszedłem za nim. Kluczem, najmniej na łokieć²⁵³ długim, otworzył drzwi przekłętego pokoju, gdzie niegdyś widziałem wymykające się piekielne blaski. Gdy już obaj byliśmy w laboratorium, polecił mi podsycać dogasające ognisko. Dołożyłem kilka szczap drzewa do ognia, na którym coś się gotowało, wydając woń duszącą. Podczas gdy pan d'Astarac, grzebiąc w swoich retortach i miseczkach, krzątał się około swej czarnej kuchni, ja siedziałem nieruchomy na ławie, na którą się rzuciłem, i mimo woli powieki mi opadały. Zmusił mnie do otwarcia oczu, bym podziwiał naczynie z zielonej gliny ze szklaną pokrywą, które trzymał w ręku.

— Mój synu — rzekł — naprzód wiedzieć musisz, że ten przyrząd do sublimacji nazywa się aludel. Zawiera on płyn, któremu przyjrzyj się uważnie; mówię ci bowiem, że jest to *mercurius philosophorum*²⁵⁴. Nie sądz, że zawsze zachowa on tę ciemną barwę. Wkrótce stanie się zupełnie biały i wówczas zamieniać będzie metale na srebro; potem przemyślnym kunsztem swym nadam mu barwę czerwoną i wtedy będzie miał własność przemieniania srebra na złoto. Byłoby niewątpliwie korzyścią dla ciebie, abyś zamknąwszy się w tym laboratorium, był obecny wszystkim tym przemianom, co potrwać może dwa do trzech miesięcy, ale byłoby to może zbyt wielkim przymusem dla twej młodości, toteż na teraz obserwuj tylko zaczątki tego dzieła i dołóż z łaski swojej drzewa do pieca.

Po tych słowach zajął się znowu swymi kolbami i retortami, ja zaś rozmyślałem, w jak smutny stan popadłem przez mą nieostrożność i złe losy.

„Niestety — myślałem sobie, rzucając szczapy do pieca — w tej samej chwili pewnie straż szuka mnie i mojego mistrza. Może pójdziemy do więzienia... a już na pewno trzeba będzie porzucić ten zamek, gdzie wprawdzie nie miałem pieniędzy, ale utrzymanie i stanowisko zaszczytne. Nigdy już nie odważę się stanąć przed panem d'Astarac, który myśli, że przebyłem noc w milczących rozkoszach magii, co byłoby dla mnie niewątpliwie daleko lepiej. Niestety! Nie zobaczę już siostrzenicy Mozaidesa, pięknej Jaheli, która tak przyjemnie budziła mnie w nocy w mym pokoju. Zapewne zapomni o mnie; pokocha innego, którego tak jak mnie pieścić będzie. Sama myśl o tej niewierności jest mi okropna; ale już tak dzieje się na świecie, że trzeba być na wszystko przygotowanym”.

— Mój synu — rzekł pan d'Astarac — za mało karmu dajesz athanorowi; widzę, że nie jesteś jeszcze dostatecznie przeświadczony o doskonałości ognia, który sam jeden jest w stanie dać dojrzeć temu merkuriuszowi i zamienić go na cudowny owoc, który niedługo będę mógł zerwać. Jeszcze, jeszcze szczap więcej! Ogień, mój synu, jest najwyższym żywiołem; dosyć ci o tym mówiłem; przytoczę ci jeszcze przykład jeden. Pewnego bardzo chłodnego dnia ubiegłej zimy poszedłem do oficyny²⁵⁵ odwiedzić Mozaidesa. Zastałem go w fotelu, z nogami na wygrzewalce, i zauważyłem, że drobne cząsteczki ognia wydobywające się z rozżarzonych węgla były dosyć potężne, by wydymać i unosić opończę tego mędrca. Stąd wywnioskowałem, że gdyby ogień był żywszy, Mozaides niechybnie, jak tego jest godny, uniósłby się w powietrze, oraz że gdyby można zamknąć w jakim naczyniu większą ilość tych cząsteczek ognia, moglibyśmy żeglować po chmurach jak po morzu i odwiedzać salamandry w ich eterycznych siedzibach. Pomyślę jeszcze kie-

²⁵³łokieć — dawna miara długości, równa ok. 60 cm. [przypis edytorski]

²⁵⁴*mercurius philosophorum* (łac.) — dosł.: merkuriusz filozofów, inna nazwa kamienia filozoficznego; w alchemii rtęć, która jest metalem występującym w warunkach normalnych w stanie ciekłym, z powodu jej ruchliwości łączono z Merkurem, rzymskim szybkonożnym posłańcem bogów; alchemicy mieli nadzieję dzięki rtęci wypracować metodę przemiany innych metali w srebro i złoto; w swoich doświadczeniach i pokazach używali amalgamatów, stopów uzyskiwanych przez rozpuszczenie innych metali w rtęci; po ogrzaniu rtęć wyparowuje całkowicie z amalgamatu, pozostawiając w naczyniu rozpuszczony w niej uprzednio metal. [przypis edytorski]

²⁵⁵oficyna — budynek przy dworze, przeznaczony dla służby lub na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

dyś o tym w wolnej chwili i nie wątpię, że uda mi się zbudować taki statek ognisty. Tymczasem wróćmy do naszej pracy; dołoż jeszcze szczap do pieca.

Trzymał mnie jeszcze czas jakiś w tej rozpalonej komnacie, z której pragnąłem wyrwać się jak najprędzej i odszukać Jahelę, by jej opowiedzieć me nieszczęścia. Nareszcie wyszedł z pracowni i myślałem już, że jestem wolny, ale znów zawiodła mnie nadzieja.

— Powietrze dziś łagodne — rzekł — choć trochę pochmurne. Czy nie chcesz przejść się ze mną po parku, zanim zasiądziesz do pracy nad przekładem Zosimosa Panopolitańczyka, który to przekład tobie i twemu mistrzowi wielki zaszczyt przyniesie, jeżeli ukończycie go tak, jakżeście go rozpoczęli?

Niechętnie poszedłem za nim do parku, gdzie pan d'Astarac tak przemówił do mnie:

— Rad jestem, mój synu, że jestem tu sam z tobą, bo chcę cię przestrzec, dopóki czas jeszcze, przed nieszczęściem, które kiedyś spotkać by cię mogło. Robię sobie nawet wyrzuty, że dotychczas tego nie uczyniłem; to, co ci powiem, jest rzeczą wielkiej wagi.

To mówiąc, wiódł mnie aleją, która spuszczała się ku bagnetom Sekwany, skąd widać było Reuil i Mont-Valérien z jego krzyżem. Był to jego zwykły cel przechadzki, toteż aleja ta była niezłe utrzymana, choć i tu kilka pni drzew leżało w poprzek drogi.

— Trzeba, byś wiedział — rzekł — na co naraziłbyś się, gdybyś zdradził twą salamandrę. Nie wypytuję cię o twe stosunki z tą nadziemską istotą, z którą miałem szczęście cię zapoznać; widzę, że sam niechętnie mówisz o tym, i może masz słuszość. Chociaż salamandry co do dyskrecji swych kochanków mają inne pojęcie niż damy dworskie i kobiety mieszczańskie, niemniej prawda to, że miłość piękna jest niewysłowiona i profanacją wielkiego uczucia jest rozlewać je na zewnątrz.

Twoją salamandrę, której imię mógłbym z łatwością wiedzieć, gdybym był ciekawy i niedyskretny, nie powiedziała ci pewnie, że jedną z najżywszych jej namiętności jest zazdrość. Jest to cecha charakteru im wszystkim wspólna. Pamiętaj, synu, że salamandry nie można zdradzić bezkarnie; na zdrajcy mszczą się straszliwie. Opowiem ci przykład takiej zemsty, który przytacza boski Paracelsus i który wystarczy, by napelnić cię strachem zbawiennym.

W Niemczech, w mieście Staufen, żył filozof spagyrycki, który jak ty miał stosunek z salamandrą, a był na tyle zepsuty, że zdradzał ją haniebnie z kobietą piękną wprawdzie, lecz nie piękniejszą, niż może być ziemianka. Pewnego wieczora, gdy wesoło w kółku przyjaciół wieszkał z nową swą kochanką, biesiadnicy ujrzeli nad swymi głowami łydki cudownego kształtu. Pokazywała je salamandra, aby wiadano, że nie zasługiwała na krzywdę, którą wyrządzał jej kochanek. Po czym oburzona niebianka raziła niewiernego apopleksją²⁵⁶. Ogól, który jest na to, by był oszukiwany²⁵⁷, widział w tym śmierć naturalną, ale wtajemniczeni wiedzieli dobrze, z czyjej ręki padł był cios. Winienem ci być, mój synu, ten przykład i przestrogę.

Nie były mi one tak potrzebne, jak się panu d'Astarac zdawało. Słuchając ich, miałem inne powody do obaw. Twarz moja musiała zdradzać niepokój, bo wielki kabalista, spojrzawszy na mnie, zapytał, czy może lękam się, że związki, tak surowymi karami obwarowane, zbyt krępiją mą młodość.

— Mogę cię uspokoić pod tym względem — dodał. — Zazdrość salamandr wybuchy tylko, jeżeli im się daje ziemską rywalkę, i jest to raczej żal, oburzenie, wstręt aniżeli zazdrość właściwa. Salamandry mają duszę zbyt szlachetną i rozum zbyt subtelny, aby być zazdrosne jedna o drugą i dać się owładnąć uczuciu, które jest pozostałością barbarzyństwa, w jakim ludzkość jeszcze na pół jest pogrążona. Przeciwnie, rade są z towarzyszkami swymi dzielić rozkosze, jakich zażywają u boku mędrców, i chętnie przywodzą kochankom najpiękniejsze swe siostry. Niebawem na sobie przekonasz się o ich uprzejmości, bo nie minie rok, a może sześć miesięcy, a pokój twój będzie miejscem schadzki pięciu, sześciu tych cór powietrznych, które na wyścigi dla ciebie rozwiązywać będą swe lśniące zapaski. Bez obawy możesz odpowiadać na ich pieczyoty, kochanka twoja za złe ci tego nie weźmie. I jakże mogłaby się o to oburzać, będąc mądrą? W zamian i ty nie powinienes gniewać się, jeżeli salamandra opuści cię na chwilę i nawiedzi innego filozofa. Zważ mój synu, że dumna zazdrość, którą ludzie wnoszą w stosunki płci, jest uczuciem dzikim

²⁵⁶apopleksja — nagły wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

²⁵⁷Ogól, który jest na to, by był oszukiwany — wg maksymy łacińskiej: *mundus vult decipi, ergo decipitur*, tj. świat chce być oszukiwany, więc niech będzie oszukiwany. [przypis edytorski]

Miłość, Kochanek,
Milczenie

Zazdrość, Kobieta

i że opiera się na śmiesznym bardzo złudzeniu. Buduje się ono na tym przekonaniu, że kobieta jest własnością tego, komu się oddała; ale jest to tylko próżna gra słów.

Tak rozmawiając, pan d'Astarac zapuścił się w ścieżkę mandragor. Już przez liście widzieliśmy pawilon Mozaidesa, gdy straszny głos rozległ się w powietrzu; serce zamarło mi w piersiach. Były to dźwięki chropawe, zmieszane z ostrymi zgrzytami. Zbliżając się, zauważyliśmy, że były to tony modulowane i że każde zdanie kończyło się słabym zawodzeniem, którego niepodobna było słuchać bez drżenia.

Postąpiwszy kilka kroków, mogliśmy, nasłuchując, pochwycić treść tych słów szczególnych. Głos mówił:

— Usłysz przekleństwo Ezechielowo²⁵⁸ przeciw dzieciom zuchwałym i pustym, słuchaj kłątwy, którą Barak ugodził Merosa²⁵⁹. Skazuję cię w imię Archithariela, który jest też panem bitew i dzierży miecz płomienisty. Skazuję cię na zgubę w imię Sardaliphona, który podaje panu swemu wonne kwiecie i wieńce wotywnne, ofiarowane przez dzieci Izraela. Bądź przeklęty, psie, bądź przeklęty, wieprzu!

Zwracając się w stronę, skąd głos pochodził, na progu domu ujrzeliśmy Mozaidesa. Stał z wzniesionymi ramionami, z rękami naprzód wyciągniętymi na kształt szponów; zakrzywione jego paznokcie w świetle słońca zdawały się płonąć. W swej brudnej tiarze, w błyszczącej opończy, która otwierając się, odsłaniała chude, wykrzywione nogi okryte strzępami spodni, wyglądał jak jakiś bardzo stary, wiekuisty, żebrzący mag. Oczy jego błyszcząły; mówił dalej:

— Bądź przeklęty w imię Globów, przeklęty w imię Kół, przeklęty w imię Bestii tajemniczych, które widział Ezechiel.

I wyciągał przed siebie długie ręce—szpony i gromił dalej:

— W imię Globów, w imię Kół, w imię Bestii tajemniczych, zstąp do tych, co już nie istnieją.

Postąpiliśmy o kilka kroków, chcąc zobaczyć, przeciw komu Mozaides zwracał swój gniew i przekleństwa. Jakież było me zdziwienie, gdy ujrzałem księdza Hieronima Coignarda, uczepionego do krzaka tarniny za połę ubrania! Ślady burzliwie spędzonej nocy widne były w całej jego osobie: płaszczki i pluderk²⁶⁰ podarte, zabłocone pończochy, koszula rozpięta żałośliwie przypominały wspólne nasze przygody; na dobitkę spuchnięty nos psuł szlachetny zazwyczaj i pogodny wyraz jego twarzy.

Podbiegłem ku niemu i tak zręcznie uwolniłem go z kolców, że została na nich tylko cząstka spodni. Mozaides, nie mając już kogo przeklinać, wszedł do wnętrza domu. Przy tej okazji zauważyłem, ponieważ był obuty tylko w trepki, że jego nogi były osadzone pośrodku stóp, tak że pięta wystawała ku tyłowi tyleż prawie, co ku przodowi palce i podbicie. Przez to chód jego, który inaczej mógłby być wyniosły, był w istocie nader niezgrabny.

— Rożenku, mój synu — rzekł mój mistrz drogi, wzdychając — ten Żyd musi być chyba Izaakiem Laquedemem²⁶¹ we własnej osobie, skoro tak zlorzeczy we wszystkich językach. Przeznaczył mi w wielkiej obfitości obrazów śmierć rychłą i gwałtowną i nazwał mnie świnią w czternastu, jeśli się nie mylę, różnych narzeczach. Myślałbym, że to sam Antychryst, gdyby nie to, że brak mu niektórych cech, po których poznany ma być ten wróg Boży. Jak bądź jest to szkaradny Żydowin; zapewne nigdy koło, znak hańby, nie było przszyte do odzieży zapalczywszego niewiernego. Zasługuje on nawet nie tylko na koło przszywane do chałatu na znak hańby, ale i na koło, w które wplata się zbrodniarzy.

I mój drogi mistrz sam teraz w najwyższej pasji wygrażał pięścią Mozaidesowi, choć go już tu nie było, i oskarżał go o krzyżowanie dzieci i pożeranie niemowląt.

Pan d'Astarac zbliżył się do mego mistrza i rubinowym pierścieniem, który miał na palcu, dotknął jego piersi.

²⁵⁸ Ezechiel — biblijny prorok, autor *Księgi Ezechiela*. [przypis edytorski]

²⁵⁹ kłątwy, którą Barak ugodził Merosa — por. Sdz 5, 23; wg targumu kłątwe rzucił Barak (gdyż mieszkańcy miasta Meros nie pomogli mu przeciwko Siserze), nie Anioł Pański. [przypis edytorski]

²⁶⁰ pludry — sięgające do kolan spodnie o bufiastych nogawkach, stanowiące element stroju męskiego w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

²⁶¹ Izaak Laquedem — jedno z imion nadawanych postaci Żyda Wiecznego Tułacza, bohatera legendy popularnej w Europie szczególnie w XVII–XIX w. [przypis edytorski]

— Pożyteczna jest znać właściwości kamieni — rzekł wielki kabalista. — Rubin uśmierza gniewy i przekonasz się, że ksiądz Coignard wkrótce powróci do zwykłej mu łagodności.

Mój drogi mistrz już oto się uśmiechał, nie tyle skutkiem własności kamienia, jak dzięki swej filozofii, która tego zachwycającego człowieka wznosiła ponad namiętności ludzkie. Tu, gdy tok mej opowieści zmierza do wydarzeń smutnych i ponurych, muszę zaświadczyć, że ksiądz Hieronim Coignard dawał mi przykłady mądrości w okolicznościach, w których najmniej można się było tego spodziewać.

Zapytaliśmy o powód kłótni, ale po niejasnych, zakłopotanych odpowiedziach poznałem, że nie ma ochoty zaspokoić naszej ciekawości. Podejrzewałem początkowo, że w jakiś sposób jest w to wmieszana Jahela, z pawilonu bowiem dochodził mnie zmieszany ze szczękiem zamków zgrzytający głos Mozaidesa i odgłosy sprzeczki między wujem a siostrzenicą. Jeszcze raz próbowałem wyciągnąć z mego mistrza jakieś wyjaśnienia, ale odrzekł mi tylko:

— Nienawiść do chrześcijan zakorzeniona jest w sercu Żydów, a ten Mozaides jest tego dowodem obrzydłym. W jego ujadaniach rozpoznałem, zda mi się, złorzeczenia, którymi w zeszłym stuleciu synagoga opluła małego Żydkę holenderskiego Barucha, czyli Benedykta, bardziej znanego pod nazwiskiem Spinozy²⁶², za to, że utworzył doktrynę filozoficzną, którą zaraz w początkach znakomici teologowie świetnie obalili. Tylko, że ten stary Mordechaj dodał do tego wiele innych złorzeczeń, jeszcze straszniejszych — przyznając, iż byłem tym trochę wstrząśnięty i chciałem ucieczką przerwać ten potok wymysłów, ale na nieszczęście zaplątałem się w tarninę, która tak dobrze uczepiła się za różne części mej odzieży i skóry, że myślałem, iż jedno i drugie tu zostawię. Tkwiłbym tam jeszcze w srogim bólu, gdyby Rożenek mój uczeń nie był mnie wybawił.

— Kolce to fraszka²⁶³ — rzekł pan d'Astarac — ale obawiam się, księżo, czyś nie nastąpił na mandragorę.

— Co to — rzekł ksiądz — to najmniejszy mój kłopot.

— Niesłusznie mówisz — rzekł żywo pan d'Astarac — dość jest nastąpić na mandragorę, by być zamieszonym w miłość zbrodniczą i zginąć marnie.

— Ach, panie — rzekł mój mistrz — co za niebezpieczeństwa groźne! Widzę, że powinienem był szczerze zamknąć się w wymownych murach królowej bibliotek: Biblioteki Astaraceńskiej. Za to, że porzuciłem ją na chwilę, rzucono mi na głowę Bestie Ezechiela, nie licząc wymysłów innych.

— Nic mi nie powiesz nowego o Zosimosie Panopolitańczyku? — zapytał pan d'Astarac.

— Posuwa się, posuwa zwykłym krokiem, choć cokolwiek słabszym chwilowo — odrzekł ksiądz Coignard.

— Pamiętaj, mości księżo — rzekł kabalista — że od poznania tych starych tekstów zależy posiadanie najważniejszych tajemnic.

— Myślę, myślę o tym sumiennie — odrzekł ksiądz.

Otrzymałszy to zapewnienie, pan d'Astarac pobiegł w gęstwinę na wezwanie salamander, zostawiając nas u stóp fauna, który wygrywał sobie spokojnie na flecie, nie troszcząc się, że jego strącona głowa spoczywa w trawie.

Mój zacny mistrz wziął mnie pod rękę z miną człowieka zadowolonego, że wreszcie mówić może otwarcie.

— Rożenku, mój synu — rzekł — nie mogę taić przed tobą, jak szczególne spotkanie miało miejsce dziś rano na poddaszu zamku, podczas gdy ciebie zatrzymał był na pierwszym piętrze ten wściekły dmuchacz. Bo słyszałem, że prosił cię, byś asystował mu chwilę przy jego czarnej kuchni, która jest mniej wonna i mniej chrześcijańska zaiste niż kuchnia imci pana Leonarda, twego ojca. Niestety! Kiedyż ujrzę znów gospodę pod „Gęsią Nóżką” i księgarnię pana Blaizota pod „Obrazem Świętej Katarzyny”, gdzie z taką przyjemnością przerzucałem książki świeżo przybyłe z Amsterdamu i Hagi?

²⁶²Spinoza, Baruch (1632–1677) — filozof niderlandzki pochodzący z żydowskiej rodziny z Portugalii, zaliczany do największych myślicieli europejskich, przedstawiciel racjonalizmu; twórca systemu filozoficznego mającego u podstaw jedną, wieczną i wszechogarniającą substancję, nazwaną naturą lub Bogiem. W wyniku sporu z teologami żydowskimi został oskarżony o herezję i w 1656 wykluczony z gminy żydowskiej; przybrał wówczas łacińskie imię Benedictus, jednak nie przyjął chrześcijaństwa. [przypis edytorski]

²⁶³fraszka (z wł.) — drobiazg. [przypis edytorski]

— Niestety — zawołałem ze łzami w oczach — kiedyż i ja to zobaczę? Kiedyż ujrzę znów ulicę Świętego Jakuba, gdzie się urodził, i kochanych rodziców, których tak zmartwi wiadomość o naszych nieszczęściach! Ale racz mi objaśnić, co to za szczególne spotkanie zaszło dziś rano i wszystko, co zdarzyło się potem?

Hieronim Coignard przyrzekł odpowiedzieć na wszystkie moje pytania i zaczął w te słowa:

— Wiedz mój synu, że na najwyższe piętro zamku bez przeszkód dostałem się z panem d'Anquetil, którego dosyć lubię, chociaż jest szorstki i niewykształcony. Umysł jego nieuczony nie łaknie wiedzy, ale błyskotliwa żywość młodości i krewkość temperamentu wybucha u niego w sprytnych żartach. Zna świat tak, jak zna kobiety — dlatego że jest nad nim i nie rozumuje. Wielka to z jego strony naiwność, że mieni się ateuszem. Nie wiara jego jest nieszkodliwa i zniknie sama przez się, gdy uspokoi się krewkość zmysłów. W tej duszy Bóg nie ma innego wroga jak konie, karty i kobiety. W umyśle prawdziwego bezbożnika, takiego jak pan Bayle na przykład, prawda ma przeciwników groźniejszych i przebieglejszych. Ale widzę mój synu, że kreślę ci oto wizerunek charakteru, a ty tylko prostej opowieści chcesz ode mnie.

Zaspokoję cię zaraz. Wszedłszy tedy z panem d'Anquetil na najwyższe piętro pałacu, wprowadziłem tego młodego szlachcica do twego pokoju i tak, jakżeśmy mu obiecali tam przy wodotrysku z trytonem, prosiłem, by rozgospodarował się jak u siebie. Chętnie to uczynił, rozebrał się i tylko w butach jeszcze położył się do twego łóżka, zapuściwszy firanki, by spać mu nie przeszkadzała ranna światłość dzienna; po chwili też spał już smacznie.

Co do mnie, mój synu, wróciłem do swego pokoju i choć bardzo znużony, nie chciałem udać się na spoczynek, nie odszukawszy w księdze Boecjusza zdań stosownych do mego położenia. Czegoś absolutnie odpowiedniego nie znalazłem, rzeczywiście bowiem wielki Boecjusz nie rozmyślał, jak niefortunnym zdarzeniem jest rozbić głowę generalnemu intendentowi butelką wina z jego własnej piwnicy; tu i ówdzie jednak w cudnym tym traktacie znalazłem kilka maksym stosujących się jako tako do obecnych naszych koniunktur. Po czym naciągnawszy szlafmycę na oczy i duszę poleciwszy Bogu, zasnąłem dość spokojnie. Po pewnym czasie, o ile mi się zdawało niedługim — choć nie miałem sposobu zmierzyć jego przeciągu, bo tylko czyny nasze, mój synu, są jedyną miarą czasu, który zatem podczas snu jest dla nas niejako w zawieszeniu — poczułem, że mnie ktoś ciągnie za ramię i krzyczy do ucha: „Księżę dobrodzieju! He, księżę, obudź się!” Myślałem w pierwszej chwili, czy to nie strażnik policyjny przyszedł po mnie, by zaprowadzić mnie przed oblicze oficjała, i medytowałem, czy nie dobrze byłoby rozbić mu głowę lichtarzem.

Niestety, mój synu, wielka to prawda, że raz porzuciwszy drogę łagodności i sprawiedliwości, po której mędrzec kroczy pewną i przezorną stopą, zmuszeni jesteśmy popierać dalej gwałt gwałtem, okrucieństwo okrucieństwem; tak z pierwszego błędu wynikają wciąż nowe. Tę prawdę należy mieć zawsze na uwadze, by zrozumieć żywoty cesarów rzymskich. Żywoty te opowiedział bardzo dokładnie pan Crevier²⁶⁴.

Ci władcy nie urodzili się gorsi od innych ludzi; Cajusowi, zwanemu Kaligulą, nie zbywało na rozumie i zdrowym sądzie; uczucie przyjaźni nie było mu obce. Neron miał przyrodzone zamiłowanie do cnoty, temperament jego zapalał go do wszystkiego, co wielkie i wzniosłe. Pierwszy jakiś błąd rzucił ich obydwóch na drogę zbrodni, po której kroczyli aż do swego nędznego końca. Jasno to wynika z dzieła pana Crevier. Znałem tego zdolnego człowieka, gdy wykładał literaturę w kolegium w Beauvais, tak jak ja wykładałbym ją dziś, gdyby życie moje nie było rozdarte tysiącem przygód i gdyby przyrodzona mi miękkość serca nie była stawiała mi zasadzek, w które zawsze wpadałem. Pan Crevier, mój synu, był mężem czystych obyczajów, wyznawał surową moralność i — jak sam słyszałem — mawiał, że kobieta, która zdradziła wiarę małżeńską, zdolna jest do największych zbrodni: jak na przykład do zabójstwa, podpalenia itd. Przytaczam ci to zdanie, by ci dać wyobrażenie o świętej surowości tego kapłana. Ale oto znów odbie-

²⁶⁴Crevier, Jean-Baptiste-Louis (1693–1765) — francuski historyk i filolog, autor min. książki *L'Histoire des empereurs des Romains, jusqu'à Constantin* (Historia cesarzy Rzymian aż do Konstantyna, 1749). [przypis edytorski]

gam od przedmiotu, a pilno mi kończyć me opowiadanie. Myślałem zatem, że strażnik już ma mnie w ręku, już widziałem się w więzieniu arcybiskupstwa, gdy rozpoznałem twarz i głos pana d'Anquetil. „Księżę — rzekł ów szlachcic — wydarzyła mi się w pokoju Rożenka szczególna przygoda. Podczas snu mego jakaś kobieta weszła do pokoju, wśliznęła się do mego łóżka i obudziła mnie słodkimi słówkami, gradem pocałunków i najczulszymi pieścizotami. Odsunąłem firankę, by zobaczyć rysy mej przygody; ujrzałem, że była to najcudniejsza w świecie brunetka z płomiennym okiem. Ale natychmiast krzyknęła i rozgniewana uciekła, nie tak szybko jednak, bym jej nie dognał w korytarzu, gdzie pochwyciwszy, zatrzymałem ją w silnych uściskach. Wyrwała się, drapała mnie po twarzy; gdy już, jak jej się zdawało, podrapała mnie dostatecznie dla zaspokojenia swego honoru, poczuliśmy rozmawiać. Z przyjemnością dowiedziała się, że jestem szlachcicem i nie najuboższym. Wkrótce przestałem być jej wstrętny i już była jak najżyczliwsza dla mnie, gdy w korytarzu ukazał się kuchcik; tym razem ze strachu czmychnęła bez powrotu. Przypuszczam — dodał pan d'Anquetil — że ta cudna dziewczyna przyszła do kogoś innego, nie do mnie. Musiała omylić się co do drzwi i to zdziwienie było powodem jej przestradchu; ale uspokoiłem ją dobrze i gdyby nie ten kuchcik, byłbym zupełnie zyskał jej przyjaźń”. Nie przeczyłem tym jego nadziejom; zaczęliśmy zastanawiać się, do kogo by też ta piękna osoba przychodzić mogła, i zgodziliśmy się na to, jak ci to już mówiłem, Rożenku, że wybranym jest ów stary wariat d'Astarac, który ma z nią schadzki w pokoju sąsiadującym z twoim, a może nawet bez twej wiedzy i w twoim własnym pokoju. Cóż ty na to?

— Bardzo to być może — odrzekłem.

— Z pewnością tak jest — dodał mój drogi mistrz. — Ten czarownik kpi z nas swymi salamandrami, a w rzeczywistości pieści ładną dziewczynę. To oszust.

Prosiłem mego mistrza, by opowiadał dalej, co też chętnie uczynił.

— Skracam, mój synu, słowa pana d'Anquetil, bo jest rzeczą umysłu niskiego i pospolitego rozwodzić się nad błahymi zdarzeniami; powinniśmy, przeciwnie, zwięźle streszczać się w kilku słowach, a dla nauk i rad moralnych zachować obfitą, porywającą wymowę, która wtedy jak śnieżna lawina z gór toczyć się powinna. Wystarczy więc, gdy zamiast wielu słów powiem ci, iż pan d'Anquetil zapewnił mnie, że jego zdaniem jest to dziewczyna nadzwyczajnie piękna, wdzięczna i czarująca. Zakończył swe zachwyty, zapytując mnie, czy wiem, kto ona i jak się nazywa. „Podług portretu, jaki mi tu go kreślisz — rzekłem — poznaję w niej siostrzenicę rabina Mozaidesa, Jahelę, którą zdarzyło mi się również ucałować pewnej nocy na tych samych schodach, z tą różnicą, że było to między piętnym pierwszym a drugim”. „Spodziewam się — odrzekł pan d'Anquetil — że w pocałunku była jeszcze inna różnica, bo co do mnie, chwyciłem ją bardzo blisko. Przykro mi też jest, że jest Żydówką; chociaż nie wierzę w Boga, wolałbym, by była chrześcijanką. Ale któż może znać swe pochodzenie? Kto wie czy nie jest to dziecko ukradzione? Żydzi i Cyganie stale codziennie uprowadzają dzieci. Przy tym nie dosyć powtarzamy sobie, że Najświętsza Panna była także Żydówką. Kimkolwiek jest, Żydówką czy nie, podoba mi się, chcę ją mieć i mieć ją będę”. Oto słowa tego młodego szaleńca. Ale pozwól mi, synu, spocząć na tej omszałej ławce; przygody tej nocy, walki, które stoczyłem, późniejsza ucieczka zupełnie z nóg mnie zbiły.

Usiadł i wyjąwszy pustą tabakierkę z kieszeni, żałośnie na nią spoglądał.

Usiadłem przy nim wzbudzony i przygnębiony zarazem. Opowiadanie to zasmuciło mnie do żywego. Przeklinałem los, który na moje miejsce podsunął tego brutala w chwili, gdy moja droga kochanka przyszła do mnie z objawami najżywszej czułości, nie wiedząc, że ja wtenczas podkładałem szczapy w piecu alchemika. Więcej niż prawdopodobna niestałość Jaheli krwawiła mi serce i byłbym wolał, by mój mistrz zachował był więcej dyskrecji przed moim rywalem. Odważyłem się — z całym szacunkiem — zrobić mu zarzut z tego, że zdradził imię Jaheli.

— Księżę Coignardzie — rzekłem — czy nie było nieostrożnie dać te wskazówki temu gwałtownemu i rozpustnemu pankowi?

Mój drogi mistrz zdawał się nie słyszeć słów moich.

— Tabakierka moja otworzyła się w bójce tej nocy i tabaka zmieszana z winem w mojej kieszeni jest teraz tylko obrzydliwą papką. Nie chcę prosić Krytona, by mi utarł kilka liści tytoniu, tak twarz tego sędziego i sługi wydaje mi się zimna i surowa. Tym więcej cierpię

Słowo

Antysemityzm, Pożądanie

nad tym, że zażywać nie mogę, bo nos swędzi mnie wskutek uderzenia otrzymanego tej nocy i, jak widzisz, znużony jestem natręctwem tego petenta, któremu nie mam co dać. Ale trzeba ze spokojem ducha znieść tę przykrość, czekając, aż pan d'Anquetil użyczy mi szczyptę ze swej tabakierki. Lecz wracam do tego szlachcica. Powiedział mi najwyraźniej: „Kocham tę dziewczynę i oświadczam ci, księżu dobrodzieju, że zabieram ją z nami w drogę. Żebyś miał tu czekać tydzień, miesiąc, sześć miesięcy i więcej, bez niej nie pojedę”. Tłumaczyłem mu, jakie niebezpieczeństwo najmniejsza zwłoka spowodzić może, ale odrzekł mi, że mu to obojętne, ile że niebezpieczeństwo jest dla nas wielkie a dla niego zaś bardzo małe. „Tobie, księżu kochany, i Rożenkowi grozi coś strydzek, ja zaś najwyżej pójdę do Bastylii, gdzie będę miał karty i dziewczyny i skąd moja rodzina wydobędzie mnie niebawem. Mój ojciec skłoni do zajęcia się mym losem jaką księżną lub tancerkę, a matka, choć stała się dewotką, dla mego dobra potrafi przypomnieć się pamięci dwóch lub trzech książąt krwi. Tak więc rzecz skończona; jadę z Jahelą albo nie jadę wcale. Wolno ci, księżu dobrodzieju, nająć dyliżans dla siebie z twym Rożenkiem”.

Okrutnik wiedział dobrze, mój synu, że nie mamy na to środków. Staralem go odwieść od tego postanowienia, nalegałem, przekonywałem; przemawiałem z namaszczeniem. Wszystko na próżno. Darmo szafowałem wymową, która na ambonie dobrej parafii dałaby mi zaszczyty i mamonę. Niestety, mój synu, powiedziane jest, że żadna z mych czynności nie przyniesie owoców soczystych na tej ziemi i dla mnie to pisał Eklezjasta²⁶⁵: „*Quid habet amplius homo de universo labore suo, quo laborat sub sole?*”²⁶⁶. Mój dyskurs nie tylko nie przekonał, ale jeszcze utwierdził w uporze tego szlachcica. Wyznam ci, że powiedział mi, iż muszę mu pomóc w osiągnięciu jego życzeń i polecił mi skłonić Jahelę, by dała się porwać — w zamian za wyprawę²⁶⁷ z holenderskiego płótna, za srebra, klejnoty i przyzwoitą rentę.

— Ach, panie — zawołałem — cóż to za czelność ze strony pana d'Anquetil! Jak sądzisz, czy przyjmie Jahela tę propozycję, gdy się o niej dowie?

— Mój synu — odpowiedział — wie już o niej i zdaje się, że się zgodzi.

— W takim razie — zawołałem żywo — trzeba uprzedzić Mozaidesa!

— Mozaides — odrzekł mój mistrz — aż nadto jest uprzedzony; słyszałeś przecie przed chwilą ostatnie wybuchy jego gniewu.

— Jak to, drogi panie — rzekłem czule — uprzedziłeś tego Żyda o hańbie, która grozi jego rodzinie? Dobrze uczyniłeś! Pozwól, że cię uściskam. Ale w takim razie ten gniew Mozaidesa wymierzony był przeciw panu d'Anquetil, a nie przeciw tobie?

— Mój synu — odrzekł książd z szlachetną godnością — naturalna wyrozumiałość dla słabości ludzkich, usługna łagodność, niebaczną, zbytnia dobroć serca często każe ludziom popełniać czyny nierozważne i wystawia ich na surowe sądy ludzkie. Nie skrywam ci, Rożenku, że ja oto uległem prośbom tego młodego szlachcica i obiecałem mu udać się do Jaheli i namówić ją do porwania.

— Niestety — zawołałem — i dotrzymałeś tej niebaczonej obietnicy! Nie mogę wyrazić, jak mnie ten postępek boli i smuci.

— Rożenku — surowo rzekł mój mistrz — mówisz jak faryzeusz²⁶⁸. Pewien moralista, równie miły jak surowy, powiedział: Zwróćcie oczy na siebie samych, a strzeżcie się sądzić czyny cudze. Sądzić innych — próżna to praca, bo mylić się można często i grzeszyć łatwo; siebie samych zaś badać i sądzić — rzecz zawsze owocna”. Powiedziane jest: „Nie będziecie lękać się sądów ludzkich”²⁶⁹, a święty Paweł apostoł rzekł: „Nie dbam o zdanie sędziów ludzkich”²⁷⁰. Przytaczam ci te najpiękniejsze maksymy moralności, by cię pouczyć Rożenku i przywieść znów do kornej i cichej skromności, tak stosownej dla ciebie. Nie czynię to po to, by siebie uniewinnić. Niestety bowiem liczne nieprawości moje tłoczą mnie i gnębią. Trudno jest nie osunąć się w grzech, a więc słuszne nie wpadać w rozpacz

²⁶⁵ Eklezjasta a. Kohelet — tradycyjne określenie autora biblijnej Księgi Koheleta, zwanej też Księgą Eklezjastesa lub Księgą Kaznodziei Salomona, zawierającej rozważania nad sensem ludzkiego życia. [przypis edytorski]

²⁶⁶ *Quid habet amplius homo de universo labore suo, quo laborat sub sole?* (łac.) — Cóż przyjdzie człowiekowi z całej pracy jego, którą się trudzi pod słońcem? (Koh 1, 3). [przypis edytorski]

²⁶⁷ *wyprawa* — rzeczy dawane pannie młodej w posagu. [przypis edytorski]

²⁶⁸ *faryzeusz* — członek starożytnego, polityczno-religijnego stronnictwa żydowskiego, odznaczającego się formalistycznym stosunkiem do starych praw i obyczajów religijnych; przen.: obłudnik. [przypis edytorski]

²⁶⁹ *Nie będziecie lękać się sądów ludzkich* — por. Pwt 1, 17. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *Nie dbam o zdanie sędziów ludzkich* — 1 Kor 4, 3. [przypis edytorski]

na każdym kroku, który czynimy na tym świecie, gdzie w każdym czynie część wynika z klątwy pierworodnej, część zaś z odkupienia dokonanego przez krew Syna Bożego. Nie chcę upiększać swej winy i przyznaję, że misja, której się podjąłem na usilne prośby pana d'Anquetil, wiąże się z upadkiem Ewy, jest, że tak powiem, jedną z jego niezliczonych konsekwencji; natomiast uczucie smutku i pokory, jakim jestem teraz przejęty, czerpię z pragnienia i nadziei wiecznego zbawienia mej duszy. Powinieneś pamiętać zawsze, że ludzie wąż się nieustannie między potępieniem i odkupieniem, i w tej chwili oto jestem na dobrym końcu tej wagi, gdy dziś rano byłem po złej stronie.

Wiedz zatem, że przeszedłszy ścieżkę mandragor, skąd widać dobrze dom Mozaidesa, ukryłem się w tarninie, czekając ukazania się Jaheli w oknie. Ujrzałem ją niebawem; wtedy wynurzyłem się z krzaków i gestami dałem jej znać, by zeszła do mnie. Uczyniła to w chwili, gdy, jak sądziła, udało jej się zmylić czujność swego starego wuja-dozorcy. Po cichu opowiedziałem jej w krzaku przygody tej nocy, o których nie wiedziała jeszcze, powiedziałem, jakie zamiary względem niej ma ten zapalczywy szlachcic, i przedstawiłem jej, że zarówno w interesie własnym, jak i dla mego i twego ratunku, Rożenku, trzeba, by zapewniła pomyślność naszej ucieczki i przystała na porwanie. Błysnąłem przed nią obietnicami pana d'Anquetil. „Jeśli zgodzisz się pojechać z nim dziś wieczór — rzekłem — dostaniesz dobrą, pewną rentę²⁷¹, wyprawę bogatszą niż wyprawa tancerki w operze lub ksieni²⁷² Panthémont²⁷³ i piękne srebra”. „Bierze mnie za gamratkę²⁷⁴, którą kupić można; to bezczelnik”. „Kocha cię — odrzekłem. — Czyż chciałabyś, by cię tylko szanowano?” „Trzeba mi kieski, i to ciężkiej. Czy mówił ci o kiesce? Otóż, księżu, powiedz mu...” „Cóż mu powiem?...” „Że jestem porządną dziewczyną”. „I co więcej?” „Że jest zbyt śmiały”. „I to wszystko? Pomyśl, Jahelo, o naszym ratunku”. „Powiedz mu, że nie inaczej zgodzę się z nim pojechać, aż mi w należytym formie wystawi skrypt dłużny, który podpisze dziś wieczór na wyjeździe”. „Podpisze ci go. Zatem sprawa załatwiona?”. „Nie, księżu, nie załatwiona, jeżeli nie zgodzi się, bym brała lekcje u Couperina²⁷⁵; chcę uczyć się muzyki”.

Byliśmy w tym punkcie naszej konferencji, gdy na nieszczęście spostrzegł nas Mozaides i choć nie słyszał słów, domyślił się, o co chodzi, bo nazwał mnie uwodzicielem i obrzucił gradem wymysłów. Jahela uciekła do swego pokoju, a ja pozostałem sam, na wściekłość tego bogobójcy wystawiony, w sytuacji, w której mnie zastałeś i z której uwolniłeś mnie, mój synu. Po prawdzie, sprawa już załatwiona, na porwanie zgoda. Ucieczka nasza zapewniona; Koła i Bestie Ezechiela nie przeważą kieski z dukatami; boję się tylko, czy ten stary Mordechaj nie zamknął siostrzenicy na potrójne spusty.

— Rzeczywiście — rzekłem, nie mogąc ukryć swego zadowolenia — słyszałem brzęk kluczy i kłódek w chwili, gdy oswobadzałem księdza spośród cierni. Ale czy prawda, że Jahela tak łatwo zgodziła się na te zgola nieprzystojne propozycje, które nie mogło ci być przyjemnie jej oznajmić? Jestem niezmiernie tym zdumiony. Powiedz mi też, mój drogi mistrzu, czy nie mówiła o mnie, czy nie wspomniała mego imienia, z westchnieniem lub inaczej?

— Nie, mój synu — rzekł ksiądz Coignard — nie wymówiła go, przynajmniej nie tak bym je usłyszał. Nie szepnęła też imienia pana d'Astarac'a, swego kochanka, które powinno jej być bliższe od twego. Ale nie dziw się, że zapomniała swego alchemika; nie dosyć jest posiadać kobietę, by w jej duszy wyryć ślad trwały i głęboki. Dusze ludzkie są prawie nieprzenikliwe jedne dla drugich, co ukazuje, jak okrutna nicość jest w miłości. Mędrzec winien rzec sobie: „Niczym jestem w tym niczym, jakim jest oto stworzenie wszelkie. Chcieć pozostawić pamięć o sobie w sercu kobiety, jest to chcieć odcisnąć ślad pierścienia na bieżącej wodzie. Toteż strzeżmy się zamieszkać w tym, co przemija, a przywiążmy się do tego, co nie umiera”.

— Wreszcie — rzekłem — Jahela jest za dobrymi zamkami i można polegać na czujności jej strażnika.

²⁷¹renta — tu: renta gruntowa, dochód uzyskiwany przez właściciela gruntu dzięki wydzierżawianiu go. [przypis edytorski]

²⁷²ksieni — przełożona klasztoru. [przypis edytorski]

²⁷³Panthémont — dawny klasztor sióstr augustianek w Paryżu; pod koniec XVIII w. jedna z najbardziej prestiżowych placówek wychowawczo-oświatowych dla dziewcząt z wyższych sfer i miejsce odpoczynku dla zamożnych dam. [przypis edytorski]

²⁷⁴gamratka (daw.) — prostytutka, kobieta lekkich obyczajów. [przypis edytorski]

²⁷⁵Couperin, François (1668–1733) — francuski kompozytor. [przypis edytorski]

— Mój synu — rzekł mój drogi mistrz — dziś wieczorem ma ona spotkać się z nami w oberży pod „Czerwonym Koniem”. Mrok sprzyja ucieczkom, porwaniom, wszelkim czynom tajemnym i skrytym. Trzeba nam polegać na przebiegłości tej dziewczyny. Co do ciebie, staraj się być na placu des Bergères o zmierzchu. Wiesz, że pan d’Anquetil nie jest bardzo cierpliwy i że gotów pojechać bez ciebie.

Gdy to mówił, rozległ się głos dzwonu wzywający nas na śniadanie.

— Czy nie masz, mój synu, igły i nitki? — rzekł jeszcze ksiądz Coignard. — Ubranie moje jest w kilku miejscach podarte i zanim przyjdę do stołu, chciałbym kilkoma ściegami doprowadzić je do dawnej przyzwoitości. Spodnie szczególniej mnie niepokoją i jeżeli zaraz ich nie poratuję, czuję, że z nimi już koniec.

Zająłem za stołem kabalisty zwykle swe miejsce, myśląc ze smutkiem, że siedzę tu po raz ostatni. Zdrada Jaheli żalobą napelniała me serce. „Niestety! — dumalem. — Najżywszym mym życzeniem było uciec z nią i nie myślałem nigdy, by się to spełnić mogło. Spełniało się to teraz, ale w jak okrutny sposób!” I podziwiałem teraz mądrość mego drogiego mistrza, który, gdym pewnego dnia zbyt żywo pragnął powodzenia pewnej sprawy, odpowiedział mi słowami Biblii: „*Et tribuit eis petitionem eorum*”²⁷⁶. Smutek mój i niepokój odejmowały mi apetyt, ledwie też tknąłem potraw. Mój drogi mistrz mimo wszystko zachował niezmacony wdzięk swego umysłu. Rozmawiał uprzejmie i więcej podobny był do jednego z mędrców *Telemaka*²⁷⁷, rozprawiających w cieniu Pól Elizejskich, niż do człowieka ściganego za morderstwo i skazanego na żywot nędzny i tułaczy. Pan d’Astarac, myśląc, że spędziłem noc w gospodzie ojca, bardzo uprzejmie zapytał mnie o rodziców i jak gdyby nie mógł na chwilę nawet pozbyć się swych wizji, dodał:

— Kiedy mówię o tym kucharzu jako o ojcu twoim, ustępuję tu oczywiście zwyczajowi powszedniemu, a nie wchodzę w istotny stan rzeczy. Bo, mój synu, nie ma na to dowodów, byś nie miał być spłodzony przez sylfa. Nawet chętnie uwierzę w to raczej, zwłaszcza jeżeli twój umysł, jeszcze wątył, rozwinie się w sile i piękności.

— Och, nie mów pan tak — rzekł, uśmiechając się, mój mistrz drogi — będzie on musiał ukrywać swe talenty, by nie szkodzić dobrej reputacji swej matki. Ale gdybyś ją znał lepiej, wierzyłbyś tak jak ja, że nie miała ona nigdy stosunków z sylfami. Jest to dobra chrześcijanka, która w związku cielesnym żyła tylko ze swym mężem i u której cnota maluje się na twarzy, — nie taka była inna właścicielka gospody, niejaka pani Quonian, o której dużo mówiono w Paryżu i na prowincji w czasach mej młodości. Nie słyszałeś pan nic o niej? Miała ona za galanta imć pana Mariette’a, który był później sekretarzem pana d’Angervilliers. Był to szczodry grubas, który ilekroć widział swą lubą, dawał jej jakiś klejnot na pamiątkę, to krzyż lotaryński, to zegarek, łańcuszek lub chustkę do nosa, wachlarz, szkatułkę; skupywał dla niej całe kramy z biżuterią i bielizną na jarmarku w Saint-Germain. Małżonek, widząc swą panią kucharzową przybraną jak monstrancja, jął podejrzewać, że nie jest to dobro uczciwie nabyte. Zaczął więc śledzić żonę i rychło przydybał ją z kochankiem, a że był szkaradnym zazdrośnikiem, rozgniewał się bardzo, co mu na dobre nie wyszło — przeciwnie. Zakochana para, której przeskadzały jego gniewy, postanowiła się go pozbyć. Imćpan Mariette miał długą rękę; wystarczył się i otrzymał wreszcie pozwolenie uwięzienia nieszczęsnego Quoniana. Tymczasem chytra małżonka tak rzecze do pana kucharza: „Pojeźdźmy, proszę cię, na obiad za miasto w przyszłą niedzielę. Ta wycieczka ogromną sprawi mi przyjemność”. Tak czule nalegała, że mąż, polechtany po sercu, zgodził się na wszystko, co chciała. W niedzielę wsiadł z nią do dorożki, by udać się za miasto do Porcherons, ale zaledwie przybyli do Roule, gdy nastawieni przez imćpana Mariette’a strażnicy porwali niewygodnego męża, zaprowadzili

²⁷⁶*Et tribuit eis petitionem eorum* (łac.) — I spełnił prośbę ich (parafraza Ps 106, 15). [przypis edytorski]

²⁷⁷*Przygody Telemaka* — dydaktyczna powieść francuska autorstwa François Fenelona z roku 1699. [przypis edytorski]

go do Bicêtre²⁷⁸, skąd wyekspediowano go nad Missisipi²⁷⁹, gdzie jest jeszcze obecnie. Ułożono z tego zdarzenia piosenkę, kończącą się słowy:

Mąż sprytny i dogodny
Na pół przymyka oczy,
Lepszy ten zwyczaj modny
Niż spacer do Luizjany.

I to jest rzeczywiście jedyny pewny morał, który wyciągnąć można z przykładu imć-pana Quoniana.

Co do przygody samej, gdyby opowiedział ją jaki Petroniusz²⁸⁰ lub Apulejusz, dorównałaby najlepszej opowieści milezyjskiej²⁸¹. Pisarze nowsi w eposie i tragedii nie dorównują starożytnym; jeżeli jednak w opowieściach nie prześcignęliśmy Greków i Rzymian, nie jest to zaiste wina dam paryskich, które przemyślnymi sztuczkami i zręcznymi pomysłami dosyć nam do nich dostarczają materiału. Słyszał pan zapewne o zbiorze Boccaccia²⁸²; czytałem go często dla rozrywki i twierdzę, że gdyby ten florentyńczyk żył teraz we Francji, przygoda Quoniana dałaby mu treść najzabawniejszej powiastki. Ja wspomniałem tu o niej jedynie, aby przez kontrast tym żywiej zabłysła cnota pani Leonardowej Rozenowej, która jest zaszczytem swego stanu, tak jak pani Quonian była jego hańbą. Śmiałem twierdzić, że pani Rozenowa pełniła zawsze przeciętne i pospolite cnoty, zalecane w małżeństwie, które z wszystkich siedmiu sakramentów jest jedynym godnym wzgardy.

— Nie przeczę — rzekł pan d’Astarac — ale ta pani Rozenowa byłaby więcej jeszcze szacunku godna, gdyby była miała stosunek z sylfem za przykładem Semiramidy²⁸³, Olimpiady i matki wielkiego papieża Sylwestra II.

— Ach mój panie — rzekł ksiądz Coignard — mówisz zawsze o sylfach i salamandrach, ale powiedz też szczerze, czy też widziałeś ich kiedy?

— Tak jak ciebie widzę — odrzekł pan d’Astarac — a salamandry widziałem nawet znacznie bliżej.

— To nie wystarcza, mój panie, by wierzyć w ich istnienie, które przeciwne jest nakom Kościoła. Można być ofiarą złudzenia; oczy i wszystkie zmysły nasze są posłańcami błędów i zwiastunami fałszu; więcej nas zwodzą, niżli uczą, ukazują nam tylko niepewne i błędne obrazy. Prawda im się wymyka, bo prawda ma to wspólne ze swym pierwiastkiem wiekuistym, że tak jak on jest niewidzialna.

— Ach — rzekł pan d’Astarac — nie wiedziałem, że masz tak subtelny i filozoficzny umysł.

— Zaiste — odrzekł mój drogi mistrz — są dni, w których duch mój jest bardziej ociężały, więcej przywiązany do poziomych rozkoszy stołu i łoża; ale tej nocy rozbiłem butelkę o głowę poborca i to nadzwyczajnie podnieciło mego ducha. Czuję, że byłbym w stanie rozpędzić widma, które cię prześladują, i zdmuchnąć te wszystkie dymy. Bo ostatecznie, mój panie, te sylfy są tylko wyziewami twej wyobraźni.

Pan d’Astarac wstrzymał go łagodnym gestem i zapytał:

²⁷⁸ *Bicêtre* — dawny zakład pod Paryżem, założony w XVII w.; jako oddział państwowej instytucji odosobnienia zwanej „Szpitalem Ogólnym Paryża” (*Hôpital général de Paris*) stanowił jedno z miejsc przetrzymywania różnego rodzaju wyrzutków społeczeństwa: żebraków, włóczęgów, obłąkanych, chorych na syfilis i rozmaitych przestępców, oraz tymczasowe więzienie dla osób skazanych na zesłanie do kolonii karnej; w XVIII w. uważany za straszniejsze miejsce uwięzienia niż Bastylia. [przypis edytorski]

²⁷⁹ *wyekspediowano go nad Missisipi* — do kolonii karnej we francuskich posiadłościach kolonialnych w Ameryce Północnej, na cześć króla Francji Ludwika XIV (fr. *Louis*) zwanych Luizjaną, obejmujących większość dorzecza Missisipi: tereny na południe od Wielkich Jezior aż do Zatoki Meksykańskiej, pomiędzy Appalaciami na wschodzie a Górami Skalistymi na zachodzie. [przypis edytorski]

²⁸⁰ *Gajusz Petroniusz* (ok. 27–66 n.e.) — rzymski pisarz, filozof i polityk; autor powieści satyryczno-przygodowej pt. *Satyryki* (łac. *Satyricon*). [przypis edytorski]

²⁸¹ *milezyjska opowieść* (łac. *fabula milesiaca*) — gatunek fikcyjnej opowieści w starożytnej literaturze greckiej i rzymskiej: nowela przygodowa o charakterze erotycznym; popularny w starożytności zbiór opowieści milezyjskich pt. *Milesiaka* wiąże się zwykle z Arystydesem z Miletu (I w. p.n.e.) i uważa się, że niektóre z nich zapożyczyli do swoich utworów Petroniusz i Apulejusz. [przypis edytorski]

²⁸² *Boccaccio, Giovanni* (1313–1375) — włoski pisarz, autor m.in. zbioru nowel obyczajowych *Dekameron*, którego głównym tematem jest miłość w jej rozmaitych odmianach. [przypis edytorski]

²⁸³ *Semiramida* — legendarna królowa asyryjska, bohaterka licznych opowieści; wg tradycji na jej rozkaz założono wiszące ogrody w Babilonie, uznane za jeden z siedmiu cudów starożytnego świata. [przypis edytorski]

— Przepraszam, księżę dobrodziej, czy wierzysz w demony?

— Odpowiem ci na to łatwo — rzekł mój drogi mistrz — wierzę w to, co mówię o demonach Pismo Święte, a odrzucam jako nadużycie i zabobon wiarę w czary, amulety i egzorcyzmy. Święty Augustyn²⁸⁴ naucza, że gdy Pismo każe nam opierać się czartom, należy pod tym rozumieć opór przeciw namiętnościom i nienasyconym chuciom. Nie ma nic szkaradniejszego nad te wszystkie gadki diabelskie, którymi kapucyni straszą dewotki.

— Widzę — rzekł pan d'Astarac — że starasz się myśleć jak człowiek rzetelny; równie jak ja nienawidzisz grubych zabobonów mniszych, ale wierzysz przecie w demony; to wyznanie nietrudno mi było z twych własnych ust otrzymać. Wiedz zatem, że demonami są właśnie sylfy i salamandry; ciemnota i strach trwożliwej wyobraźni zeszpeciły ich rysy, ale w rzeczywistości są oni piękni i cnotliwi. Nie myślę zaznajomić cię z salamandrami, bo nie jestem dość pewny czystości twych obyczajów, ale nic nie stoi na przeszkodzie, mości księżu, bym ci ułatwił obcowanie z sylfami, które zamieszkują przestwory powietrzne i zbliżają się do ludzi chętnie, z dobroliwą życzliwością — tak dalece, że nazwano ich nawet geniuszami-pomocnikami. Nie tylko nie chcą naszej zguby, jak to utrzymują teologowie, którzy mają je za diabły, ale przeciwnie, bronią i strzegą swych ziemskich przyjaciół. Mógłbym przytoczyć ci niezliczone na to przykłady, ale zadowolę się jednym tylko zdarzeniem, które słyszałem z ust samej pani marszałkowej de Grancey. Była już niemłoda kobietą i od kilku lat wdową, gdy pewnej nocy w łóżku nawiedził ją sylf i rzekł do niej: „Pani, każ przeszukać garderobę twego zmarłego małżonka; w jednej z kieszeni jego spodni jest list, który, gdyby treść jego znano, zgubiłby pana des Roches, mojego, a i twój przyjaciela. Odszukaj ten list i spal go”.

Marszałkowa obiecała starannie spełnić to polecenie i zapytała sylfa, jak się ma zmarły jej małżonek, ale sylf zniknął i nie odpowiedział ani słowa. Obudziwszy się, zawołała swoje służebne i kazała zobaczyć im, czy są jeszcze jakie ubrania marszałka w garderobie. Odpowiedziały jej, że lokaje wszystko zabrali i sprzedali handlarzowi starzyzny. Pani de Grancey nalegała, aby dobrze przeszukały, czy nie znajdzie się choć jedna para spodni. Przeszukawszy wszystkie kąty, znaleziono staromodne, czarne atlasowe spodnie haftowane i te przyniesiono marszałkowej. Pani de Grancey sięgnąwszy do kieszeni, znalazła list, którego treść aż nadto dostateczna była, by pana de Roches uwięziono jako więźnia stanu; toteż natychmiast go spaliła. Tak szlachcic ten ocalony został przez swych bliskich przyjaciół: sylfa i panią marszałkową.

Proszę cię, mości księżu, czy to są obyczaje diabelskie? Ale opowiem ci jeszcze jeden fakt, który cię bliżej obejdzie i wzruszy serce tak uczonego jak ty człowieka. Wiesz, że w akademii w Dijon dużo było świetnych i uczonych mężów; jeden z nich, żyjący w zeszłym stuleciu, i którego imię nie jest ci zapewne obce, poświęcał noce całe na przygotowanie edycji Pindara²⁸⁵. Jednej nocy, gdy biedził się nad zrozumieniem treści pięciu wierszy, z których tekstem, bardzo zepsutym, rady sobie dać nie mógł, zrozpaczony usnął o świecie. Podczas snu życzliwy mu sylf myślą przeniósł go do Sztokholmu, wprowadził go w pałacu królowej Krystyny²⁸⁶ do biblioteki i zdjawszy z półki rękopis dzieł Pindara, otworzył go na owym trudnym miejscu. Znajdowały się tam dwa czy trzy warianty tych pięciu wierszy, które przez to stały się zupełnie zrozumiałe. W gwałtownej swej radości nasz uczonek obudził się, rozniecił światło krzesiwem²⁸⁷ i ołówkiem nakreślił wiersze tak, jak je zapamiętał; po czym usnął głęboko. Nazajutrz, rozmyślając nad swą przygodą, postanowił rzecz wyjaśnić. Pan Descartes bawił wówczas w Szwecji u królowej, której wykładał filozofię. Nasz pindarysta znalazł go, ale był w stosunkach bliższych z ambasadorem króla szwedzkiego we Francji, panem Chanut. Udał się więc do niego, z prośbą o doręczenie panu Descartes'owi listu, w którym zapytywał go, czy rzeczywiście w bibliotece królowej w Sztokholmie znajduje się manuskrypt Pindara zawierający warianty

²⁸⁴Augustyn z Hippony (354–430) — filozof i teolog chrześcijański, polemista i płodny autor, czołowy autorytet teologii, jeden z tzw. ojców oraz doktorów Kościoła. [przypis edytorski]

²⁸⁵Pindar (ok. 520–ok. 438 p.n.e.) — wybitny poeta grecki, twórca liryki chóralnej, znany gł. z utworów na cześć zwycięzców igrzysk greckich. [przypis edytorski]

²⁸⁶Krystyna z dynastii Wazów (1626–1689) — królowa Szwecji w latach 1632–1654; była mecenasem nauk i sztuk, uczyła się filozofii od Kartezjusza. [przypis edytorski]

²⁸⁷krzesiwo — narzędzie do uzyskiwania iskry przez uderzenie nim w krzemień, zwykle wykonane ze stali; wraz z krzemieniem i łatwopalną hubką służyło do rozniecania ognia. [przypis edytorski]

tych wierszy tak, jak je tu przytaczał. Pan Descartes, człowiek niesłuchanie uprzejmy, zawiadomił akademika z Dijon, że rzeczywiście w bibliotece królewskiej jest manuskrypt z tymi wariantami, które pan Descartes sam na własne oczy tam widział.

Pan d'Astarac przy tym opowiadaniu obierał jabłko, ale skończywszy, spojrział na księdza Coignarda triumfująco, by nacieszyć się wrażeniem swych słów.

Mój drogi mistrz uśmiechnął się mile:

— Ach mój panie — rzekł — próżno, widzę to, ludziłem się nadzieją, że potrafię cię skłonić do porzucenia twych złudzeń. Przyznaję chętnie, że opowiedziałeś nam w tej chwili powiastkę o sylfie bardzo przemyślnym i że pragnąłbym niezmiernie mieć tak miłego sekretarza; pomoc jego przydałaby mi się w dwóch lub trzech bardzo niejasnych ustępach Zosimosa Panopolitańczyka. Czy nie mógłbyś pan nauczyć mnie, jak wzywać w razie potrzeby takiego sylfa bibliotecznego, równie zdolnego jak ów z Dijon?

Pan Astarac odrzekł poważnie:

— Tę tajemnicę chętnie księdzu wyjawię; ale ostrzegam cię, że jeżeli zdradzisz ją profanom, zginiesz niechybnie.

— Bądź o to spokojny — rzekł ksiądz — jestem bardzo ciekaw znać tę piękną tajemnicę, chociaż nie spodziewam się żadnego stąd skutku, nie wierzę bowiem w te sylfy. Naucz więc mnie zatem, jeśli łaska.

— Żądasz tego? — rzekł kabalista. — Wiedz zatem, że gdy zapragniesz pomocy sylfa, musisz tylko wyrzec jedno słowo: *Aglá*. Natychmiast synowie powietrza zlecą ku tobie, ale rozumiesz, mości księżu, że słowo to wymówić należy nie tylko wargami, lecz i sercem z pełną wiarą, która mu całą moc nadaje; bez wiary jest ono tylko próżnym szeptem. Tak jak wymówiłem je teraz, bez rzeczywistego pragnienia duszy, nawet w mych ustach ma ono małą władzę i zaledwie kilku synów światła, usłyszawszy je, przesunęło przez tę komnatę swe lekkie, jasne cienie. Odgadłem raczej, niż ujrzałem ich na tej fircy; zniknęli, zaledwie się ukształtowawszy; ty i twój uczeń nawet nie zauważyliście ich obecności. Ale gdybym wymówił był to magiczne słowo z całym uczuciem, ujrzelibyście ich tu w całym ich blasku, są bowiem przedziwnie piękni. Odkryłem ci tu, księżu Coignard, wielką i pożyteczną tajemnicę i raz jeszcze ostrzegam, byś nie zdradził jej niebacznie. Nie lekceważ sobie przykładu księdza Villars²⁸⁸, który za zdradę tajemnicy zamordowany został przez sylfów na drodze do Lugdunu.

— Na drodze do Lugdunu — rzekł mój dobry mistrz — To jednak dziwne...

Pan d'Astarac porzucił nas niespodzianie, jak zwykle.

— Pójdę — rzekł ksiądz — raz jeszcze do tej wspaniałej biblioteki, gdzie zakosztowałem tak wzniosłych rozkoszy, a której nie zobaczę już więcej! Pamiętaj, Rożenku, byś był o zmierzchu na placyku des Bergères.

Obiecałem stawić się na porę, a teraz zamierzałem zamknąć się w swym pokoju i napisać listy do pana d'Astarac i do swych kochanych rodziców, tłumacząc się z tego, że nie pożegnałem ich przed ucieczką, konieczną po przygodzie, w której większa była moja niedola niż wina.

Idąc przez korytarz do swego pokoju, usłyszałem głośnie chrapanie i odemknąwszy drzwi, ujrzałem pana d'Anquetil śpiącego na mym łóżku, ze szpadą u wezłowania i z rozrzuconą talią kart na kołdrze. W pierwszej chwili miałem ochotę przebić go własną szpadą; ale porzuciłem tę myśl, zaledwie ją powziąwszy, i zostawiłem go śpiącego, ciesząc się chociaż w mym smutku tą myślą, że Jahela, na potrójne spusty zamknięta, nie będzie mogła do niego się wyrwać. Poszedłem pisać swe listy do pokoju mego drogiego mistrza, gdzie spłoszyłem kilka szcurek, które na stoliku nocnym ogryzały jego ulubioną książkę, Boecjusza. Napisałem do pana d'Astarac, do matki i wreszcie tkliwą epistołę²⁸⁹ do Jaheli; odczytałem ją i zrosiłem łzami; marzyłem, że niewierna, odczytując ją, może również zapłaczę.

Po czym znużony i smutny rzuciłem się na siennik mego mistrza i niebawem zapadłem w półsen, w którym przesunęły się widzenia erotyczne i ponure zarazem. Wyrwał mnie

²⁸⁸ Villars, Henri de Montfaucon de (1635–1673) — francuski duchowny i pisarz; autor popularnej, anonimowo wydanej książki *Le comte de Gabalis, ou entretiens sur les sciences secrètes* (Hrabia Kabały, czyli rozmowy o naukach tajemnych), z której Anatole France zaczerpnął wiele szczegółów do swojej powieści; Villars zginął zamordowany na drodze do Lyonu przez swojego kuzyna, z powodu zemsty rodzinnej. [przypis edytorski]

²⁸⁹ epistola (daw.) — list; dziś: długi, nudny list. [przypis edytorski]

z nich milczący Kryton, który wszedł do pokoju i podał mi na tacy bilecik z kilkoma słowami nakreślonymi niewprawnie ołówkiem. Czekano na mnie za pałacem, w pilnej sprawie. Bilecik podpisany był: „brat Anioł, kapucyn niegodny”. Pobiegłem przez park do zielonej furtki i zastałem brata Anioła siedzącego w najwyższym przygnębieniu nad brzegiem rowu. Nie mając siły wstać na moje spotkanie, zwrócił na mnie spojrzenie swych wielkich, psich oczu, pełnych łez; westchnienia podnosiły jego pierś i brodę. Głosem, który zaprawdę litość budził, odezwał się:

— Niestety, panie Jakubie! Godzina próby nadeszła w Babilonie, jak powiedziane jest w Prorokach²⁹⁰. Na skargę pana de la Guéritaude pannę Katarzynę zaprowadzono przez policję do szpitala: najbliższym konwojem mają ją wysłać do Ameryki. Słyszałem o tym od harfiarki Joasi, która w chwili, gdy Katarzyna w furgonie wjeżdżała do szpitala, wychodziła stamtąd — dzięki kunsztowi chirurgów już pono z choroby wyleczona, co daj Boże. Co do Kasi, będzie zesłana na wyspy bez pardonu²⁹¹!

W tym miejscu swego opowiadania brat Anioł zaczął płakać gwałtownie. Staralem się wstrzymać jego łzy słowami współczucia, a potem zapytałem, czy nie ma mi nic więcej do powiedzenia.

— Niestety, panie Jakubie, powiedziałem ci rzecz najważniejszą, reszta snuje się w mej głowie, jak, nie przymierzając, duch Boży nad wodami²⁹². Wszystko mi się pomieszało. Nieszczęście Kasi odjęło mi wszelkie czucie; musiałem jednak mieć ci coś ważnego do zakomunikowania, skoro odważyłem się dojść do progu tego domu, w którym zamieszkuje z różnego rodzaju diabłami; toteż ze strachem wielkim i dopiero zmówiwszy modlitwę do świętego Franciszka, odważyłem się zastukać do furtki i oddać bilecik służącemu. Nie wiem, czy zdołałeś go odczytać, bo nie mam wprawy w kreśleniu liter, papier także niedobry był do pisania, ale nasza święta reguła szczyci się tym, że nie idzie za znikomą próżnością tego wieku. Ach, Kasia w szpitalu! Kasia w Ameryce! Czyż nie pęka z żalu najtwardsze serce? Joasia sama płakała rzewnymi łzami, choć zazdrościła zawsze Kasi, która przewyższa ją młodością i urodą, jak święty Franciszek przewyższa świętością wszystkich innych świętych. Ach, panie Jakubie! Kasia w Ameryce! Jak niezbadane są drogi Opatrzności! Niestety, prawdziwa jest nasza religia święta i miał rację król Dawid²⁹³, że jesteśmy jako trawa na łące²⁹⁴. Kasia jest w szpitalu! Kamień, na którym siedzę, szczęśliwszy ode mnie, choć noszę znamię chrześcijanina, a nawet zakonnika! Kasia w szpitalu!

I zaszlochał znowu. Przeczekałem, aż spłynął potok jego żalu, i zapytałem, czy nic nie wie o mych rodzicach.

— Panie Jakubie — odrzekł — oni to właśnie przysłali mnie do ciebie z ważnym poleceniem. Powiem ci, że nie są tedy zgoła szczęśliwi, a to z winy imćpana Leonarda, który gra i pije cały dzień boży. Wonny dymek pieczonych gęsi i pulard nie wznosi się już ku „Królowej Gęsiej Nóżce”, której postać na szyldzie smutnie chwije się, skrzypiąc na wietrze i wilgoci. Gdzie te czasy, gdy miła woń z gospody twego ojca rozchodziła się w ulicy Świętego Jakuba od „Małego Bachusa” do „Trzech Dziewic”. Ale odkąd wszedł tam ten czarownik, przez czary, które rzucił, wszystko tam marnieje, ludzie i gadzina²⁹⁵. Zemsta Boska okazała się tam widomie, gdy przyjęto tego grubasa księdza Coignarda, a mnie zaś wypędzono. To był początek złego; a pochodzi ono stąd, że pan Coignard pyszni się głębokością swej wiedzy i elegancją swych obyczajów, a pycha jest źródłem wszystkich grzechów. Twoja świętobliwa matka źle zrobiła, że nie zadowolili się nauką, której ci miłosiernie udzielałem i dzięki której byłbyś niechybnie umiał zarządzać kuchnią, szpikować słoniną i nosić chorągiew cechu po chrześcijańskiej śmierci, mszy żałobnej i pogrzebie twego ojca, co niedługo już nastąpi, bo życie wszelkie jest przemijające, a on pije nad miarę.

Łatwo pojąć, że wiadomości te zmartwiły mnie mocno i że łzy moje zmieszały się ze łzami braciszka. Następnie zapytałem go jednak jeszcze o moją drogą matkę.

²⁹⁰w *Prorokach* — tj. w biblijnych księgach proroków. [przypis edytorski]

²⁹¹*pardon* (daw.) — przebaczenie, darowanie winy. [przypis edytorski]

²⁹²*duch Boży nad wodami* — Rdz 1, 2. [przypis edytorski]

²⁹³*Dawid* — postać biblijna, król Izraela, ojciec Salomona; poeta i pieśniarz; biblijna *Księga Psalmów* przypisuje mu autorstwo ponad 70 z nich. [przypis edytorski]

²⁹⁴*jestemy jako trawa na łące* — Ps 103, 15: Dni człowiecze są jako trawa, a jako kwiat polny, tak kwitnie (tłum.: Biblia gdańska). [przypis edytorski]

²⁹⁵*gadzina* (tu gw.) — zwierzęta domowe. [przypis edytorski]

— Bóg — rzekł mi — któremu podobało się zasmucić Rachelę w Ramie²⁹⁶, zesłał matce twej, panie Jakubie, rozmaite trybulacje²⁹⁷ dla jej dobra, a dla ukarania imćpana Leonarda za grzech, jaki popełnił z gniewem, w mej osobie Pana Naszego Jezusa wypędzając z gospody. Za Jego przyczyną większa część klienteli na drób i pasztety przeniosła się do córki pani Quonian, która kręci rożnem na drugim końcu ulicy Świętego Jakuba. Matka twoja widzi ze smutkiem, że błogosławieństwo padło tamtemu domowi kosztem jej domu, który jest teraz tak opuszczony, że mech zarasta niejako jego progi. W tych ciężkich próbach losu podtrzymuje ją najpierw jej dewocja do świętego Franciszka, potem zaś nadzieja świetnego losu dla ciebie, skoro już dziś chodzisz po świecie ze szpadą u boku jak człowiek lepszego stanu. Ale druga ta pociecha znacznie zmalała od chwili, gdy policja przyszła dziś rano do gospody, by zaprowadzić cię na rok lub dwa do Bicêtre, — dla ubijania gliny. Katarzyna wydała cię przed panem de la Guéritaude. Nie trzeba potępiać jej za to, wyznała prawdę, co jako chrześcijanka winna była uczynić. Wskazała na ciebie i na księdza Coignarda jako na współników pana d'Anquetil i wiernie opowiedziała zabójstwa i rzezie tej nocy straszliwej. Niestety! Szczerłość jej na nic się nie przydała i wtrącono ją do szpitala. Strasznie pomyśleć o tym!

Tu braciszek ukrył twarz w dłoniach i zapłakał znowu.

Noc nadeszła, bałem się spóźnić na naznaczone miejsce; wyciągnąwszy więc braciszka z rowu, gdzie siedział był skulony, postawiłem go na nogi i prosiłem, by dalej opowiadał, towarzysząc mi po drodze ku Saint-Germain aż do placu des Bergères. Usłuchał mnie chętnie i krocząc smutnie przy mym boku, prosił, bym mu pomógł rozwikłać splątany tok jego myśli. Przypomniałem mu więc, że stanął na tym, gdy pachołcy przyszli po mnie do gospody.

— Nie znalazłszy cię — ciągnął dalej — chcieli zabrać twego ojca zamiast ciebie, bo imć pan Leonard utrzymywał, że nie wie, gdzie się ukrywasz, matka twoja mówiła to samo i zaklinała się przy tym na wszystkie świętości. Niech jej Bóg to wybaczy, panie Jakubie, bo popełniała oczywiste krzywoprzysięstwo. Pachołcy zaczęli się gniewać, ale twój ojciec zaprowadził ich na wino i przemówił im widać do rozumu, bo rozeszli się po przyjacielsku. Przez ten czas matka twoja pobiegła po mnie pod „Trzy Dziewice”, gdzie kwestowałem stosownie do reguły naszego zakonu. Przysłała mnie do ciebie, abym cię ostrzegł i zalecił ci ucieczkę bez zwłoki, bo policja może wkrótce dowiedzieć się, gdzie mieszkasz.

Słuchając tych smutnych wieści, przyspieszałem kroku i już minęliśmy most do Neuilly; idąc w górę stromym wybrzeżem widzieliśmy już szereg więzów otaczających placyk. Braciszek mówił tymczasem dalej konającym głosem:

— Twoja pani matka zaleciła mi usilnie, bym cię ostrzegł przed tym niebezpieczeństwem i oddała mi dla ciebie mały woreczek, który ukryłem pod habitem. Nie mogę go znaleźć teraz — dodał, obmacując się wszędzie. — I jakże chcesz, bym mógł znaleźć cośkolwiek, gdy straciłem Kasię? Miała ona nabożeństwo dla świętego Franciszka i chętnie dawała jałmużnę; a jednak obeszli się z nią jak z dziewczką uliczną. Ogołą jej głowę i strach pomyśleć, że wyglądać będzie jak te lalki u modystek i że w tym stanie wyślą ją do Ameryki, gdzie może umrzeć z febry²⁹⁸ lub mogą ją pożreć dzicy ludożercy.

Kończył ten dyskurs, wzdychając, gdy weszliśmy wreszcie na placyk. Na lewo ponad podwójnym szeregiem więzów wychylał się kryty dachówką szczyt oberży pod „Czerwonym Koniem” z blokami w oknach na poddaszu; pomiędzy zielenią widać było szeroko otwarte wrota zajezdne. Zwolniłem kroku, a braciszek osunął się pod drzewem.

— Bracie Aniele — rzekłem — mówiłeś o jakimś woreczku, który matka moja poleciła mi doreczyć.

— Prosiła mnie o to rzeczywiście — odrzekł braciszek — ale tak dobrze schowałem ten woreczek, że teraz nie wiem, gdzie go włożyłem. Bądź jednak pewny, panie Jakubie, że mogłem go zgubić tylko ze zbytku ostrożności.

²⁹⁶Bóg (...) któremu podobało się zasmucić Rachelę w Ramie — Jr 31, 15; przywołane w Mt 2, 17–18. [przypis edytorski]

²⁹⁷trybulacja (daw., z łac.) — zmartwienie, niepokój, kłopot. [przypis edytorski]

²⁹⁸febra — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami; dawniej również ogólnie: gorączka, której towarzyszą dreszcze. [przypis edytorski]

Zapewniłem go żywo, że go nie zgubił i że jeżeli nie znajdzie go zaraz, pomogę mu go szukać. Zrozumiał ton mych słów, bo wzdychając, wyciągnął spod habitu mały perkalowy woreczek i z żalem mi go oddał. Znalazłem w nim dukata i medalik Najświętszej Panny Czarnej z Chartres, który ucałowałem ze łzami rozczulenia i skruchy. Tymczasem braciszek ze wszystkich kieszeni wyciągał paczki obrazków kolorowych i modlitw ozdobionych grubymi winietami²⁹⁹ i wybrawszy z nich dwie czy trzy, ofiarował mi je, jako nade wszystko użyteczne i skuteczne, jego zdaniem, dla pielgrzymów, podróżnych i wszelkich osób wiodących życie tułaczne.

— Są one poświęcane — rzekł — i pomagają przeciw śmierci i chorobie tak przez odmawianie, jak i przez dotknięcie lub przyłożenie do ciała. Daję ci je, panie Jakubie, dla miłości Boskiej; pamiętaj dać mi jałmużnę i nie zapomnij, że żebrzę w imię świętego Franciszka; będzie on opiekował się tobą niechybnie, jeżeli wspomóżesz mnie oto, jego najniegodniejszego syna.

Gdy to mówił, ujrzałem w słabym świetle zmierzchu wyjeżdżający z bramy oberży pod „Czerwonym Koniem” czterokonny ekwipaż³⁰⁰; woźnica trząsał z biczem, konie były kopytami o bruk, powóz skręcił na szosę i zatrzymał się tuż przed drzewem, pod którym siedział brat Anioł. Przyjrzałem się bliżej temu ekwipażowi: był to duży powóz o czterech siedzeniach, z oddzielnym małym przedziałem na przodzie. Przyglądałem się tak minutę lub dwie, gdy ujrzałem pana d’Anquetil wchodzącego na wzgórek, Jahelę w kornecie na głowie i z paczkami pod płaszczem, a za nimi księdza Coignarda obarczonego kilku księgami owiniętymi w jakąś starą tezę doktorską. Na ich widok pocztylioni opuścili oba stopnie i piękna moja kochanka, unosząc z obu stron spódnicę, gramoliła się do małego przedziału, podpierana z dołu przez pana d’Anquetil.

Na ten widok zerwałem się i krzyknąłem:

— Stójcie! Stój! Jahelo!

Ale uwodził tym usilniej do przedziału wpychał niewierną, której wdzięczna, krągła postać wkrótce zniknęła zupełnie. Po czym, gotując się iść za nią i stojąc jedną nogą na stopniu, spojrział na mnie zdziwionym wzrokiem.

— Ach, panie Rożenku, chcesz więc zabrać mi wszystkie moje kochanki; Kasie, Jahelę? Czy to zakład?

Nie słyszałem go i dalej wzywałem Jahelę, gdy tymczasem brat Anioł, podniósłszy się spod drzewa, stał przy drzwiczkach i ofiarowywał panu d’Anquetil obrazki św. Rocha³⁰¹, modlitwę do odmawiania podczas kucia koni, modlitwę przeciw gangrenie i żalonym głosem błagał o jałmużnę.

Byłbym tak stał noc całą, wołając Jaheli, gdyby mój drogi mistrz nie był pociągnął mnie i wepchnął do wielkiego pudła powozu, do którego i sam wszedł za mną.

— Zostawmy ich w małym przedziale i jedźmy obaj razem w tym przestronnym pudle. Szukałem cię wszędzie, Rożenku, i — nie chcę ukrywać — bylibyśmy pojechali bez ciebie, gdybym cię nie był ujrzał pod tym drzewem razem z kapucynem. Nie mogliśmy zwlekać dłużej? Pan de la Guéritaude każe nas usilnie poszukiwać, a ma on długą rękę; pożyczycie przecie pieniądze królówi.

Powóz już ruszył, a brat Anioł jeszcze szedł za nim, żebrząc, wyciągając rękę po jakiś datek.

Rzuciłem się na siedzenie powozu.

— Niestety! Zapewniałeś mnie ksiądz przecie, że Jahela zamknięta jest na potrójne spusty.

— Synu — odrzekł mój drogi mistrz — nie trzeba było zbyt ufać temu. Dziewczęta niewiele sobie robią z zazdrośników i ich klódek: gdy drzwi zamknięte, skaczą przez okno. Nie masz pojęcia, Rożenku, dziecko moje, o przebiegłości kobiet. Starożytni przytaczają nam na to przykłady zdumiewające i znajdziesz ich dużo w dziele Apulejusza, gdzie niby sól rozsiane są w opowieści o metamorfozie Luciusa. Ale najwidomiej okazuje się

²⁹⁹winieta — ozdoba graficzna drukowanego tekstu: ornament lub dekoracyjnie ujęta scena figuralna. [przypis edytorski]

³⁰⁰ekwipaż (daw.) — powóz. [przypis edytorski]

³⁰¹Roch, święty (ok. 1295–1327) — pielgrzym, święty katolicki, członek Franciszkańskiego Zakonu Świeckich. [przypis edytorski]

ta przebiegłość w baśni arabskiej, którą pan Galland³⁰² dał poznać Europie i którą ci przytoczę.

Schariar, sultan Tartarii, i brat jego, Schahzenan, przechadzając się pewnego dnia nad brzegiem morza, ujrzeni nagle unoszący się nad wodami czarny słup, który zmierzał ku wybrzeżu. Poznali, że jest to duch najokrutniejszego gatunku: miał on kształt olbrzymia, a na głowie niósł szklaną skrzynię na cztery żelazne zamki zamkniętą. Ten widok zdjął ich takim strachem, że pobiegli ukryć się w gałęziach na pobliskim drzewie. Tymczasem duch wstąpił na wybrzeże i postawił skrzynię u stóp drzewa, na którym byli obaj książęta, po czym położywszy się, usnął niebawem. Nogi jego dochodziły do morza, a tchnienie poruszało ziemię i niebo; gdy tak straszliwy spoczywał, wieko skrzyni podniosło się i wyszła z niej niewiasta majestatycznego wzrostu i skończonej piękności. Podniosła głowę...

W tym miejscu przerwałem to opowiadanie, którego zaledwie słuchałem.

— Ach, księżę — zawołałem — o czymże mówią teraz ze sobą Jahela i pan d'Anquetil, sami w swym przedziale?

— Nie wiem — rzekł mój drogi mistrz — to ich jest sprawa, a nie nasza. Kończmy raczej tę przedowcipną bajkę arabską. Przerwałeś mi niebacznie, Rożenku, w chwili gdy dama ta, podniósłszy głowę, spostrzegła na drzewie ukrytych w gałęziach książąt. Znakami przyzywała ich; dostrzegła, że się wahają, chcąc wprawdzie usłuchać wezwania tak pięknej osoby, ale lękając się zarazem zbliżyć do tak straszego olbrzymia, cichym głosem, lecz żywo zawołała: „Zejdźcie natychmiast, gdyż inaczej obudzę olbrzymia”.

Po jej zdecydowanym i rozkazującym tonie zrozumieli, że nie było to czczą groźbą i że najpewniejszą, a zarazem najprzyjemniejszą rzeczą jest zejść, co też uczynili z wielką ostrożnością, by nie obudzić Demona. Gdy już byli na dole, pani owa wzięła ich obu za ręce i oddaliła się trochę z nimi pomiędzy drzewa, gdzie jasno dała im do zrozumienia, że gotowa jest oddać się natychmiast jednemu i drugiemu. Chętnie zgodzili się zadowolić tę fantazję, a że byli ludźmi odważnymi, nawet obawa nie bardzo zepsuła im rozkosz. Uzyskawszy od nich, czego pragnęła, i zauważywszy, że każdy z nich ma pierścień na palcu, zażądała od nich tych pierścieni, po czym wracając do swej skrzyni, wyciągnęła z niej cały różaniec obrączek, który pokazała książętom: „Wiecie — rzekła — co znaczą te nawleczone pierścienie? Są to pierścienie mężczyzn, którym okazałam tę samą co i wam skłonność. Miałam ich dziewięćdziesiąt osiem, które chowam jako pamiątkę; zażądałam i waszych pierścieni dla tej samej przyczyny i zarazem, by skompletować ich liczbę do setki. Tak więc — dodała — miałam do dnia dzisiejszego stu kochanków, mimo starań i czujności tego szkaradnego olbrzymia, który nie opuszcza mnie nigdy. Zamyka mnie w szklanej skrzyni i przechowuje na dnie morza, a jednak zdradzam go, ile mi się podoba”.

Widzisz z tej mądrej przypowieści, że kobiety są równie przebiegłe na Wschodzie, gdzie sązymane w niewoli, jak i w Europie, gdzie są wolne. Gdy która coś postanowi, żaden mąż, kochanek, ojciec, wuj czy opiekun temu przeszkodzić nie potrafi; nie powinieś się więc dziwić, że oszukać tego starego Mordechaja było igraszką dla Jaheli, która w swym przewrotnym umyśle łączy zęczność naszych gamratek ze zdradliwością wschodnią. Przypuszczam, że jest równie namiętna w rozkoszy, jak chciwa złota i srebra, godna rasy Oliby i Aoliby³⁰³. Piękność jej cierpka i podniecająca działa nawet na mnie, chociaż wiek, poważne rozmyślenia i troski burzliwego żywota znacznie przytępiły we mnie odczucie rozkoszy cielesnych. Sądząc ze zmartwienia, jakie ci sprawia jej udana przygoda z panem d'Anquetil, wnoszę, że żywiej ode mnie odczuwasz żądło pożądania i że trawi cię zazdrość; dlatego potępiasz czyn, rzeczywiście niestateczny i przeciwny popolitym konwenansom, ale sam w sobie obojętny i niewiele przyczyniający się do zła powszechnego. W duszy potępiasz mnie, że wziąłem w tym udział, i wyobrażasz sobie, że bronisz sprawy dobrych obyczajów, gdy właściwie idziesz tylko za głosem swych namiętności. Tak przed sobą samym, mój synu, upiększamy nasze najgorsze popędy. Moralność ludzka innego nie ma źródła. Przyznaj jednak, że szkoda byłoby zostawić dłużej tę ładną dziewczynę temu staremu dziwakowi; pan d'Anquetil młody i piękny, lepiej przystoi tej miłej osobce; toteż pogódź się z tym, czego zmienić nie możesz. Przychodzi ci to trudno,

Zdrada, Zazdrość

³⁰²Galland, Antoine (1646–1715) — francuski orientalista i archeolog, autor pierwszego europejskiego przekładu *Księgi tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

³⁰³Oliba i Aoliba, popr.: *Obola i Oboliba* (bibl.) — rozpustne, nierządne kobiety symbolizujące królestwa Judy i Izraela w *Księdze Ezechiela* (Ez 23). [przypis edytorski]

ale stokroć gorzej byłoby, gdyby ci zabrano twoją własną kochankę; wtedy czułbyś, jak żelazne kleszcze szarpiały twoje ciało, a myśl twoja pełna byłaby ohydnych a dokładnych obrazów. Niechaj ten wzgląd, synu, ułagodzi twój smutek obecny. Zresztą życie pełne jest trudów i smutków, toteż słuszne jest mieć nadzieję szczęśliwości wiekuistej.

Tak mówił mój drogi mistrz, podczas gdy po obydwóch stronach uciekały od nas wiązki drogi królewskiej. Nie powiedziałem mu jednak, że chcąc ukoić mój smutek, drażnił go jeszcze, i że nie wiedząc o tym, kładł palec do rany.

Pierwszy nasz popas był w Juvisy, gdzie stanęliśmy rankiem, podczas ulewnego deszczu. Wszedłszy do zajazdu, zastałem Jahelę przed kominem, gdzie pięć czy sześć kurcząt piekło się na rożnie; grzała sobie stopy i pokazywała skraj jedwabnych pończoszek, co było dla mnie powodem zmieszania, bo wyobrażałem sobie zamkniętą w nich łydkę z plamką na skórze, puszką i innymi szczegółami. Pan d'Anquetil stał oparty o poręcz jej krzesła, nazywał ją duszą, życiem swoim i pytał troskliwie, czy nie jest głodna, co gdy potwierdziła, wyszedł, by wydać rozkazy. Zostawszy sam z niewierną, spojrzałem jej w oczy, w których odbijał się promień ogniska.

— Ach, Jahelo — zawołałem — jestem bardzo nieszczęśliwy! Zdradziłaś mnie i nie kochasz mnie już.

— Kto ci powiedział, że cię nie kocham? — odrzekła, zwracając na mnie swe aksamiadne spojrzenie pełne ognia.

— Niestety, panno Jahelo, wynika to dość jasno z twego postępowania.

— Jak to! Jakubie, żałujesz mi wyprawy z holenderskiego płótna i srebrnych naczyń, które mi ten szlachcic obiecał? Żądam od ciebie trochę dyskrecji, aż do czasu, gdy dopełni swych obietnic, a zobaczysz, że będę dla ciebie tym, czym byłam w Croix des Sablons.

— Niestety, Jahelo! A tymczasem rywal mój będzie z twych łask korzystał.

— Czuję — odrzekła — że nie będzie to nic wielkiego i że nic nie zatrze wspomnienia, które mi pozostawiłeś. Nie martw się tymi bagatelkami; sam sobie szkodzisz, że nadajesz im jakąś wartość, której nie mają.

— Ach! — zawołałem. — Sama myśl o tym jest mi okropna i wątpię, czy przeżyję tę zdradę!

Spojrzała na mnie z szyderczą sympatią i uśmiechając się, rzekła:

— Wierz mi, mój drogi, że ani ja, ani ty nie umrzemy z tego. Pomyśl, Jakubie, że potrzebna mi bielizna i naczynia. Bądź ostrożny, nie zdradzaj uczuć, które tobą miotają, a obiecuję ci wynagrodzić później twą dyskrecję.

Ta nadzieja ułagodziła trochę mój smutek dojmujący. Gospodyni nakryła stół obrusem pachnącym lawendą, postawiła cynowe talerze, kubki i dzbany. Jeść mi się chciało bardzo, toteż gdy pan d'Anquetil, wróciwszy do izby z księdzem, prosił, byśmy z nim jedli, chętnie zająłem miejsce między Jahelą a moim drogim mistrzem.

Z obawy przed pogonią, uporawszy się z trzema omletami i dwoma kurczętami, pojechaliśmy dalej, postanowiliśmy w tak nagłym niebezpieczeństwie nie popasać aż w Sens, gdzie zdecydowaliśmy się zanoćować.

Jak najokropniej wyobrażałem sobie tę noc, w której miała się dopełnić zdrada Jaheli! Tą myślą, łatwo zrozumiałą, tak byłem wstrząśnięty, że nie zwracałem prawie uwagi na dyskursy mego mistrza, któremu najbliższe zdarzenia podróży dawały asumpt³⁰⁴ do cudownych rozmyślań. Obawy moje nie były płonne. Przybywszy do Sens, stanęliśmy w nędznej oberży pod „Zbrojnym Mężem” i zaledwie spożyliśmy wieczerzę, pan d'Anquetil wprowadził Jahelę do swego pokoju, który sąsiadował z moim; toteż ani chwili spoczynku nie zakosztowałem tej nocy. Wstałem nade dniem i porzucając ten nienawistny pokój, poszedłem usiąść we wrotach z pocztylionami, zapijającymi wino i przekomarzającymi się z pokojówkami: siedziałem tak kilka godzin, pogrążony w swym smutku. Powóz już stał zaprzężony, gdy w bramie ukazała się Jahela, okutana od zimna w czarny płaszcz. Nie mogąc znieść jej widoku, odwróciłem głowę, ale ona podeszła i usiadłszy przy mnie na przyzbie³⁰⁵, persadowała mi łagodnie, bym się nie martwił, bo to, co sobie tak strasznie wyobrażam, jest w rzeczywistości drobnostką, że trzeba się z tym pogodzić, że jestem chyba zbyt rozumny, aby pragnąć kobiety wyłącznie dla siebie, bo w takim razie

³⁰⁴asumpt (przest.) — powód, zachęta. [przypis edytorski]

³⁰⁵przyzbie — ława usypana z ziemi i gliny wzdłuż zewnętrznej ściany domu; dawniej ludzie na wsi zwykli odpoczywać, siedząc na przyzbie i mając za oparcie ścianę chałupy. [przypis edytorski]

musiałbym chyba wziąć gospozię głupią i brzydką, a nawet wtedy też jeszcze wielkie jest ryzyko.

— Muszę cię porzucić — dodała — słyszę kroki pana d'Anquetil na schodach.

I po tych słowach pocałowała mnie w same usta, umyślnie przedłużając na pół zmieszaną z trwogą rozkosz tego pocałunku. Obok nas schody skrzybiały pod butami jej kochanka i psotnica ryzykowała w pocałunku swe płótno, kiesę i naczynia srebrne.

Pocztylion opuścił stopień małego przedziału, ale pan d'Anquetil zapytał Jaheli, czy nie byłoby przyjemniej, byśmy jechali wszyscy razem w jednym przedziale... Nie uszło mej uwagi, że był to pierwszy skutek jego bliskiego stosunku z Jahelą i że zupełne zadowolenie żądzy czyniło mu już pobyt sam na sam z nią rzeczą nie tak miłą. Mój drogi mistrz nie omieszkiał pożyczyc z piwnicy pod „Zbrojnym Mężem” i umieścić pod siedzeniem pięć czy sześć butelek białego wina, które popijaliśmy dla skrócenia czasu i nudów podróży.

W południe przybyliśmy do dość ładnego miasteczka Joigny. Przewidując, że nie wystarczy pieniędzy do końca podróży, a nie chcąc bez ostatecznej potrzeby znieść, by pan d'Anquetil płacił za mnie, postanowiłem sprzedać pierścień i medalion, który miałem od matki, i w tym celu przebiegłem miasto, poszukując złotnika. Znalazłem na rynku naprzeciw kościoła złotnika, który miał tam sklep pod „Dobrą Wiarą” i handlował łańcuszkami i krzyżykami. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem tam przed ladą mego drogiego mistrza. Z papierowej tutki wyjmował właśnie pięć czy sześć małych diamencików — poznałem zaraz, że były to te same, które widzieliśmy dawniej u pana d'Astarac — i zapytywał złotnika, jaką cenę dałby za te kamienie.

Złotnik przyjrzał im się i przez okulary spoglądając na księdza spode łba, rzekł:

— Panie — rzekł — te kamienie byłyby dużo warte, gdyby były prawdziwe. Są one jednak fałszywe, nie trzeba nawet kamienia probierczego, by się o tym przekonać; są to szklane paciorki dobre do zabawy dla dzieci, a najwyżej można z nich zrobić koronę Matki Boskiej w jakimś wiejskim kościółku, gdzie może jeszcze niezłe by wyglądały.

Na te słowa ksiądz Coignard odebrał swoje diamenty i szybko wyszedł ze sklepu. Odwracając się tyłem od lady, spostrzegł mnie i zdawał się dość zmieszany tym spotkaniem. W kilka chwil załatwiłem swój interes i zastawszy jeszcze mego mistrza na progu, przedstawiłem mu, jaką krzywdę mógł zrobić sobie i swym towarzyszom, pochwycawszy na drogę te kamienie, które przecie na nieszczęście mogły być prawdziwe.

— Mój synu — odpowiedział — Bóg, by mnie zachować od winy, sprawił, że wartość tych kamieni była tylko złudą i fałszem. Przyznaję, że źle zrobiłem, zabierając je chyłkiem. Widzisz, żem przejęty żalem z tego powodu. W księdze mojego życia jest to kartka, którą rad bym wyrwać — co prawda, wraz z kilku innymi, które nie są tak czyste i nieskalane, jakby być powinny. Czuję żywo całą naganność mego postępowania w tym względzie. Ale człowiek nie powinien zbyt być przygnębiony, gdy w błąd popadnie; i tu jest oto chwila właściwa, bym wraz z znakomitym mędrcom powiedział sobie: „Zważ, jak często w najbliższych okolicznościach słaba i krucha natura twoja wystawiona jest na próbę; niemniej jednak te i inne próby są dla twego zbawienia potrzebne. Gdy często smucisz się i kuszony jesteś, a nawet gdy ulegniesz pokusie, nie wszystko jeszcze stracone dla ciebie. Człowiek jesteś, a nie Bóg, istota z krwi i ciała — nie zaś anioł. Jakże mógłbyś stałe przebywać w cnocie, kiedy nie mogli dokazać tego aniołowie w niebie, ani pierwszy człowiek w raju?”³⁰⁶. Oto, Rożenku, mój synu, prawdziwa mowa i jedyne rozmyślanie duchowne stosowne dla obecnego stanu mej duszy. Ale czy nie byłaby pora po tej nieszczęsnej sprawie, o której już wspominać nie chcę, wrócić do oberży i wypić parę butelek tutejszego wina w towarzystwie pocztylionów, ludzi prostych i łatwych w obejściu?

Byłem tego samego zdania; powróciliśmy zatem do oberży, gdzie zastaliśmy pana d'Anquetil, który też właśnie z miasta powrócił i przyniósł z sobą karty. Zaraz też zasiadł do pikiety z moim mistrzem drogim, a gdy znowu ruszyliśmy w drogę, grali, nie zważając na nic, w powozie. Ta namiętność do gry, pochłaniając mego rywala, dawała mi znów pewną swobodę wobec Jaheli, która, nieco opuszczona, chętniej teraz rozmawiała ze mną. W tych rozmowach była dla mnie gorzka rozkosz. Wyrzucałem jej zdradę i niewierność, wylewałem mój smutek w skargach to miękkich, to znów gwałtownych.

³⁰⁶Zważ, jak często w najbliższych okolicznościach słaba i krucha natura twoja wystawiona jest na próbę; niemniej jednak te i inne próby są dla twego zbawienia potrzebne... — Thomas à Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa* LVII, cytaty swobodny, z opuszczzeniami. [przypis edytorski]

— Niestety, Jahelo — mówiłem — żywe wspomnienie naszych pieścizot, które było moją najwyższą rozkoszą, stało się dla mnie okrutną męką, gdy myślę, że jesteś dziś dla innego tym, czym niedawno byłaś dla mnie.

Odrzekła na to:

— Kobieta nie jest taka sama dla każdego.

A gdy mimo tego skarżyłem się i narzekałem dalej, dodała:

— Wierzę, że sprawiam ci przykrość, ale to nie powód, abys mnie sto razy na dzień zabijał twymi niepotrzebnymi jękami.

Pan d'Anquetil, gdy przegrywał, bywał w złym humorze i bez powodu molestował Jahelę, która zniecierpliwiona łatwo, odgrażała się, że napisze do swego wuja Mozaidesa, by przybył ją odebrać. Sprzeczkę z początku napelniały mnie radosną otuchą; wkrótce po kilku razach przekonałem się jednak, że żadnego z nich nie osiągnę zysku, bo kończyły się zawsze zgodą gwałtowną, wybuchającą w namiętnych pocałunkach, szepcach i westchnieniach lubieżnych.

Pan d'Anquetil niezbyt chętnie mnie znosił, miał za to żywe przywiązanie do mego drogiego mistrza, który zasługiwał na nie przez swój równy i pogodny humor oraz niezrównaną wytworność umysłu. Grali i pili razem, z co dzień wzrastającą sympatią. Położywszy deseczkę na kolanach, przebijali kartami dzień cały, śmiejąc się, żartując, przekomarzając się. A chociaż zdarzało się, że ciskali sobie karty w twarz przy akompaniamencie wymysłów, od których zarumienilby się tragarz z portu św. Mikołaja lub przewoźnik z Mail; chociaż pan d'Anquetil klął się na Boga, Matkę Boską i wszystkich świętych, że nawet na stryczku nie widział gorszego łotra jak ksiądz Coignard — czuć było, że kochał go bardzo, i przyjemnie było słyszeć, gdy w chwilę potem wołał, śmiejąc się wesoło:

— Księżu dobrodzieju, będziesz moim jałmużnikiem i partnerem do pikiety. Musisz także brać udział w polowaniach; poszukam ci konia dość grubego, aby mógł cię unieść, i sprawię ci kostium łowiecki taki, jak miał biskup z Uzès. Czas zresztą wyekwipować cię na nowo, bo nie wymawiając, spodnie twoje ledwie trzymają się ciała.

Jahela także ulegała ogólnemu nieprzepartemu pociągowi sympatii dla mego drogiego mistrza. Postarała się też, o ile można było, zaradzić brakom jego toalety; pocięła na strzepy jedną ze swych sukien, by zreperować sutannę i pluderki naszego czcigodnego przyjaciela i dała mu na sporządzenie żabotu chusteczkę koronkową.

Mój drogi mistrz przyjmował te dary z godnością pełną wdzięku. Zauważyłem już kilkakrotnie, że względem kobiet był bardzo elegancki. Okazywał im zajęcie, nie będąc przy tym niedyskretnym, chwalił je ze znajomością znawcy, dawał im rady doświadczone, zlewał na nie niezmierną pobłażliwość serca, gotowego przebaczyć wszelkie słabości, a nie zaniedbywał jednak nigdy okazji, by wymownie przedstawić im prawdy wielkie i pożyteczne.

Czwartego dnia przybyliśmy do Montbard i zatrzymaliśmy się na wzgórkach, skąd na małej przestrzeni widać było całe miasto, jakby z najdrobniejszymi szczegółami namalowane przez zręcznego malarza.

— Patrzcie — rzekł mój drogi mistrz — na te mury, wieże, dzwonnice, dachy, wynurzające się z zieleni; oto jest miasto! Mniejsza o jego imię i dzieje; i tak warto się nad tym zastanowić, bo zaiste miasto — najgodniejszy to na świecie przedmiot rozmyślań. Rzeczywiście, wszelkie miasto musi być podstawą do spekulacji filozoficznej. Pocztynioni powiedzieli nam: oto Montbard. Nie znam tej miejscowości, ale nie lękam się twierdzić przez analogię, że mieszkający tu ludzie, nasi bliźni, są egoiści, nikczemni, fałszywi, łakomi, rozpustni. Inaczej nie byliby ludźmi i nie pochodziliby od tego Adama, czcigodnego i nędznego zarazem, w którym wszystkie popędy nasze, aż do najnikczemniejszych nawet, biorą wzniosły swój początek. Co do jednej tylko kwestii wahać by się można: do czego więcej rwą się ci ludzie, do odżywiania się czy też do rozmnażania? Chociaż i tu wątpliwość niemożliwa; myśliciel rozumnie osądzi, że głód jest dla tych nieszczęśliwych potrzebą bardziej naglącą niż miłość. W pierwszej młodości myślałem, że zwierzę ludzkie nade wszystko ma popęd do stosunku płciowego; ale było to złudzenie; jasna jest, że ludzie więcej dbać muszą o zachowanie niż o rozdawanie życia. Głód więc jest osią ludzkości; a że zresztą nie ma się o co sprzeczać, powiem, jeśli chcecie, że życie śmiertelników dwa ma bieguny: głód i miłość. Tu otwórzcie na słowa moje słuch i duszę. Te wstrętne

Kobieta

Głód, Miłość, Kondycja
ludzka

istoty, skłonne jedynie do wzajemnego pożerania się lub do wściekłych uścisków, żyją razem, poddane prawom, które zakazują im właśnie zaspokajać obie te podstawowe ich żądze. Te naiwne zwierzęta, stawszy się obywatelami, chętnie odmawiają sobie niejednego, szanują dobro cudze, co jest rzeczą nadzwyczajną, skoro zważymy ich przyrodzoną chciwość, oraz przestrzegają wstydlivosti, co jest ogromną, a powszechną hipokryzją, polega zaś ona, by mówić rzadko o tym, o czym myśli się ciągle.

Bo, szczerze mówiąc, panowie, gdy widzimy kobietę, nie na piękność jej duszy, nie na wdzięk jej umysłu zwracamy naszą uwagę; rozmawiając z nią, baczymy przede wszystkim na jej kształty przyrodzone. I to miłe stworzenie tak dobrze wie o tym, że pięknie ubierając się, po to tylko osłania swe wdzięki, aby przez sztukę uczynić je jeszcze ponętniejszymi. Panna Jahela, choć nie jest istotą dziką, też byłaby zrozpaczona, gdyby sztuka o tyle przeważała u niej nad przyrodą, że nie można by już zauważyć jej pełnych piersi i krągłych bioder. I tak, jak bądź będziemy się zapatrywali na ludzi, od upadku Adama widzimy, że są zgłodniali i niewstrzemięźliwi. Jakże więc się dzieje, że skupieni po miastach, nakładają sobie prywacje³⁰⁷ wszelkiego rodzaju i poddają się zasadom sprzecznym z ich zepsuciem przyrodzonym? Powiedziano, że ludzie widzieli w tym swą korzyść i że czuli, iż za cenę tego przymusu okupują bezpieczeństwo swoje. Nie można jednak przypisywać im tyle zdolności rozumowania; a co więcej, rozumowanie to jest błędne, boć nonsensem jest ratować życie kosztem tego, co stanowi życia tego rację bytu i wartość. Powiedziano też, że strach utrzymuje ludzi w posłuszeństwie, i prawda to, że więzienie, szubienica i koła katowskie świetnie zapewniają poszanowanie prawu. Ale nie ulega wątpliwości, że i przesąd dopomaga prawom, inaczej bowiem niepodobna zrozumieć, jak przymus mógłby być stać się tak powszechny. Określa się prawo jako konieczny stosunek rzeczy, a widzieliśmy oto, że stosunek ten jest właśnie spreczny z naturą, bynajmniej zaś z natury samej nie wynika. Toteż, panowie, źródła i pochodzenia praw szukam nie w człowieku, lecz poza człowiekiem, i skłonny jestem wierzyć, że obce są one człowiekowi i pochodzą od Boga, który swymi tajemniczymi rękami utworzył nie tylko ziemię i wody, rośliny i zwierzęta, ale też narody i społeczeństwa. Wierzyć chcę, że prawa pochodzą prosto od Niego, z Jego pierwszego dekalogu i że są nieludzkie, dlatego, że są Boskie. Rozumie się, że mam na myśli tylko samą zasadę i główną treść prawa i że nie wchodzę w śmieszną różnorodność i pożałowania godne formuły kodeksów prawnych. Szczegóły obyczajów i przepisów piśmiennych czy ustnych są dziełem danym przez człowieka i tą częścią praw należy słusznie pogardzać.

Ale przyznajmy śmiało, że społeczność jest ustanowiona przez Boga. Stąd wynika, że wszelki rząd winien być teokratyczny. Książdz, sławny przez udział, jaki miał w deklaracji 1682 roku³⁰⁸, biskup Bossuet, miał rację, gdy chciał podług Pisma nakreślić zasady polityki. Że mu się to marnie udało, należy jedynie winić słabość jego umysłu, który trzymał się bezmyślnie przykładów czerpanych z *Ksiąg Sędziów* i *Ksiąg Królów*, nie bacząc na to, że Bóg kiedy coś robi na świecie, stosuje się do czasu i przestrzeni i umie zachować różnicę między Francuzami a Izraelitami. Społeczność, poddana znowu swej prawdziwej i jedynie prawej zwierzchności, nie będzie społecznością Jozuego, Saula, Dawida³⁰⁹, lecz raczej społecznością wedle Ewangelii, społecznością biednych, gdzie robotnik i prostytutka nie będą więcej poniżeni przez faryzeusza. Jakże należałoby wysnuć z Pisma politykę piękniejszą i świętszą niż ta, którą zeń wydobył ten kamienisty i bezpłodny pan Bossuet! Co za gród, bardziej harmonijny niż ten, który wzniosły dźwięki liry Orfeuszowej³¹⁰, zbudować będzie można na przepisach Jezusa Chrystusa w dniu, gdy jego kapłani, niezaprzędani już cesarzom i królom, staną jako prawdziwi książęta ludu!

³⁰⁷prywacja (z łac.; przest.) — obywanie się bez czegoś; wyrzeczenie. [przypis edytorski]

³⁰⁸deklaracja 1682 roku — sporządzona przez Jacquesa-Bénigne Bossueta, przyjęta na nadzwyczajnym zgromadzeniu duchowieństwa królestwa Francji, zwołanym przez Ludwika XIV podczas konfliktu z papieżem Innocentym XI; złożona z czterech artykułów deklaracja o „wolnościach Kościoła gallikańskiego” ustalała granice władzy papieskiej, stwierdzała m.in. że papież ma jedynie władzę duchową, książęta i królowie nie podlegają mu w sprawach świeckich, oraz, że władza papieska jest ograniczona władzą soborów. [przypis edytorski]

³⁰⁹Jozue, Saul, Dawid — postacie z ksiąg Biblii hebrajskiej: Jozue: następca Mojżesza, po jego śmierci dowodził najazdem Izraelitów na Kanaan; Saul: pierwszy król Izraela; Dawid: król Izraela, zdobywca Jerozolimy, ojciec Salomona. [przypis edytorski]

³¹⁰Orfeusz (mit. gr.) — niezrównany poeta i pieśniarz, jego muzyka miała wzruszać nawet zwierzęta i uspokajać wzburzone morze; gród, bardziej harmonijny niż ten, który wzniosły dźwięki liry Orfeuszowej: pomyłone postacie mitycznych muzyków, gdyż tym, który wg legendy zbudował mury Teb, grając na lutni w taki sposób, że

Piękno, Kobieta, Ciało,
Dusza

Prawo, Bóg

Gdy staliśmy tak około mego mistrza, słuchając jego dyskursu, otoczyła nas niepostrzeżenie gromada żebraków, którzy kulejąc, drżąc, śliniąc się, wstrząsając okaleczającymi członkami i wiszącymi wolami, ukazując obrzydliwe i cuchnące rany, domagali się jałmużny wśród natrętnych błogosławień. Rzucili się chciwie na kilka groszaków, które im cisnął pan d'Anquetil, i wszyscy razem tarzali się w pyle.

— Żal bierze patrzeć na tych nieszczęśliwych — westchnęła Jahela.

— Litość ta — rzekł ksiądz Coignard — stroi waćpannę jak klejnoty; westchnienie zdobi twą pierś, podnosząc ją tchnieniem, którym każdy z nas pragnąłby odetchnąć na twych ustach. A jednak, wybac mi, ta tkliwość, choć interesowna, niemniej przeto wzruszająca — tak wstrząsa cię do głębi przez porównanie tych nieszczęśliwych z sobą samą, przez instynktowną myśl, że twoje ciało młode jest w łączności z ich ciałami okaleczającymi i ranami pokrytymi. Bo też zaprawdę łączność taka istnieje rzeczywiście, jako że jesteś również jak oni członkiem Pana naszego Jezusa Chrystusa. Z tego wynika, że patrząc na zgniliznę tych nędzarzy, musisz myśleć zarazem, iż ta ohyda może być i twoim udziałem; ci nieszczęśliwi stanęli przed tobą jako prorocy, zwiastujący, że na tym świecie udziałem rodu Adamowego jest choroba i śmierć. Dlatego to westchnęłaś, Jahelo. W rzeczywistości nie mamy zgoła podstawy uważać tych żebraków, pokrytych wrzodami i robactwem, za ludzi bardziej nieszczęśliwych od królów i królowych. Nie można nawet powiedzieć, że są biedniejsi, bo tej na przykład kalece, która podniosła z pyłu i z taką rozkoszą do serca przyciska zdobyty pieniążek, wydaje się on cenniejszy niż sznur pereł dla kochanki księcia biskupa z Kolonii lub Strasburga. Gdy się zastanowimy dobrze, co jest naszym istotnym duchowym celem, to powinniśmy zazdrościć raczej losu tego nieszczęśliwego kaleki, na rękach oto pełzającego ku tobie, niż losu cesarza lub króla Francji. Równy on im w obliczu Boga, a w sercu ma może spokój, którego nie mają tamci dwaj, oraz ma nieocenione skarby niewinności. Zbierz jednak, panno Jahelo, mocno swe spódnice, bo inaczej oblezie cię jeszcze robactwo, którym, jak widzę, nędzarz ten jest pokryty.

Tak mówił mój drogi mistrz, a my nie mogliśmy dość się go nasłuchać.

Trzy mile za Montbard zerwały się lejce, pocztylionom zabrakło sznura do zreperowania ich, a że daleko było do jakiegokolwiek siedziby ludzkiej, znaleźliśmy się na dłuższy czas na drodze w położeniu bez ratunku. Pan d'Anquetil i mój drogi mistrz skracali sobie nudy tego przymusowego spoczynku, grając w karty z tą klótliwą sympatią, która stała się już dla nich przyzwyczajeniem. Podczas gdy młody szlachcic dziwił się, że partner jego wyświeca³¹¹ króla częściej, niż pozwala rachunek prawdopodobieństwa, Jahela, dość wzruszona, odwołała mnie na bok i zapytała, czy nie widzę na zakręcie drogi powozu, równie jak nasz zatrzymanego w biegu. Rzeczywiście, patrząc w kierunku, jaki mi ukazywała, ujrzałem coś niby gotycki kocz, śmiesznego i dziwaczного kształtu.

— Ten powóz — dodała Jahela — zatrzymał się równocześnie z naszym, a zatem śledzi nas. Ciekawam zobaczyć twarze tych, co nim jadą; niepokoi mnie to bardzo. Buda tego powozu, wąska i wysoka, czyni go zupełnie podobnym do powozu, w którym mój wuj wywiózł mnie w dzieciństwie do Paryża po zabiciu Portugalczyka. Zdaje mi się, że powóz ów przechowywano w remizie zamku des Sablons; ten tu przypomina mi go zupełnie, a jest to wspomnienie straszne, bo widziałam w nim mego wuja piniącego się z wściekłości. Nie możesz wystawić sobie, Jakubie, do jakiego stopnia jest on gwałtowny; doświadczyłam tego na sobie w dniu naszego wyjazdu. Zamknął mnie w mym pokoju, najstraszniejszymi wymysłami obrzucając księdza Coignarda. Drzę na samą myśl, w jaki stan musiał wprowadzić go widok mego pustego pokoju i prześcieradeł, po których spuściłam się z okna, aby przybyć do ciebie i z tobą umknąć.

— Jahelo! Z panem d'Anquetil, chciałaś powiedzieć.

— Ach, jakiś ty skrupulatny! Czyż nie pojechaliśmy wszyscy razem? Ale ten powóz mnie niepokoi, tak bowiem podobny jest do powozu mego wuja.

— Bądź pewna, Jahelo, że jest to powóz jakiegoś poczciwego Burgundczyka, który jedzie za swymi interesami i bynajmniej nie troszczy się o nas.

— Nie wiemy tego — rzekła Jahela. — Lękam się naprawdę.

posłuszne mu kamienie przemieściły się na właściwe miejsca, był *Amfion*, syn Zeusa i Antiope, królowej Teb. [przypis edytorski]

³¹¹wyświecać kartę (daw.) — odkrywać i kłaść na stół jako kartę atutową w rozgrywce. [przypis edytorski]

— Nie możesz przecie obawiać się, aby wuj twój, taki zgrzybiały, pędził po rozstajnych drogach w pogoni za tobą. Zajęty on tylko kabałą i marzeniami hebraicznymi.

— Nie znasz go — odrzekła, wzdychając — zajęty jest tylko mną. Kocha mnie tyleż, ile nienawidzi wszystko inne na świecie, kocha mnie w sposób...

— W sposób?...

— Na wszelkie sposoby. Kocha mnie, i tyle.

— Jahelo, drzę, słuchając cię. Sprawiedliwe nieba! Miałżeby Mozaides kochać cię nie z tą bezinteresownością tak piękną dla starca i tak stosowną dla wuja? Powiedz wszystko, Jahelo!

— Mówisz już to lepiej ode mnie, Jakubie.

— Doprawdy, tracę rozum. W jego wieku, czyż to możliwe?

— Mój kochany, masz ciało białe i duszę taką; wszystko cię dziwi. Ta naiwność stanowi twój wdzięk, oszukać cię może, kto tylko zechce. Powiedziano ci i ty uwierzyłeś zaraz, że Mozaides ma sto trzydzieści lat, gdy w rzeczywistości ma mało co nad sześćdziesiąt; że przebywał w wielkiej piramidzie, gdy w rzeczywistości miał bank w Lizbonie. I ode mnie tylko zależało, by uchodzić w twych oczach za salamandrę.

— Co, Jahelo, więc to prawda? Twój wuj...

— Tak, i tu jest tajemnica jego zazdrości. Uważa on księdza Coignarda za swego rywala. Instynktownie nienawidził go od pierwszego ujrzenia; ale gorzej jest jeszcze, odkąd, usłyszawszy coś z rozmowy mojej z księdzem, nienawidzi go jako sprawcę mej ucieczki i porwania. Bo przecie zostałam porwana, mój kochany, i to powinno mi nadawać pewną wartość w twych oczach. Och, byłam bardzo niewdzięczna, żem opuściła tak dobrego wuja; ale nie mogłam już znieść niewoli, w której mnie trzymał. Przy tym miałam niepowściągniętą ochotę być bogatą. Wszak prawda — bardzo naturalna to rzecz pożądać bogactw, gdy się jest młodą i piękną; mamy jedno tylko życie, i to krótkie, a mnie nie uczono pięknych bajek o nieśmiertelności duszy.

— Niestety, Jahelo — zawołałem z uniesieniem miłosnym, które we mnie nawet jej chłód wywoływać umiał — Niestety, tam w zamku des Sablons na niczym nie zbywało mi przy tobie. Czegoż tobie potrzeba było jeszcze, by być szczęśliwą?!

Dała mi znak, że pan d'Anquetil nas obserwuje. Lejce tymczasem zreperowano i pojazd nasz wkrótce znów toczył się między winnicami.

Zatrzymaliśmy się w Nuits dla wieczery i noclegu. Mój drogi mistrz wypił pół tuzina butelek miejscowego wina, co cudownie podnieciło jego wymowę; pan d'Anquetil w picu dotrzymywał mu placu, ale zmierzyć się z nim w rozmowie — o tym ani mógł marzyć. O ile kuchnia w Nuits była dobra, o tyle nocleg kiepski. Ksiądz Coignard, nie rozbierając się, spał w izbie przy sieni pod schodami, razem z oberżystą i jego żoną, gdzie mało nie podusili się we troje. Pan d'Anquetil z Jahelą zajęli pokój na pierwszym piętrze, którego pułap obwieszony był pościami słoniny i sznurami cebuli, ja zaś po drabinie dostałem się na strych i wyciągnąłem się tam na słomie. Już po pierwszym śnie rozbudził mnie promień księżycy, który przez szpary dachu wśliznął mi się do oczu i roztworzył mi powieki właśnie w samą porę, bym ujrział Jahelę w czepku nocnym, wchodzącą po szczeblach drabiny na mój strych. Krzyknąłem zdumiony, lecz ona położyła mi palec na ustach.

— Pst — rzekła — Maurycy spał się jak parobek lub markiz i śpi snem Noego³¹².

— Co za Maurycy? — zapytałem przecierając oczy.

— D'Anquetil, któżże to ma być?

— Nie wiedziałem, że na imię mu Maurycy.

— Ja sama niedawno wiem o tym; ale mniejsza o to.

— Masz rację, Jahelo, istotnie mniejsza o to.

Była w koszuli i światło księżycy jak mleko zlewało się po jej obnażonych ramionach. Wsunęła się do mnie na posłanie i w słodkim szepcie nazywała mnie to najczulszymi, to znów najbardziej rozpasanymi imionami. Potem zamilkła i zaczęła okrywać mnie pocałunkami tak, jak to ona jedna tylko umiała, pocałunkami, wobec których pieszczoty innych kobiet wydają się zupełnie cklive.

Księżyc, Ciało, Kobieta

³¹²Śpi snem Noego — biblijny patriarcha Noe upił się winem i zasnął nagi w swoim namiocie (Rdz 9, 21 i nast.). [przypis edytorski]

Przymusowe milczenie wzmagało szalone napięcie mych nerwów; zdziwienie, radość z odwetu i może jakaś zazdrość przewrotna podniecały mą żądzę. Prężąca się krzepkość jej ciała, miękkie a gwałtowne ruchy, którymi mnie obejmowała, domagały się, obiecywały i zasługiwały na najnamiętniejsze pieszczoty. Tej nocy zazналиśmy rozkoszy, której bezmiar ograniczył już z bólem.

Zszedłszy z rana na podwórze oberży, zastałem tam pana d'Anquetil; wydał mi się mniej wstrętny, od chwili gdy go oszukiwać zaczął. On też ze swej strony zdawał się mieć dla mnie więcej przychylności niż na początku podróży. Przemówił do mnie z sympatią, życzliwością i zaufaniem, wymawiając mi tylko, że mało względów i uwagi³¹³ okazuję Jaheli i nie spieszę wypełniać jej drobnych życzeń, jak to powinien dla kobiety czynić każdy dobrze wychowany człowiek.

— Jahela skarży się na twój brak uprzejmości. Bacz na to, kochany Rożenku; przykro by mi było, gdyby zaszły nieporozumienia między nią a tobą. To ładna dziewczyna i kocha mnie niewymownie.

Powóz toczył się od godziny, gdy Jahela, wychyliwszy głowę przez okno w drzwiczkach, rzekła do mnie:

— Tamten kocz znów się ukazał. Chciałabym rozpoznać twarze dwóch siedzących tam mężczyzn; ale to mi się nie udaje.

Odpowiedziałem jej, że z takiej odległości i w mgłę ranej nic widzieć nie można.

— Mam wzrok tak bystry, że poznałabym ich doskonale mimo mgły i odległości, gdyby to były naprawdę twarze; ale — dodała — to nie są twarze.

— A cóż może to być innego? — zawołałem, wybuchając śmiechem.

Teraz ona zapytała, co za cudacka myśl przyszła mi do głowy, żem się tak głupio roześmiał.

— To nie są twarze, lecz maski; ci dwaj ludzie gonią nas i są zamaskowani.

Uprowadziłem pana d'Anquetil, że zdaje się, jakoby nas ścigano w tamtej szkaradnej kolasie, ale pan d'Anquetil prosił tylko, by mu dać spokój.

— Gdyby trop w trop goniło nas sto tysięcy diabłów, jeszcze bym się tym nie zajmował, mam bowiem dosyć do roboty, gdy muszę uważać na tego wisielca księdza, który tak subtelnie wyświeca atuty i kradnie mi wszystkie pieniądze. Nie zadziwiłoby mnie nawet wcale, Rożenku, że tą kareta zagadujesz mnie tu w ciągu gry, bo jesteś w zмовie z tym starym nicponiem. Czyż każda kareta, co toczy się po drodze, zaraz ci popłochu napędzać musi?

Jahela szepnęła mi po cichu:

— Przepowiadam ci, Jakubie, że z tej karety spotka nas nieszczęście. Mam takie przeczucie, a przeczucia moje nie zawiodły mnie nigdy.

— Czy chcesz mi wmówić, że masz dar proroczy?

— Mam go — odrzekła poważnie.

— Co, teraz jesteś prorokinią? — zawołałem, uśmiechając się. — To dziwne!

— Kpisz sobie — rzekła — i wątpisz o tym, boś nigdy prorokini nie widział tak z bliska. Jakżeż twoim zdaniem mają one wyglądać?

— Myślałem, że wróżki muszą być dziewicami.

— To nie jest konieczne — odrzekła stanowczo.

Kareta naszych prześladowców zniknęła na zakręcie drogi, ale niepokój Jaheli udzielił się panu d'Anquetil, choć się do tego nie przyznawał. Pocztylionom kazał mknąć galopem, obiecując im suty napiwek. Ze zbytniego starania o pospiech każdemu z nich dał po butelce wina, które ksiądz wziął do powozu na zapas.

Pocztylioni zaraz przydali koniom zapału, jakim natchnęło ich wino.

— Bądź spokojna, Jahelo — rzekł d'Anquetil — jedziemy takim pędem, że ta stara kolasa, zaprzężona w konie z Apokalipsy³¹⁴, nigdy w świecie nas nie schwyty.

— Pędzimy jak koty po zarzewiu — rzekł ksiądz.

— Byle tylko tak najdłużej — rzekła Jahela.

³¹³atencja (przestarz., z łac.) — poważanie, szacunek, względy. [przypis edytorski]

³¹⁴konie z Apokalipsy — cztery konie przerażających jeźdźców z biblijnej księgi *Objawienia św. Jana (Apokalipsy św. Jana)*, interpretowanych jako symbole katastrof, jakie poprzedzą koniec świata. [przypis edytorski]

Po prawej ręce winnice umykały nam z oczu, na lewo płynęła leniwie Saona. Przelecieliśmy jak huragan mimo mostu Tournus. Miasto wznosiło się na przeciwnym brzegu, na wzgórzu, którego szczyt uwieńczony był niby twierdza murami pysznego opactwa.

— Oto — rzekł ksiądz — jedno z tych niezliczonych opactw benedyktyńskich, rozsianych jak klejnoty na szatach Kościoła galijskiego. Gdyby spodobało się Bogu, by los mój był zgodny z moim charakterem, życie moje nieznanne, wesołe i ciche upłynęłoby w jednym z takich domów. Za naukę wiary, za obyczaje, nad wszystkie reguły zakonne najwięcej cenię benedyktynów. Mają oni wspaniałe biblioteki. Szczęśliwy, kto nosi habit w ich świętym zakonie. Czy to skutkiem niewygód obecnych, gdy trzęsę się w tym powozie, który niechybnie przewróci się do któregoś z wybojów tak licznych na tej drodze, czy to skutkiem wieku mego, który jest już wiekiem spokoju i poważnych rozmyślań, żywiej niż kiedykolwiek pragnę zasiąść za stołem jakiej szacownej, cichej biblioteki, zapelnionej licznymi i doborowymi księgami. Wolę towarzystwo ich nad towarzystwo ludzkie i najdroższym mym życzeniem jest, by w pracy umysłowej czekać chwili, w której Bóg mnie odwoła z tej ziemi. Pisałbym dzieła historyczne, najchętniej dzieje Rzymian u schyłku rzeczypospolitej, bo pełne są one wielkich czynów i wzniosłych przykładów. Gorliwość swą dzieliłbym między Cyserona, świętego Jana Chryzostoma i Boecjusza, a życie moje, skromne a owocne, podobne by było do sadu starca z Tarentu³¹⁵. Próbowałem różnych rodzajów życia i uważam, że najlepiej jest oddawać się nauce, obserwować w spokoju zmienność losów ludzkich, a krótkość dni naszych przedłużać obrazem państw i wieków minionych; ale do tego potrzeba ciągłej wytrwałości, a tego najwięcej brakowało mi w życiu. Jeżeli, jak się spodziewam, uda mi się wymknąć z matni, w której jestem obecnie, postaram się znaleźć zacne i pewne schronienie, w jakim uczonym opactwie, gdzie piśmiennictwo jest w poszanowaniu. Już widzę, jak będę zażywał tam uroczystego spokoju wiedzy. Gdyby jeszcze chciał mi wyświadczyć jaką przysługę jeden z tych sylfów-pomocników, o których mówił ten stary wariat d'Astarac i które zjawić się mają za wymówieniem kabalistycznego słowa „Aglá”...

W chwili, gdy mój mistrz drogi wymawiał to słowo, gwałtowne wstrząśnienie rzuciło nas wszystkich czworo wśród deszczu rozbitych szyb w jeden kłęb w takim zamieszaniu, że ja nagle uczułem się oślepiiony i przyduszony pod spódnicami Jaheli, mój drogi mistrz zdławionym głosem skarżył się, że mu pan d'Anquetil szablą resztę zębów wybije, a nad moją głową Jahela krzyczała, aż roznosiło się po wszystkich burgundzkich dolinach. Tymczasem pan d'Anquetil stylem z kordegardy³¹⁶ obiecywał pocztylionom, że każe ich obwiesić. Gdy zdołałem wreszcie wygrzebać się, on zdążył już wyskoczyć przez rozbite okno. Ja i mój dobry mistrz wyszliśmy za nim tą samą drogą, po czym we trzech z przewróconego pudła wyciągnęliśmy Jahelę. Nic jej się złego nie stało, zaraz też poczęła poprawiać sobie włosy.

— Dzięki Bogu — rzekł mój mistrz — skończyło się na jednym zębie, a i ten nie był biały i bez skazy. Czas, nadwierzając go, ułatwił jego zgubę.

Pan d'Anquetil, rozstawiwszy nogi i podparłszy się za boki, przyglądał się przewróconej karcie.

— Gałgany — rzekł — ładnie ją urządzili; gdy podniesiemy konie, rozleci się na drzazgi. Patrz, księżę dobrodzieju, dobra tylko na porąbanie.

Konie, leżące jedne na drugich, biły się kopytami. W beładnej kupie końskich zadów, grzyw, ud i dymiących brzuchów widać było wystające nogi jednego z pocztylionów, który spadł głęboko między konie. Drugi pluł krwią w rowie, do którego się wywrócił. Pan d'Anquetil zaś krzyczał na nich:

— Kpy³¹⁷! Doprawdy nie wiem, czemu was nie nadziałem jeszcze na szpadę!

— Panie — rzekł ksiądz — czy nie należałoby naprzód wyciągnąć tego biednego człowieka spomiędzy koni, pod którymi jest zagrzeban?

Wzięliśmy się wszyscy do roboty i gdyśmy podnieśli i odpręgli konie, poznaliśmy rozmiar szkody. Okazało się, że jeden resor pękł, koło się złamało i jeden koń okulał.

³¹⁵starzec z Tarentu — postać z poematu rzymskiego poety Wergiliusza pt. *Georgiki* (IV 125–148), poświęconego pracom rolniczym: mieszkający w Tarence starzec, który na kawalku opuszczonej, mało urodzajnej ziemi urządził ogród. [przypis edytorski]

³¹⁶kordegarda — wartownia, pomieszczenie dla strażników wojskowych. [przypis edytorski]

³¹⁷kiep (przestarz.) — głupiec, dureń. [przypis edytorski]

— Sprowadźcie kołodzieja — rzekł pan d'Anquetil — i niech wszystko będzie mi gotowe za godzinę.

— Nie ma tu kołodzieja — odpowiedzieli pocztylioni.

— Kowala.

— Nie ma kowala.

— Siodlarza.

— Nie ma siodlarza.

Rozejrzeliśmy się wokoło. Ku stronie zachodniej aż do końca widnokregu rozciągały się spokojnymi liniami wzgórza winnic; na jednym wzgórzu obok dzwonnicy unosił się dym nad dachem. Po przeciwnej stronie spowita w lekką mgłę płynęła Saona; cienie topoli wydłużały się na wybrzeżu, ostry krzyk ptaka rozdzierał czasem rozległą ciszę.

— Gdzież jesteśmy? — spytał pan d'Anquetil.

— O dobre dwie mile od Tournus — odrzekł, spluwając krwią, pocztylion, który leżał był w rowie — a przynajmniej cztery od Mâcon.

I ukazując ręką na dach dymiący na wzgórkach, dodał:

— Ta wioska na górze to zapewne Vallars, ale niewiele tam znajdziemy.

— Niech was siarczyste pioruny! — zaklął pan d'Anquetil.

Podczas gdy konie, stojąc razem, gryzły sobie karki, zbliżyliśmy się do powozu, smutnie na bok wywróconego.

Pocztylion, którego wyciągnęliśmy spomiędzy koni, rzekł:

— Co do resoru, to można temu zaradzić, podpierając budę grubym kawałem drewna, będzie tylko bardziej trzęsło. Ale co zrobić ze złamanym kołem? A najgorsze, że kapelusz mój wpadł tam pod karetę.

— Pluję na twój kapelusz — rzekł pan d'Anquetil.

— Wasza wielmożność nie wie pewnie, że był zupełnie nowy — odrzekł pocztylion.

— I szyby rozbite — westchnęła Jahela, siedząca na mantelzaku³¹⁸ na brzegu szosy.

— Gdybyż tylko szyby — rzekł mój drogi mistrz — można by na to poradzić, spuszczać firanki, ale butelki są zapewne w tym samym stanie co szyby. Muszę przekonać się o tym, jak tylko podniosą powóz. Również niepokoi mnie los Boecjusza i kilku innych dobrych dzieł, które zostawiłem pod siedzeniem.

— Mniejsza o to, mam karty w kieszeni — przerwał pan d'Anquetil. — Ale czy nie będziemy wieszczali?

— Myślałem o tym — rzekł ksiądz. — Nie darmo dał Bóg na użytek ludzi zwierzęta zamieszkujące ziemię, niebo i wodę. Jestem doskonałym rybołowcą; czyhanie na ryby z wędką w rękę szczególnie jest właściwe dla mego umysłu refleksyjnego i Orna³¹⁹ widziała mnie nieraz, jakem trzymał wędkę zdradziecką i rozmyślałem nad prawdami wiekuistymi. Nie troszczcie się o wieszczkę. Jeżeli panna Jahela zechce dać mi jedną ze szpilek podpinających jej stroiki, zrobię z niej natychmiast haczyk i pójdę łowić do rzeki. Śmiałem ufać, że przed nocą przyniosę wam kilka karpia, które usmażymy na ogniu z gałęzi.

— Widzę — rzekła Jahela — że wracamy do stanu dzikości. Ale nie mogę dać ci szpilki, księżu kochany, jeżeli nie dasz mi czegoś w zamian; inaczej przyjaźń nasza mogłaby się zerwać, a tego nie chcę.

— Zrobię więc korzystną zamianę — rzekł mój drogi mistrz — zapłacę ci za szpilkę pocałunkiem, moja panno.

I biorąc szpilkę, przymknął ustami do twarzy Jaheli z grzecznością, wdziękiem i przyzwyczajoną niezrównaną.

Straciwszy dużo czasu, powzięliśmy wreszcie postanowienie najrozsądniejsze. Dużego pocztyliona, który przestał tymczasem pluć krwią, posłaliśmy do Tournus konno, by sprowadził kołodzieja, gdy tymczasem towarzysz jego rozpalać miał ognisko w ustronnym jakim miejscu. Powietrze ochłodziło bowiem i wiatr się zrywał.

Przy drodze, może o sto kroków przed miejscem, gdzie spotkała nas katastrofa, była góra kamienna, w której podnóżu zostały w kilku miejscach pieczary po kamieniołomach. W jednym z takich zagłębień postanowiliśmy czekać powrotu pocztyliona posłanego do Tournus. Drugi pocztylion przywiązał pozostałe nasze trzy konie — z których jeden był

³¹⁸mantelzak (z niem.) — tłumok, toból podróżny. [przypis edytorski]

³¹⁹Orna — dziś popr. Orne: rzeka w Normandii, w póln.-zach. Francji. [przypis edytorski]

kulawy — do pnia drzewa, niedaleko od naszej jaskini, a ksiądz, któremu udało się sprowadzić wędkę z gałązki wierzby, ze sznurka, korka i szpilki, poszedł łowić do rzeki, zarówno by zaspokoić swą skłonność do filozoficznych rozmyślań jak i po to, by przynieść nam ryby. Pan d'Anquetil pozostawszy w pieczarze ze mną i z Jahelą, zaproponował grę w lombra. Jest to gra na trzy osoby i do tego hiszpańska, a więc, jak rzekł nam, stosowna dla awanturników takich, jakimi my byliśmy obecnie. I rzeczywiście nasza mała gromadka, o zmroku, wśród złomów kamieni na tej bezludnej drodze, godnie mogła figurować w przygodach Don Kichota³²⁰, którymi zaczytują się służące. Graliśmy więc w lombra; gra ta wymaga skupienia, ja myliłem się ciągle i mój niecierpliwy partner już zaczynał się sierznić, gdy w blasku ogniska ukazała się szlachetna i uśmiechnięta twarz mego drogiego mistrza. Z węzełka zrobionego z chustki ksiądz Coignard wyjął cztery czy pięć niewielkich rybek, które nożem swoim, z wizerunkiem zmarłego króla na triumfalnej kolumnie, tak zręcznie rozplątał i czyścił tak wprawnie, jak gdyby całe życie był strawił między rybaczkami na targu. Tak bowiem celował zawsze w najdrobniejszych, jak i w największych swoich przedsięwzięciach. Układając zdobycz swą w popiele, mówił:

— Muszę wam powiedzieć, że gdym szedł w dół rzeki, szukając dogodnego miejsca do połowu, ujrzałem ową apokaliptyczną kolasę, która tak przeraża pannę Jahelę. Zatrzymała się w pewnej odległości za naszą karetą; musieliście ją widzieć tu, jak przejeżdżała, podczas gdy ja łowiłem w rzece; duszę panny Jaheli musiało to nieco uspokoić.

— Nie widzieliśmy jej — odrzekła Jahela.

— Musiała zatem udać się w dalszą drogę, gdy już było zupełnie ciemno; ale przynajmniej słyszeliście jej turkot?

— Nie słyszeliśmy go — rzekła Jahela.

— A więc — rzekł ksiądz — ślepa to noc i głucha, bo nie do uwierzenia jest, by karetą z całymi kołami i zdrowymi końmi pozostała na drodze. Cóż by tam robić miała?

— Tak, cóż by tam robiła? — rzekła Jahela.

— Wieczera ta — rzekł mój drogi mistrz — prostotą swą przypomina te wieczery z Biblii, gdy pobożny podróżnik nad brzegiem rzeki wraz z aniołem spożywał ryby Tygrysu³²¹. Ale brak nam chleba, soli i wina. Spróbuję, czy nie uda się wyciągnąć znajdujących się w karcie zapasów, może też szczęśliwym trafem ocalała jaka butelka; zdarza się czasem, że szkło nie rozbija się od ciosu, który skruszył żelazo. Rożenku, mój synu, daj mi proszę cię twoje krzesiwko, a panna Jahela niech nie zapomni odwrócić ryby na drugą stronę. Wróć zaraz.

Ksiądz Coignard poszedł. Kroki jego, trochę ciężkie, powoli przygłuchły na drodze i wkrótce ucichły zupełnie.

— Noc ta przypomina mi noc przed bitwą pod Parmą — rzekł pan d'Anquetil. — Wiadomo wam, że służyłem pod Villarsem i walczyłem w wojnie sukcesyjnej. Byłem na rekonesansie. Nie widzieliśmy nic. W rekonesansach poznaje się spryt wojenny. Na rozpoznanie pozycji nieprzyjaciela posyła się ludzi, którzy nic nie widziawszy i niczego się nie dowiedziawszy, wracają do obozu. Ale po bitwie robi się o tym raporty i tu to triumfują taktycy. Tak więc o dziewiątej wieczorem posłano mnie na zwiady z dwunastu towarzyszami....

I jął nam opowiadać o wojnie sukcesyjnej i o miłostkach swych we Włoszech. Opowiadanie jego trwało dobrze z kwadrans, gdy przerwał je, wołając:

— Ten wisielec ksiądz nie wraca! Założę się, że wypija tam całe wino, które jeszcze ocalało.

Pomyślałem, że kto wie, czy mój drogi mistrz może sam dać sobie radę, i wstałem, by mu iść na pomoc. Noc była bezksiężycowa i podczas gdy niebo skrzyło się od gwiazd, na ziemi ciemność była taka, że oczy moje, blaskiem ogniska oślepione, przeniknąć jej nie mogły.

Zaledwie po drodze ciemnej i ledwie widocznej przeszedłem jakie pięćdziesiąt kroków, usłyszałem przed sobą krzyk straszny, jak gdyby nie z piersi ludzkiej, krzyk inny od

³²⁰ *Don Kichot* — błędny rycerz, tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616). [przypis edytorski]

³²¹ *wieczery z Biblii, gdy pobożny podróżnik nad brzegiem rzeki wraz z aniołem spożywał ryby Tygrysu* — młody Tobiasz w biblijnej *Księdze Tobiasza* (Tb 6, 1–5). [przypis edytorski]

wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszałem, krzyk, od którego przebiegł mnie dreszcz zgrozy. Pobiegłem w kierunku, skąd dochodziło to wołanie śmiertelnej rozpacz, ale strach i ciemność paraliżowały me kroki. Doszedłem wreszcie do miejsca, gdzie przewrócony nasz powóz leżał bezkształtny i, zda się, jakby powiększony jeszcze przez ciemność. Ujrzałem tam mego drogiego mistrza siedzącego nad rowem, zgiętego wpół; twarzy jego nie mogłem widzieć w mroku. Drżąc, zapytałem go:

— Co księdzu jest? Dlaczego krzyknąłeś?

— Tak, dlaczego krzyknąłem? — rzekł głosem zmienionym, głosem dla mnie no wym. — Nie wiedziałem, żem krzyknął. Rożenku, nie widziałeś tu nikogo? Jakiś człowiek pchnął mnie w cieniu dosyć silnie, uderzył mnie pięścią w kark.

— Chodź, podnieś się, mój dobry mistrzu — rzekłem.

Uniósł się, ale znów ciężko opadł na ziemię. Usiłowałem go podnieść, a dotknąwszy jego piersi dłońmi, uczułem, że jest mokra.

— Krwią broczysz?

— Czyż tak? Jestem człowiekiem umarłym, zabił mnie. Myślałem z początku, że to tylko silne uderzenie, ale to rana, z której czuję, że się nie wyleczę.

— Kto cię ugodził, drogi panie?

— To ów Żyd. Nie widziałem go, ale wiem, że to on. Jakże mogę wiedzieć, że to on, chociaż go nie widziałem? Ileż to dziwnych rzeczy, nie do uwierzenia, nieprawda, Rożenku? Mam w ustach smak śmierci, którego nie można określić... Tak miało być, mój Boże! Ale dlaczego tu raczej, a nie gdzie indziej. Oto tajemnica. *Adiutorium nostrum in nomine Domini... Domine, exaudi orationem meam...*³²²

Modlił się z cicha czas jakiś, po czym:

— Rożenku, mój synu — rzekł — weź te dwie butelki, które wyciągnąłem z pudła i postawiłem tu obok. Nie mogę więcej... Rożenku, jak ci się zdaje, gdzie jest rana? Najwięcej boli mnie w karku, zdaje mi się, że życie spływa mi wzdłuż łydek. Mroczy mnie.

Szepcząc te słowa, zemdlał z wolna na mych rękach. Chciałem unieść go, ale nie starczyło mi sił i tylko rozciągnąłem go na drodze. Rozpiąłem koszulę i znalazłem na piersi ranę, małą i słabo krwawiącą. Rozerwałem swe mankiety i przykryłem strzępami ranę. Zarazem wołałem, krzyczałem o pomoc. Wkrótce usłyszałem, że spieszą mi z pomocą od strony Tournus, i poznałem, że zbliżył się pan d'Astarac.

Tak byłem przybity bólem, że oto mistrz mój najdroższy umiera na mych rękach, iż to niespodziane spotkanie nie zadziwiło mnie nawet.

— Co to, mój synu? — zapytał alchemik.

— Przyjdź mi na pomoc, panie! — odrzekłem. — Ksiądz Coignard umiera, Mozaides go zabił.

— Prawda — rzekł pan d'Astarac — że Mozaides w starożytnej kolonie gonił aż tu swą siostrzenicę i że ja towarzyszyłem mu, mój synu, chcąc cię nakłonić, byś na nowo objął u mnie obowiązki twoje. Od wczoraj dość blisko dopędzaliśmy waszą karetę, która niedawno, jak widzieliśmy, przewróciła się do rowu. W tej samej chwili Mozaides wyszedł z kolony i nie wiem, czy poszedł przejść się trochę, czy skorzystał z władzy, którą posiada, by stać się niewidzialnym, dość że nie widziałem go więcej. Możliwe, iż ukazał się już swej siostrzenicy, by ją przekląć, jak to było jego zamiarem. Ale nie on zabił księdza Coignarda. To elfy, mój synu, zabiły twego mistrza, by go ukarać, że zdradził ich tajemnice. Rzecz to absolutnie pewna.

— Ach, panie — zawołałem — wszystko jedno, czy zrobił to Żyd, czy elfy, trzeba go ratować!

— Nie wszystko jedno, mój synu, wręcz przeciwnie — rzekł pan d'Astarac. — Gdyby go ugodziła ręka ludzka, łatwo by mi było uleczyć za pomocą mych czarów; gdy tymczasem, skoro ściągnął na siebie gniew elfów, nie ujdzie ich zemsty niechybnej.

Gdy kończył te słowa, pan d'Anquetil i Jahela, zwabieni mymi krzykami, już się zbliżali wraz z pocztylionem, który niósł przed nimi latarnię.

— Co — zawołała Jahela — pan Coignard zemdlał?

³²²*Adiutorium nostrum in nomine Domini...* (łac.) — Wspomożenie nasze w imieniu Pana... Panie, wysłuchaj modlitwy mojej (fragm. tekstu mszy katolickiej w rycie rzymskim). [przypis edytorski]

Ukląkszy przy nim, uniosła mu głowę i dała mu wachać sole trzeźwiące.

— Jahelo — rzekłem — jesteś powodem jego zguby. Śmierć jego jest zemstą za twe porwanie. To Mozaides go zabił.

Klęcząc nad mym mistrzem drogim, podniosła twarz bladą ze zgrozy i błyszczącą łzami.

— Czy sądzisz — rzekła — że to tak łatwo być piękną dziewczyną i nie sprawiać nieszczęść?

— Niestety — odrzekłem — to, co mówisz, jest aż nadto prawdziwe. Ale straciliśmy oto najlepszego z ludzi.

W tej chwili ksiądz Coignard westchnął głęboko, otworzył oczy zbielejące, zażądał swego Boecjusza, po czym znów omdlał.

Pocztalion radził, by zanieść rannego do Vallars, wioski leżącej na wzgórzu o jakie pół mili od szosy.

— Pójdę — rzekł — po najspokojniejszego z naszych koni. Przywiążemy doń tego biednego pana i powieziemy go stępa³²³ do wsi. Zdaje mi się, że z nim musi być niedobrze. Wygląda zupełnie jak ów kurier, którego zabito w jesieni, na tej samej drodze, o cztery staje³²⁴ dalej, koło Senecy, gdzie mieszka moja narzeczona. Biedaczysko trzepał powieką i przewracał oczami jak ladacznica, prosząc łaski panów. Wasz ksiądz robił to samo, gdy mu panna swój flakon przystawiła do nosa. To zły znak dla rannego; co do dziewcząt, te nie umierają od przewracania oczami. Wielmożni panowie wiedzą o tym dobrze. Inaczej ginie człowiek od rany, a inaczej, dzięki Bogu, gubi się dziewczka; ale oko robią takie same... Poczekajcie tu panowie, idę po konia.

Oko

— Zabawny chłop — rzekł pan d'Anquetil — ze swą historią o przewracaniu oczami. Widziałem we Włoszech żołnierzy, którzy umierali ze sztywnym wzrokiem i oczyma wylazącymi z głowy. Nawet w stanie wojskowym, gdzie akuratność posunięta jest do ostatecznych granic, nie ma przepisu, jak umierać z ran. Ale w braku innej, godniejszej osoby, zechciej ty, Rożenku, przedstawić mnie temu czarnemu szlachcicowi z brylantowymi guzami na ubraniu. Jest to, jak domyślam się, pan d'Astarac.

Śmierć

— Ach, panie — odrzekłem — niech ci się zdaje, że cię już przedstawiłem. Teraz doprawdy mogę myśleć tylko o mym drogim mistrzu.

— Niech i tak będzie — rzekł pan d'Anquetil. I zbliżając się do pana d'Astarac: — Panie, zabrałem ci kochankę. Gotów jestem dać ci satysfakcję.

— Panie — odrzekł pan d'Astarac — nie mam, dzięki Bogu, stosunku z żadną kobietą i nie wiem, o co ci chodzi.

W tej chwili pocztalion wrócił z koniem; mój drogi mistrz tymczasem przyszedł był trochę do siebie. We czterech podnieśliśmy go i z wielkim trudem umieścili i przywiązali na koniu, po czym wolno puściliśmy się w drogę. Ja podtrzymywałem księdza Coignarda z jednej, pan d'Anquetil — z drugiej strony, pocztalion wiodł konia za uzdę i świecił latarnią, Jahela, płacząc, szła za nami. Pan d'Astarac powrócił do swojej kolasy. Szliśmy wolniutko i wszystko dobrze było, póki byliśmy na szosie, ale gdy trzeba było wspinać się po wąskiej ścieżce wśród winnic, ksiądz Coignard zsuwał się za każdym poruszeniem konia, stracił resztę sił i zemdlął na nowo. Osądziliśmy, że lepiej będzie zdjąć go z siodła i zanieść na rękach. Pocztalion chwycił go pod pachy, ja zaś ująłem za nogi. Piąć się w górę było ciężko i kilka razy z moim żywym krzyżem o mało nie upadłem na kamienie. Wreszcie droga stała się mniej stroma; zapuściliśmy się już na wzgórzu na ścieżkę z dwóch stron płotami okoloną i niebawem ujrzelśmy na lewo pierwsze dachy Vallars. Ten widok dodał nam otuchy; złożyliśmy na ziemi nasze smutne brzemię, by odetchnąć trochę; po czym, podjąwszy znów nasz ciężar, dotarliśmy do wsi.

Różowy brzask unosił się na wschodzie ponad widnokręgiem. Na bladym niebie gwiazda poranna lśniła równie jasno i spokojnie jak księżyc, którego wąski róg bladł na zachodzie. Ptactwo poczynało śpiewać; mój drogi mistrz westchnął.

³²³stępa — powolny, regularny chód koński; zwykle w zwrocie: jechać stępa albo jechać stępem. [przypis edytorski]

³²⁴staje a. stajanie — staropolska miara długości drogi, odległość przebyta przez konia pomiędzy dwoma odpoczynkami. [przypis edytorski]

Jahela biegła przed nami, pukając do domów, by znaleźć felczera³²⁵ i łóżko. Z kobiałkami i koszami ludzie szli do winnic; jeden z nich objaśnił Jaheli, że u Gaularda na rynku jest zajazd dla ludzi i koni.

— Co do felczera Coqueberta — dodał — oto stoi on sam pod blachami swego szyldu; wychodzi z domu, by iść do winnicy.

Ów felczer był to człowiek małego wzrostu, bardzo uprzejmy; oznajmił nam, że wydawszy niedawno córkę za mąż, może mieć w domu łóżko dla rannego. Zaraz też kazał żonie, tęgiej jejmości³²⁶ w białym czepcu i filcowym kapeluszu na głowie, rozesać świeże prześcieradło na łóżko w pokoju na dole. Jejmość pomogła nam rozebrać i ułożyć księdza Coignarda, po czym wyszła po proboszcza.

Tymczasem pan Coquebert przyglądał się ranie.

— Widzisz pan — rzekłem — rana jest mała i krwawi niewiele.

— To niedobrze i nie podoba mi się wcale, mój paniczu — odrzekł. — Lubię rany szerokie i mocno krwawiące.

— Widzę — rzekł pan d'Anquetil — że jak na golibrodę i cyrulika³²⁷ wiejskiego nieźle znasz się na rzeczy. Nie ma nic gorszego niż te małe, głębokie rany, które na pozór zdają się drobnostką. Co innego na przykład dobra szrama na twarzy; patrzeć na nią przyjemnie i goi się wnet. Wiedz, waszeć, że ten ranny jest moim jałmużnikiem i partnerem do pikiety. Czy potrafisz mi go na nogi postawić, mimo, że z miny zdajesz się raczej zdatny tylko do dawania lewatyw?

— Do usług pańskich — odrzekł, kłaniając się cyrulik-golibroda. Ale składam także złamane członki i opatruję rany. Zbadam zaraz tę ranę.

— Tylko zrób to zaraz, mój panie — rzekłem.

— Cierpliwości! Trzeba naprzód ją obmyć; czekam teraz, aż się woda zagrzeje w kociołku.

Mój drogi mistrz, który był trochę przyszedł do siebie, rzekł wolno, dość silnym głosem:

— Z lampą w ręku zwiedzi zaułki jerozolimskie i co było ukryte w ciemności, wprowadzi na światłość dzienną.

— Co mówisz, mój mistrzu drogi?

— Zostaw mnie, synu — odrzekł — mówię o rzeczach stosownych do stanu, w jakim jestem.

— Woda już ciepła — rzekł felczer — trzymaj pan miednicę przy łóżku, obmyję ranę.

Podczas gdy felczer gąbką w ciepłej wodzie maczaną obmywał pierś mego drogiego mistrza, wszedł do pokoju proboszcz, sprowadzony przez panią Coquebertową. Miał on koszyk i nożyczki w ręku.

— To więc jest ten biedak — rzekł. — Szedłem już do swych winnic, ale naprzód należy mieć pieczę o winnicy Chrystusowej. Synu mój — dodał, zbliżając się do łóżka — ofiaruj Bogu twoje cierpienie, może nie jest ono tak wielkie, jak się zdaje; ale zresztą trzeba się zgodzić z wolą Boską.

I zwracając się do felczera, zapytał:

— Panie Coquebert, czy tu czas pili, czy też mogę jeszcze iść do swej zagrody? Białe mogłoby czekać; nie szkodzi, gdyby pleśń zaczęła, a nawet przez trochę deszczu wino byłoby smaczniejsze i obfitsze; ale czerwone trzeba zebrać zaraz.

— Ma słuszność ksiądz proboszcz — odrzekł Coquebert — w mej winnicy grona poczynają już pleśnieć; na to ocalały od słońca, by zginąć od deszczu!

— Niestety — rzekł proboszcz — wilgoć i susza to dwaj wrogowie winnic.

— Święta prawda — odparł cyrulik — ale muszę zbadać chorego.

To mówiąc, wetknął siłą palec w ranę.

— Ach! Oprawco! — krzyknął pacjent.

— Pamiętaj — rzekł proboszcz — że Zbawiciel przebaczył swym katom.

— Nie byli golibrodami — rzekł ksiądz.

— Oto niedobre słowa — rzekł proboszcz.

³²⁵felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

³²⁶jejmość (daw.) — tytuł grzesnościowy używany wobec kobiet. [przypis edytorski]

³²⁷cyrulik — fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

— Z umierającym nie należy spierać się o żarty — odrzekł mój drogi mistrz. — Cierpię okrutnie: ten człowiek mnie zamordował i umieram dwa razy. Pierwszy raz z ręki Żyda.

— Co on mówi? — spytał proboszcz.

— Najlepiej, księżę proboszczu, nie zważać na to wcale — odrzekł felczer. — Nie można zrozumieć, co mówią chorzy; są to tylko majaczenia.

— Coquebert — rzekł proboszcz — źle mówisz. Trzeba słuchać chorych na spowiedzi; niejeden chrześcijanin, który całe życie nic dobrego nie powiedział, wyrzeczce u zgonu swego słowa, które mu raj otworzą.

— Mówilem tylko w znaczeniu doczesnym — odpowiedział felczer.

— Księżę proboszczu — rzekłem — ksiądz Coignard, mój drogi mistrz, wcale nie bredzi; niestety, prawdą jest, że zamordowany został przez pewnego Żyda, imieniem Mozaides.

— W takim razie — odrzekł proboszcz — winien widzieć w tym specjalną łaskę Boga, który zezwolił, by zginął z ręki potomka tych, którzy ukrzyżowali Jego Syna. Cudowne są na świecie drogi Opatrzności. Panie Coquebert, czy mogę iść do swej zagrody?

— Możecie iść, księżę proboszczu — odrzekł cyrulik. — Rana nie jest dobra, ale też nie taka zła, by zaraz z niej umrzeć. To, księżę proboszczu, jedna z tych ran, które igrają z chorym jak kot z myszą, a w tej igraszce można zyskać na czasie.

— To doskonale — rzekł proboszcz. — Podziękujmy Bogu, mój synu, że cię jeszcze pozostawia przy życiu, ale wszelkie życie wątpliwe jest i przemijające i należy gotowym być zawsze, by je porzucić.

Mój drogi mistrz odpowiedział poważnie:

— Być na ziemi tak, jakby nie będąc na niej, posiadać, jakby nie posiadając, bo obraz świata tego przemija.

Zabierając swój koszyk i nożyczki, proboszcz rzekł:

— Lepiej niż po sutannie twojej, leżącej na tym zydłu, miarkuję ze słów twych, mój synu, że należysz do stanu duchownego i wiodłeś żywot świętobliwy. Czy otrzymałeś był święcenia?

— Mój mistrz jest księdzem — rzekłem — doktorem teologii i profesorem wymowy.

— A z jakiej diecezji — spytał proboszcz.

— Z diecezji biskupa sufragana z Séez w Normandii.

— Znaczna to prowincja kościelna — rzekł proboszcz — ale co do starożytności i świetności nie dorówna diecezji z Reims, do której ja należę.

Proboszcz wyszedł. Hieronim Coignard przebył dzień spokojnie. Jahela postanowiła noc spędzić przy chorym. O jedenastej w nocy opuściłem dom pana Coqueberta i udałem się szukać noclegu w oberży imci Gaularda. Na rynku zastałem pana d'Astarac, którego długi cień przy blasku księżyca wydłużał się na plac cały. Położył mi jak zwykle rękę na ramieniu i rzekł z właściwą mu powagą:

— Mój synu, czas już, abym cię przestrzegł, bo po to tylko towarzyszyłem Mozaidesowi. Widzę, że srodze trapią cię chochliki. Te małe duchy ziemskie osaczyły cię, oszukały wszelkiego rodzaju czarami, uwiodły tysiącem kłamstw i w końcu popchnęły do ucieczki z mego domu.

— Niestety, panie — odrzekłem — prawda to, że porzuciłem dom twój z pozorną niewdzięcznością, za którą bardzo przepraszam. Ale wygnali mnie stamtąd policjanci, a nie chochliki. Mój drogi mistrz leży zamordowany; to też nie fantasmagoria.

— Nie ulega wątpliwości, że ten nieszczęśliwy ksiądz został śmiertelnie ugodzony przez sylfy, których tajemnice był zdradził. Ściągnął mi ze szafy kilka kamieni, które były niedokończoną pracą sylfów i ani blaskiem, ani czystością bynajmniej nie dorównywały jeszcze diamentom. Ta chciwość i niedyskretnie rzucone słowo *Agla* rozgniewało ich najbardziej. Musisz wiedzieć, mój synu, że nawet filozofowi niepodobna powstrzymać zemsty tych gwałtownych istot. Drogą nadprzyrodzoną, a także i od Krytona dowiedziałem się o świętokradzkiej grabieży pana Coignarda, który w pysze swej pochlebiał sobie, że zdoła przeniknąć, jakim kunsztem salamandry, sylfy i gnomy zamieniają rosę poranną na kryształ i diamenty.

Antysemityzm

— Niestety, panie, zapewniam, że nie o tym wcale myślał ksiądz Coignard i że to ten okropny Mozaides pchnął go sztyltem na drodze.

Słowa te bardzo nie podobały się panu d'Astarac i z naciskiem prosił mnie, abym nic podobnego nie mówił więcej.

— Mozaides — dodał — jest na tyle dobrym kabalistą, że mógłby osiągnąć swych nieprzyjaciół, nie goniąc za nimi po rozstajnych drogach. Gdyby chciał być zabić pana Coignarda, mógł to uczynić ze swego pokoju za pomocą magii. Widzę, że obce ci są jeszcze pierwsze zasady wiedzy. Prawdą jest natomiast, że ten mąż uczony, gdy mu wierny Kryton doniósł o ucieczce siostrzenicy, najął pocztę, by ją dognać i w danym razie zabrać z powrotem do domu. I byłby to uczynił niewątpliwie, gdyby był dostrzegł w duszy tej nieszczęśliwej choć cień żalu lub skruchy. Ale widząc, że ją do szpiku kości zepsuła rozpusta, wołał ją wykląć i przekląć w imię Globów, Kół i Bestii Eliaszowych — co też uczynił właśnie w mojej obecności w kolasie, do której się usunął, by nie podzielać stołu i łoża chrześcijan.

Milczałem, zdziwiony tak jawnym majaczeniem, ale ten człowiek mówił z tak przekonującą wymową, że mnie to nieco nawet mieszało.

— Czemu — rzekł — nie chcesz przyjąć nauk filozofa? Jakąż to mądrość, mój synu, przeciwstawiasz mej mądrości? Zważ, że mądrość twoja mniejsza jest od mojej, a co do istoty swej nie różni się od niej. Mnie i tobie przyroda objawia się jako niezliczona mnogość kształtów, które zrozumieć i uszykować trzeba i które tworzą niby ciąg hieroglifów. Rozróżniasz łatwo niektóre z tych znaków i treść im nadajesz, ale zbyt skłonny jesteś zadawać się tym, co pospolite i dosłowne, a nie dosyć szukasz ideału i symbolu. A jednak świat tylko jako symbol pojmować można; wszystko, co widzimy w wszechświecie, jest tylko pismem obrazowym, które ogół ludzki sylabizuje, nie rozumiejąc go wcale. Strzeż się, mój synu, mówić, rycząc jak osioł, językiem pospółstwa, na wzór uczonych zapelniających akademie. Raczej ode mnie weź klucz wszelkiej wiedzy!

Zatrzymał się chwilę, po czym tonem bardziej już familiarnym rzekł:

— Ścigany jesteś, mój synu, przez nieprzyjaciół nie tak strasznych jak sylfy i twoja salamandra z łatwością oswobodzi cię od chochlików, jeżeli tego od niej zażadasz. Powtarzam ci, że tylko po to przybyłem tu z Mozaidesem, by udzielić ci tych rad i nakłonić do powrotu dla dalszych naszych prac. Rozumiem, że chcesz zostać do końca przy twym nieszczęśliwym mistrzu, i daję ci na to swe przyzwolenie, ale potem wróc koniecznie do mnie. Żegnaj; tej nocy jeszcze wracam do Paryża z wielkim Mozaidesem, którego tak niesłusznie posądzasz.

Przyrzekłem mu, co tylko chciał, powlokłem się do oberży i rzuciwszy się tam na nędzne łoże, usnąłem zaraz, zmożony przez zmęczenie i żal.

Nazajutrz wczesnym rankiem powróciłem do domu felczera. Jahela siedziała wyprostowana na wypłatanym krześle u wezłowania mego mistrza, z głową nakrytą czarną chustką, uważna, skupiona i łagodna jak siostra miłosierdzia. Ksiądz Coignard, bardzo czerwony na twarzy, drzemał.

— Noc nie była dobra — rzekła po cichu. — Przemawiał, śpiewał, nazywał mnie siostrą Gertrudą, robił mi niestosowne propozycje. Nie jestem tym obrażona, ale dowodzi to, że chory bredzi.

— Niestety — zawołałem — gdybyś mnie nie była zdradziła, Jahelo, i nie uciekła na rozstajne drogi z tym szlachcicem, mój mistrz kochany nie leżałby teraz na tym łóżku z piersią przebitą!

— Toteż tylko nieszczęście naszego przyjaciela — odrzekła — doprawdy żalem mnie przejmuję. Bo co do reszty, nie warto zastanawiać się nad tym i nie pojmuję, Jakubie, jak możesz myśleć o tym w podobnej chwili.

— Myślę o tym zawsze — odrzekłem.

— Ja — rzekła — wcale o tym nie myślę. W trzech czwartych ty sam jesteś sobie powodem swej niedoli.

— Jakże to rozumiesz, Jahelo?

Obraz świata

— Rozumiem to, mój drogi, tak, że jeśli ja ci dostarczam kanwy, to ty za to haftujesz na niej; wyobraźnia twoja zbyt uświetnia prostą rzeczywistość. Przysięgam ci, że w obecnej chwili nie pamiętam i czwartej części tego, co cię martwi, ty zaś tak uporczywie medytujesz nad tym przedmiotem, że rywal twój przytomniejszy jest tobie niż mnie samej. Nie myśl o tym, a mnie pozwól dać ziółka księdzu, bo widzę, że się budzi.

W tej chwili pan Coquebert zbliżył się do łóżka ze swymi przyborami, założył nowy opatrunek i rzekł głośno, że rana dobrze poczyna się goić. I wzięwszy mnie na bok, rzekł:

— Mogę zaręczyć panu, że ksiądz dobrodziej nie umrze z rany, którą otrzymał. Ale co prawda, obawiam się, że nie wykpi się z zapalenia opłucnej, wywołanego przez ranę. W tej chwili już ma silną gorączkę. Ale oto ksiądz proboszcz nadchodzi.

Mój dobry mistrz poznał go i uprzejmie zapytał, jakże się miewa.

— Lepiej niż moja winnica — odrzekł proboszcz — bo ta zniszczona jest przez owady i robactwo, przeciw któremu duchowieństwo z Dijon wystąpiło już w tym roku z piękną procesją, z chorągwiami i krzyżem. Na przyszły rok trzeba będzie wystąpić jeszcze uroczystej i z rześistszym światłem. Oficjał będzie też musiał ponownie wykląć muchy, które niszczą winogrona.

— Księżę proboszczu — rzekł mój drogi mistrz — mówią, że po twoich winnicach uganiają się za dziewczętami. Fe! To niestosowne dla twego wieku. W młodości miałem jak ty pociąg do białogłówek, ale wiek uspokoił mnie bardzo i niedawno dałem przejść mniszce, nie zaczepiwszy jej nawet. Ty inaczej poczynasz z dziewczynami i butelką, księżę proboszczu. Ale gorzej jeszcze, że nie odprawiasz mszy, za które ci zapłacono, i że frymarczysz³²⁸ dobrami Kościoła. Jesteś winien dwużeństwa i symonii³²⁹.

Słyszając te słowa, proboszcz, boleśnie zdziwiony, stanął z otwartymi ustami, z policzkami smutnie obwisłymi po obu stronach jego szerokiej twarzy.

— Co za niegodna zniewaga dla świętego stanu, w którym obleczon³³⁰ — westchnął, patrząc w ziemię. — Co za rzeczy on mówi, tak blisko już sądu Boskiego! Ach, księżę, czyż to tobie przystoi mówić w ten sposób, tobie, który wiodłeś życie świątobliwe i studiowałeś dzieł tyle?

Mój mistrz uniósł się na łokciu, gorączka wróciła mu znowu, acz odmiennie, ten jowialny³³¹ wyraz twarzy, który tak w nim lubiliśmy dawniej.

— Prawda to, że studiowałem autorów starożytnych, ale nie jestem tak czytany jak drugi wikariusz biskupa z Séez. Choć zewnątrz i wewnątrz był to osioł rzetelny, był więcej czytany ode mnie — a to z tej prostej przyczyny, że zezował i zerkając okiem, czytał dwie strony od razu. Cóż ty na to proboszczu, wstrętny oszuście, stary galancie³³², który się po nocy wałęsasz za dziewczkami? Proboszczu, twoja kochanka wygląda jak czarownica, ma obrośniętą brodę, jest to żona felczera, golibrody! Dokumentnie przypinacie mu rogi, ale dobrze tak temu homunkulusowi³³³, którego cała wiedza medyczna starczy ledwie do dawania lewatyw.

— Święty Boże, co on mówi! — zawołała pani Coquebert. — Chyba jest w mocy czarta.

— Słyszałem dużo chorych bredzących w malignie — rzekł pan Coquebert — ale żaden nie mówił tak szkaradnie.

— Przewiduję — rzekł proboszcz — że będzie nam trudniej, niż myślałem, doprowadzić tego chorego do dobrego końca. W naturze jego jest ostry humor i nieczystość, których nie zauważyłem był zrazu. Mówi on rzeczy niestosowne dla chorego i dla duchownego.

— To wynik gorączki — wtrącił felczer.

— Ale jeżeli tak pójdzie dalej — rzekł proboszcz — ta gorączka może zaprowadzić go do piekła. Poważnie wykroczył przeciwko szacunkowi, który należy się księdzu; niemniej powrócę jutro, by jeszcze doń przemówić, bo wzorem Pana naszego winienem

³²⁸frymarczyć — handlować, kupczyć. [przypis edytorski]

³²⁹symonia — świętokupstwo, handel sakramentami lub godnościami i urzędami kościelnymi. [przypis edytorski]

³³⁰w którym obleczon — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika oraz skróconą formą przymiotnika; inaczej: w który jestem obleczony (odziany). [przypis edytorski]

³³¹jowialny — dobronudnie żartobliwy. [przypis edytorski]

³³²galant (daw.) — męczyzna odznaczający się wyszukaną uprzejmością. [przypis edytorski]

³³³homunkulus (z łac.) — sztucznie stworzony, niewielki człowieczek. [przypis edytorski]

dlań mieć miłosierdzie nieskończone. Ale na nieszczęście zrobiła się szpara w mej kadzi do tłoczenia wina, a wszyscy robotnicy są w winnicach. Coquebert, nie zapomnij powiedzieć o tym cieśli, a zawołaj mnie, gdyby stan chorego pogorszył się nagle. Tyle, widzisz, mam kłopotów, mój Coquebert.

Dzień następny przeszedł tak dobrze dla księdza Coignarda, iż powzięliśmy już nadzieję, że będzie uratowany. Wypił rosół i siedząc w łóżku, rozmawiał z nami ze zwykłym wdziękiem i słodyczą. Pan d'Anquetil, który mieszkał u Gaularda, przyszedł go odwiedzić i brutalnie zażądał, by zagrał z nim w pikietę, co mój dobry mistrz, uśmiechając się, obiecał uczynić za tydzień. Wieczorem gorączka znowu się wzmogła. Ksiądz Coignard, blady, z wyrazem niewymownego przerażenia w oczach, drżąc i szcękając zębami, krzyknąć zaczął:

— Oto, oto jest ten stary łotr! To syn Judasza Iskarioty, spłodzony z diablicą pod postacią kozy. Ale jak ojciec powieszony będzie na drzewie figowym, a wnętrzności jego rozsypią się po ziemi³³⁴. Łapcie go... Zabija mnie! Zimno mi!

Chwilę potem, odrzucając koldry, skarżył się znów, że mu za gorąco.

— Pić mi się chce — mówił. — Dajcie mi wina, tylko świeżego. Niech pani Coquebert dla ochłodzenia włoży je do studni, bo dzień będzie skwarowy.

Już noc była wtedy, ale godziny, dni i noce pomieszały mu się w głowie.

— Prędko idź do studni — rzekł jeszcze do pani Coquebert — tylko nie bądź tak naiwna, jak dzwonnik katedry Séz: poszedł on do studni wyciągnąć butelki, które tam był spuścił, a ujrawszy swe odbicie w wodzie, począł wołać o pomoc: „Hola, hola, pomóżcie mi, bo są tam antypody³³⁵, które wypiją nasze wino, jeżeli ich nie rozpędzimy!”

— Jowialny człowiek z księdza — rzekła pani Coquebert — ale niedawno mówił o mnie rzeczy bardzo nieprzystojne. Gdybym miała zdradzać Coqueberta, nie robiłabym tego z proboszczem, bo ani stan, ani wiek jego nie po temu.

W tej samej chwili wszedł proboszcz.

— No, księżu dobrodzieju — zapytał — w jakim usposobieniu ducha znajdujesz się teraz? Cóż nowego?

— Dzięki Bogu — odrzekł pan Coignard — nie ma nic nowego w mej duszy. Bo mówi święty Chryzostom: unikajcie nowinek, nie zapuszczajcie się na drogi niewypróbowane; gdy raz zbłądzicie, błędzić będziecie ciągle. Smutnie doświadczyłem tego na sobie; zgubiłem się, bom kroczył po drogach nieutartych. Słuchałem rad własnych i te przywiodły mnie do przepaści. Księżu proboszczu, jestem biednym grzesznikiem. Przytłacza mnie mnogość mych nieprawości.

— Oto piękne słowa — rzekł proboszcz — sam Bóg ci je dyktuje; poznaję Jego styl niezrównany. Czy nie chcesz byśmy się trochę zajęli zbawieniem twej duszy?

— Chętnie — rzekł ksiądz Coignard — bo grzechy mego życia podnoszą się przeciwko mnie. Stają mi przed oczyma grzechy małe i wielkie, czerwone i czarne, jedne drobne, cwałujące na psach i świniach, a inne tłuste, nagie, z cyckami jak sakwy, z brzuchami w grube fałdy zwisłymi i z ogromnymi zadami.

— Czy podobna — rzekł proboszcz — byś widział je aż tak dokładnie? Ale jeżeli grzechy twoje, mój synu, są takie, jak mówisz, lepiej nie opisuj ich i poprzestań na tym, by wewnątrznie je nienawidzić.

— Chciałbyś więc, księżu proboszczu — rzekł ksiądz Coignard, aby wszystkie grzechy moje zbudowane były jak Adonisy? Ale zostawmy to. A ty, golarzu, daj mi pić. Znacnie pana de la Musardière?

— O ile wiem, nie znam tego szlachcica — odrzekł Coquebert.

— Wiedz zatem — rzekł mój drogi mistrz — iż miał on wielki pociąg do kobiet.

— A to jest rzecz — rzekł proboszcz — przez którą diabeł łatwo rządzi człowiekiem. Ale do czego zmierzasz, mój synu?

— Zobaczysz zaraz — rzekł mój mistrz. — Pan de la Musardière naznaczył pannie schadzkę w stajni. Ta poszła tam, a on dał jej wyjść taką, jak weszła. A wiecie dlaczego?

³³⁴To syn Judasza Iskarioty (...) jak ojciec powieszony będzie na drzewie figowym, a wnętrzności jego rozsypią się po ziemi — okoliczności śmierci Judasza wg interpretacji, która ma uzgadniać ze sobą Mt 27, 3–8 oraz Dz 1, 18. [przypis edytorski]

³³⁵antypody — tu: antypodzi (z gr. *antipodes*: ze stopami naprzeciw), tj. ludzie żyjący po drugiej stronie kuli ziemskiej. [przypis edytorski]

— Nie wiem — rzekł proboszcz — ale zostawmy ten przedmiot.
— Bynajmniej — odparł pan Coignard. — Wiedźcie, że nie obrócił jej z obawy, by nie splodzić konia, za co wytoczono by mu proces kryminalny.
— Ach — zawołał felczer — mógł prędzej obawiać się, że splodzi osła!
— Bez wątpienia — dodał proboszcz. — Ale to nie posuwa nas do wrót raju; należałoby zawrócić na dobrą drogę. Przed chwilą jeszcze sam mówiłeś nam rzeczy tak budujące.

Zamiast odpowiedzi mój drogi mistrz zaczął śpiewać dość silnym głosem:

Nie miał zgoła apetytu
Nasz król Ludwiczek
Tra la la la.
Przyprowadźcież jegomości
Ciepłych podwiczek³³⁶!
Tra la la la.

— Jeżeli chcesz śpiewać, mój synu — rzekł proboszcz — śpiewaj raczej jaką ładną kolędę burgundzką. Rozweseli cię to, a uświęci zarazem twą duszę.

— Chętnie — odpowiedział mój drogi mistrz. — Pewne kolędy ułożone przez Guy Barozai³³⁷ w ich pozornym prostactwie czystsze są moim zdaniem nad diamenty i cenniejsze nad złoto. Ta oto na przykład:

Onego czasu w Betleemie,
Gdy Jezus Chrystus się narodził,
Osioł i wół swym tchnieniem ciepłym
Dzieciatko Boże ogrzewali!

Ileż jest osłów i wołów
W tym naszym Królestwie Galskim,
Ileż jest osłów i wołów,
Co tego by nie zdołali!

Cyrulik z żoną i proboszcz wtórowali:

Ileż jest osłów i wołów
W tym naszym Królestwie Galskim,
Ileż jest osłów i wołów,
Co tego by nie zdołali!

A mój mistrz drogi ciągnął dalej głosem już cichszym:

Najpiękniejsze w tym zdarzeniu,
Że wół i osioł obaj razem
Przepędzili tę noc całą
Bez napoju i bez jadła.

Iluż znam osłów i wołów
Odzianych w atlas i moreę,
Iluż znam osłów i wołów,
Co tego by nie zdołali!

³³⁶ *podwika* (starop.) — kobieta. [przypis edytorski]

³³⁷ *Guy Barozai* (pseud.), właśc. *Bernard de La Monnoye* (1641–1728) — francuski prawnik, filolog i poeta, znany ze zbioru popularnych kolęd *Noei Borguignon* (Burgundzkie Boże Narodzenie, 1700). [przypis edytorski]

Po czym opuścił głowę na poduszkę i śpiewać przestał.

— Nie brak dobrego w tym chrześcijańskim — rzekł proboszcz do nas — nawet dużo dobrego i przed chwilą sam byłem zbudowany jego pięknymi sentencjami. Ale mimo to nie jestem spokojny, bo wszystko zależy od końca, a nie można wiedzieć, co pozostanie na dzień kosza. Bóg w dobroci swej pozwala, by jedna chwila nas zbawiła, ale trzeba, by to była chwila ostatnia; wszystko więc zależy od jednej minuty, wobec której reszta życia jest jakby niczym. Dlatego to drżę o tego chorego, bo go zaciekle wydzierają sobie aniołowie i czarci. Ale nie trzeba wątpić o miłosierdziu Boskim.

Dwa dni przeszły w bolesnej niepewności, na trzeci dzień mój drogi mistrz niestety zupełnie opadł na siłach.

— Nie ma już nadziei — rzekł mi cicho pan Coquebert — patrz pan, jak głowa jego ciężko zapada w poduszki, i uważ, jak nos stał się cienki.

Rzeczywiście, nos mego drogiego mistrza, dawniej gruby i czerwony, był teraz ostry, cienki jak ostrze i przybrał barwę szaroolowianą.

— Rożenku, mój synu — rzekł nagle do mnie głosem jeszcze pełnym i mocnym, ale zupełnie zmienionym — czuję, że już niewiele życia mi pozostaje. Idź po naszego księdza, bo chcę się wypowiedzieć.

Proboszcz był właśnie w swej winnicy, tam więc pobiegłem.

— Winobranie skończone — rzekł mi — i obfitsze jest, niż myślałem. Chodźmy wypowiedzieć tego biedaka.

Przyprowadziłem go do łóżka mego drogiego mistrza i zostawiliśmy go samego z konającym. Po godzinie wyszedł i rzekł do nas.

— Mogę was zapewnić, że ksiądz Hieronim Coignard umiera z cudowną pobożnością i pokorą w duszy. Na jego życzenie i ze względu na jego gorliwość dam mu ostatnie namaszczenie. Nim przywdzieję komżę i stułę, bądź tak dobra, moja pani Coquebert, i poślij do zakrystii po chłopca, który mi co rano do mszy służy. Przygotuj też pokój na przyjęcie Pana Boga.

Pani Coquebert zamiotła pokój, położyła białą koldrę na łóżku, do wezłowania przysunęła stolik, nakryła go obrusem i postawiła na nim dwa lichtarze z zapalonymi świecami oraz porcelanową miseczkę ze święconą wodą, w której tkwiła poświęcana palma.

Wkrótce usłyszeliśmy brzęk dzwonka na drodze i ujrzeliśmy we drzwiach chłopca z krzyżem w ręku i księdza biało ubranego, niosącego święte sakramenty. Jahela, pan d'Anquetil, państwo Coquebert i ja uklękliśmy wszyscy.

— *Pax huic domui*³³⁸ — rzekł ksiądz.

— *Et omnibus habitantibus in ea*³³⁹ — odpowiedział ministrant.

Po czym proboszcz pokropił święconą wodą łóżko i chorego, pomodlił się chwilę w milczeniu i rzekł uroczyście:

— Synu mój, czy nic nie masz nam do powiedzenia?

— Mam — rzekł ksiądz Coignard pewnym głosem. — Przebaczam memu mordercy.

Wtedy proboszcz wyjął hostię z cyborium³⁴⁰.

— *Ecce agnus Dei, qui tollit peccata mundi*³⁴¹.

Mój drogi mistrz odrzekł, wzdychając:

— Jakże przemówię do Pana mego, ja marny proch i popiół? Jakże stanę przed obliczem Twoim, gdy w wszech miar niegodny tego, jakże ośmielę się przyjąć Cię, gdy tak często ranilem Twoje oczy dobrotliwe?

I ksiądz Coignard przyjął święty wiatyk³⁴² wśród głębokiego milczenia, przerywanego płaczem naszym i głośnym ocieraniem nosa pani Coquebertowej.

³³⁸*Pax huic domui* (łac.) — pokój temu domowi. [przypis edytorski]

³³⁹*Et omnibus habitantibus in ea* (łac.) — I wszystkim domownikom jego. [przypis edytorski]

³⁴⁰*cyborium* — naczynie liturgiczne w formie metalowego kielicha z przykrywką, służące do przechowywania hostii. [przypis edytorski]

³⁴¹*Ecce agnus Dei, qui tollit peccata mundi* (łac.) — Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. [przypis edytorski]

³⁴²*wiatyk* — w Kościele katolickim komunია udzielana umierającemu. [przypis edytorski]

Przyjąwszy ostatnie namaszczenie, mój drogi mistrz dał mi znak, bym zbliżył się do jego łóżka, i rzekł głosem cichym, lecz wyraźnym:

— Jakubie Rożenku, synu mój, nie idź za mym przykładem i odrzuć maksymy, które ci wszczepiałem w szaleństwie swym, trwającym niestety tak długo jak życie moje. Strzeż się kobiet i książek, bo od nich płynie płochość obyczajów i pycha. Bądź pokornego umysłu i serca. Bóg daje maluczkiom jaśniejsze zrozumienie rzeczy niż to, którego uczeni nauczyć mogą. On jest źródłem wszelkiej wiedzy. Nie słuchaj, synu, tych, którzy jak ja subtelnie roztrząsać będą, co złe i co dobre; nie daj się olśnić pięknnością i wytwornością ich słów, bo królestwo Boże zasadza się nie na słowach, lecz na cnocie.

Zamilkł wyczerpany. Pochwyciłem rękę jego, spoczywającą na prześcieradle, i pokrywałem ją pocałunkami i łzami. Mówiłem doń, że jest naszym mistrzem, przyjacielem, ojcem, i że nie będę mógł żyć bez niego.

Długie godziny pozostałem tak u łóżka jego pogrążony w boleści.

Noc przebył tak spokojnie, że znów powziąłem szaloną nadzieję; ta pozorna poprawa trwała jeszcze dzień następny, ale nad wieczorem zaczął rzucać się niespokojnie i wymawiać jakieś zdania niewyraźne; zostały one na zawsze tajemnicą między Bogiem a nim. O północy zapadł w stan głębokiej prostracji³⁴³. Słychać było tylko lekki szmer jego palców, które kurczowo drapały prześcieradło; nie poznawał nas już więcej.

O drugiej w nocy zaczął rzeźzić; z piersi jego wydobywał się oddech szybki i syczący, który słychać było daleko aż na ulicy i który tak strasznie utkwiał mi w uszach, iż jeszcze długo po tym dniu nieszczęsnym zdawało mi się wciąż, że go słyszę.

Nade dniem dał ręką jakiś znak, którego nie zrozumieliśmy, i westchnął głęboko. Było to już ostatnie tchnienie. Twarz jego przybrała w śmierci powagę godną tego geniuszu, który go ożywił, a którego strata na zawsze będzie niepowetowana.

Proboszcz z Vallars wyprawił Hieronimowi Coignard pogrzeb uroczysty, ze śpiewaną mszą żałobną i absolucją³⁴⁴. Pogrzebano mego drogiego mistrza na cmentarzu okalającym kościół. Pan d'Anquetil wyprawił u Gaularda stypę dla wszystkich, którzy uczestniczyli w tej ceremonii: pito świeżo tłoczone wino i śpiewano piosenki burgundzkie.

Nazajutrz poszedłem z panem d'Anquetil podziękować proboszczowi za jego zbożne usługi.

— Ach — rzekł ten świątobliwy człowiek — ksiądz Coignard pokrzepił nas w duchu przez swą śmierć budującą; mało chrześcijan widziałem, którzy by umierali z tak cudowną skruchą. Pamięć tego zgonu należałoby utrwalić w pięknym napisie na jego nagrobku. Potraficie panowie jako ludzie wykształceni napis taki ułożyć, a ja obowiązuję się kazać go wyrzeć na wielkim białym kamieniu dokładnie tak, jak go ułożycie. Ale pamiętajcie, abyście kamieniowi temu tylko chwałę Bożą głosić kazali.

Zapewniłem go, że zabiorę się do tego z całą gorliwością, a pan d'Anquetil ze swej strony obiecał dać napisowi zwrot elegancki i zgrabny.

— Spróbuję — rzekł — ułożyć po francusku napis wierszowany według wzorów pana Chapelle³⁴⁵.

— Doskonale — rzekł proboszcz. — Ale czy nie chciałbyś zobaczyć mej tłoczni? Wino będzie dobre w tym roku i zebrałem go dość na potrzebę moją i mojej służącej. Niestety, gdyby nie robactwo, mielibyśmy go znacznie więcej.

Po kolacji pan d'Anquetil zażądał kałamarza i pióra i zabrał się do układania wierszy francuskich. Wkrótce zniecierpliwiony rzucił pióro, atrament i papier i rzekł:

— Rożenku, skomponowałem tylko dwa wiersze i nie jestem nawet pewien, czy są dobre; oto są, tak jak mi do głowy przyszły:

Tu spoczywa ksiądz Coignard.

Tak jak inni, on też zmarł.

³⁴³prostracja — skrajne wyczerpanie nerwowo-psychiczne. [przypis edytorski]

³⁴⁴absolucja (z lac., rel.) — odpuszczenie grzechów, rozgrzeszenie. [przypis edytorski]

³⁴⁵Chapelle, Jean de la (1651–1723) — francuski pisarz i dramaturg, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

Odrzekłem mu, że ten dwuwiersz ma tę zaletę, iż już nie wymaga wiersza trzeciego.
Spędziłem noc na układaniu łacińskiego epitafium, które wyszło ostatecznie w tej formie:

*D. O. M.
HIC JACET
IN SPE BEATAE AETERNITATIS
DOMINUS HIERONYMUS COIGNARD
PRESBYTER
QUONDAM IN BELLOVACENSI COLLEGIO
ELOQUENTIAE MAGISTER ELOQUENTISSIMUS
SAGIENSIS EPISCOPI BIBLIOTHECARIUS SOLERTISSIMUS
ZOSIMI PANAPOLITANI INGENIOSISSIMUS
TRANSLATOR
OPERE TAMEN IMMATURATA MORTE INTERCEPTO
PERIIT ENIM CUM LUGDUNUM PETERET
IUDEA MANU NEFANDISSIMA
ID EST A NEPOTE CHRISTI CARNIFICUM
IN VIA TRUCIDATUS
ANNO AET. LII.
COMITATE FUIT OPTIMA DOCTISSIMO CONVITA
INGENIO SUBLIMI
FACETIIS JUCUNDUS SENTENTIIS PLENUS
DONORUM DEI LAUDATOR
FIDE DEVOTISSIMA PER MULTAS TEMPESTATES
CONSTANTER MUNITAS
HUMILITATE SANCTISSIMA ORNATUS
SALUTI SUAE MAGIS INTENTUS
QUAM VANO ET FALLACI HOMINUM JUDICIO
SIC HONORIBUS MUNDANIS
NUNQUAM QUAESITIS
SIBI GLORIAM SEMPITERNAM
MERUIT.*

Co znaczy:

Tu spoczywa
w nadziei wiekuistej szczęśliwości
Imć Pan Hieronim Coignard
ksiądz
były arcywymowny profesor retoryki
w Kolegium w Beauvais
gorliwy bibliotekarz biskupa
z Séez
autor pięknego tłumaczenia Zosimosa
Panapolitańczyka,
które zostawił niestety niedokończone,
gdy dościgła go śmierć przedwczesna.
Ugodziła go na drodze do Lugdunu
w 52 roku jego życia
zbrodnicza ręka Żyda.
Tak zginął, jako ofiara potomka katów
Jezusa Chrystusa.
Był miły w obcowaniu,
liczony w rozmowie,
umysłu wzniosłego.
Sypał wesołymi żartami i pięknymi maksymami

i chwalił Boga w jego dziełach.
W burzach żywota zachował
wiarę niewzruszoną.
W swej prawdziwie chrześcijańskiej pokorze
Więcej baczył na zbawienie swej duszy
niż na próżny i zwodniczy sąd ludzki.
Przeżywszy bez zaszczytów
na tym świecie,
wstąpił na drogę chwały wiekuistej.

W trzy dni po śmierci mego drogiego mistrza pan d'Anquetil postanowił jechać dalej. Powóz był już naprawiony; kazał więc poczytliwom, by byli gotowi do drogi nazajutrz rano. Towarzystwo jego nigdy nie było mi miłe, w obecnym zaś smutku moim stało mi się wstrętne. Nie mogłem znieść tej myśli, bym miał towarzyszyć jemu i Jaheli w dalszej jeszcze drodze. Postanowiłem poszukać jakiegoś zajęcia w Tournus lub Mâcon i żyć tam w ukryciu aż do chwili, gdy burza się uśmierzy i będę mógł powrócić do Paryża, gdzie wiedziałem, iż rodzice przyjmą mnie z otwartymi rękami. Oznajmiłem panu d'Anquetil o tym zamiarze i przeprosiłem go, że nie mogę jechać z nim dalej. Początkowo próbował mnie zatrzymać z uprzejmością, której się od niego nie spodziewałem nawet, potem chętnie udzielił mi pozwolenia na odjazd. Jaheli przyszło to trudniej, ale że była z natury rozsądna, zrozumiała powody, dla których opuścić ją chciałem.

W nocy, która poprzedziła mój wyjazd, podczas gdy pan d'Anquetil grał w karty z felczerem, poszliśmy na plac, Jahela i ja, by odetchnąć świeżym powietrzem, pełnym woni traw i ćwierkania świerszczów.

— Co za piękna noc — rzekłem do Jaheli — w całym roku nie będzie może równiej, może w życiu moim nie zobaczę już nocy tak słodkiej!

Cmentarz wiejski pełen kwiecica rozciągał przed nami swe nieruchome fale murawy, księżyc srebrzył groby rozsiane wśród ciemnych traw. Równocześnie przyszło nam obojgu na myśl, by iść pożegnać naszego przyjaciela. Miejsce, gdzie spoczywał, oznaczał krzyż w miękką ziemię wbity; kamień, na którym miano napis wyryć, nie był jeszcze gotów. Usiedliśmy tuż obok grobu na trawie i przez naturalny a nieświadomy pociąg padliśmy sobie w objęcia, bez obawy, byśmy naszymi pocałunkami znieważyc mieli pamięć przyjaciela, który w głębokiej swej mądrości wyrozumiały był na słabości ludzkie.

Nagle Jahela rzekła mi do ucha, przy którym właśnie znalazły się jej usta:

— Na murze cmentarnym widzę pana d'Anquetil; patrzy uważnie w naszą stronę.

— Czy może nas widzieć w ciemności? — zapytałem.

— Widzi z pewnością moją białą spódnicę — odrzekła. — Myślę, że to dosyć, by miał ochotę zobaczyć więcej.

Zamierzałem dobyć szpady i zdecydowany byłem bronić dwóch istnień, które w tej chwili były jeszcze mniej więcej zespolone w jedno. Spokój Jaheli mnie zadziwiał; w jej ruchach ani w głosie nic nie zdradzało trwogi.

— Zmykaj — rzekła — i nie lękaj się o mnie. Pragnęłam prawie takiej niespodzianki; zaczynał być znudzony, tak więc zdarzyło się doskonale, by pobudzić jego żądze i podniecić miłość. Idź i zostaw mnie tutaj. Pierwsza chwila będzie ciężka, bo jest bardzo gwałtowny; będzie mnie bił, ale tym droższa będę mu potem. Żegnaj.

— Niestety — zawołałem — więc wzięłaś mnie, Jahelo, tylko po to, by podniecić żądze rywala!

— Podziwiam, że i ty chcesz klócić się ze mną! Idź, mówię ci!

— Więc mam cię tak porzucić?

— Tak trzeba; żegnaj mi! Nie powinien cię tu zastać; chcę mu trochę dać powód do zazdrości, ale delikatnie. Bądź zdrow! Żegnaj!

Zaledwie oddaliłem się o kilka kroków w tym labiryncie grobów, gdy pan d'Anquetil, zbliżywszy się na tyle, iż poznał swą kochankę, zaczął krzyczeć i kląć, że o mało nie pobudził wszystkich nieboszczyków na cmentarzu. Chciałem ratować Jahelę przed jego

wściekłością, myślałem bowiem, że ją zabije, i już biegłem jej na pomoc, sunąc schylony w cieniu nagrobków. Ale po kilku minutach, podczas których obserwowałem ich uważnie, ujrzałem pana d'Anquetil, jak popychał ją przez cmentarz i wiódł do oberży Gaularda, z resztkami wściekłości, które mogła już doskonale uśmierzyć sama bez mojej pomocy.

Wróciłem do swego pokoju, gdy oni weszli do swego. Nie spałem noc całą i czyhając na nich o świcie, widziałem przez szparę w okiennicach, że przeszli przez podwórze oberży w najlepszej przyjaźni.

Odjazd Jaheli powiększył mój smutek; rzuciłem się jak długi na środku pokoju i z twarzą w dłoniach ukrytą płakałem do wieczora.

Tu życie moje traci te cechy zapożyczone od okoliczności, cechy, które czyniły je zajmującym, i los mój, zgodny odtąd z moim charakterem, nic już nie przedstawia nadzwyczajnego. Gdybym przedłużał ten pamiętnik, opowiadanie moje wkrótce wydałoby się jałowe, zakończę więc rzecz w kilku słowach. Proboszcz z Vallars dał mi list polecający do kupca win w Mâcon, u którego byłem w służbie przez dwa miesiące. Po ich upływie ojciec napisał mi, że sprawa moja jest załatwiona i że mogę spokojnie powrócić do Paryża.

Natychmiast wziąłem dyliżans i odbyłem podróż z rekrutami. Serce biło mi z radości, gdy ujrzałem ulicę Świętego Jakuba, zegar na wieży Świętego Benedykta, szyld „Trzech dziewic” i „Świętą Katarzynę” pana Blazota.

Matka rozpląkała się na mój widok; ja też płakałem; uściskaliśmy się i płakaliśmy znowu. Ojciec mój przybiegł spiesźnie spod „Małego Bachusa” i rzekł z godnością i wzruszeniem:

— Kubusiu, synu mój, przyznaję, że byłem bardzo zagniewany na ciebie, gdy ujrzałem tu w mej gospodzie straż, która przysłała cię schwytać, a w braku ciebie — mnie zabrać na twoje miejsce. Nic słyszeć nie chcieli i utrzymywali, że będę mógł się tłumaczyć w więzieniu. Szukali cię wskutek skargi pana de la Guéritaude. Powziąłem stąd okropne pojęcie o twych sprawkach, ale dowiedziawszy się z twych listów, że to były fraszki, myślałem już tylko o tym, by ujrzeć cię jak najprędzej. Często radziłem się karczmarza spod „Małego Bachusa”, jak można by stłumić twoją sprawę. Odpowiadał mi zawsze: „Mości Leonardzie, idź do sędziego z dużym workiem dukatów, a odda ci twego chłopca białym jak śnieg”. Ale dukaty tu rzadkie i nie ma w domu kury, gęsi lub kaczkę, co by znosiła jaja złote. Obecnie drób ledwie opłaca ogień na moim kominie. Na szczęście twej świętej i zacnej matce przyszło na myśl udać się do matki pana d'Anquetil. Dowiedzieliśmy się bowiem, że robi ona starania dla swego syna, którego poszukiwano razem z tobą i w tej samej sprawie. Bo przyznaję, Kubusiu, że łobuzowałeś się w towarzystwie szlachcica, a zbyt wiele mam godności, bym nie odczuwał zaszczytu, jaki stąd spływa na całą rodzinę. Twoja matka prosiła więc posłuchania u pani d'Anquetil w jej pałacu na przedmieściu Świętego Antoniego. Ubrała się godnie jak do kościoła; pani d'Anquetil przyjęła ją uprzejmie. Matka twoja jest świętą niewiastą, Kubusiu, ale mało ma obycia z ludźmi, toteż z początku mówiła bez związku i niestosownie. Powiedziała bowiem: „Pani, w naszym wieku po Bogu pozostają nam tylko jeszcze nasze dzieci”. Tego nie należało powiedzieć takiej wielkiej damie, która ma jeszcze galantów.

— Cicho! Leonardzie — zawołała moja matka. — Nie wiesz jak się prowadzi pani d'Anquetil, a musiałam nieźle mówić do niej, skoro odrzekła mi: „Bądźcie spokojna, pani Ménétrier, dla syna waszego będę zabiegała tak jak i dla mego własnego. Proszę liczyć na mnie”. I wiesz dobrze, Leonardzie, że nie minęło i dwa miesiące, gdy otrzymaliśmy zapewnienie, że nasz Kubuś może bezpiecznie wrócić do Paryża.

Z apetytem zjedliśmy wieszczę. Mój ojciec zapytał mnie, czy myślę zostać dalej w służbie pana d'Astarac. Odrzekłem, że po nigdy nieodżałowanej śmierci mego drogiego mistrza nie życzę sobie dłużej być razem z okrutnym Mozaidesem u szlachcica, który swym ludziom płaci jedynie pięknymi słowami. Ojciec zaproponował mi uprzejmie, bym kręcił u niego rożny jak poprzednio.

— W ostatnich czasach, Kubusiu, dałem ten urząd bratu Aniołowi, ale spełniał go gorzej niż Miraut i gorzej nawet niż ty; czy nie zechcesz więc, mój synu, zająć twego miejsca na zydelku, w rogu przy kominie?

Matka moja, choć kobieta prosta, miała dużo zdrowego sądu, wzruszyła na to ramionami i rzekła:

— Pan Blaizot, księgarz pod „Obrazem Świętej Katarzyny”, potrzebuje subiekta³⁴⁶, a zajęcie to, Kubusiu, jest dla ciebie jak ulane. Jesteś chłopcem łagodnych obyczajów i układne masz wzięcie, a tego właśnie potrzeba, by sprzedawać Biblie.

Niebawem poszedłem ofiarować swe usługi panu Blaizotowi i zostałem przyjęty.

Przygody me uczyniły mnie roztroptym, nie zrażałem się podrzędnym swym obowiązkiem i spełniałem go sumiennie, zamiatając i odkurzając księgi ku zadowoleniu mego pryncypała.

Miałem sobie za obowiązek złożyć wizytę panu d’Astarac. Wybrałem się więc do wielkiego alchemika w ostatnią niedzielę listopadową po południu. Odległość między ulicą Świętego Jakuba a Krzyżem des Sablons jest znaczna, a kalendarz nie kłamie, gdy mówi, że dnie w listopadzie są krótkie, toteż gdy przybyłem do Roule, była już noc i gęsta ciemność zalegała pustą drogę. Idąc, dumiałem smutno:

„Niestety — mówiłem do siebie — niedługo rok, jak po raz pierwszy odbyłem tę drogę po śniegu, w towarzystwie mego drogiego mistrza, który spoczywa teraz wśród winnic na wiejskim cmentarzu burgundzkim. Usnął z nadzieją życia wiecznego i nadzieję tę z tak świątym i rozumnym człowiekiem podzielać należy. Niech mnie Bóg broni, bym zwątpił kiedy o nieśmiertelności duszy, ale trzeba przyznać przed sobą samym, że wszystko, co tyczy się życia przyszłego i tamtego świata, należy do tych prawd obojętnych, którym się wierzy, choć ich się nie odczuwa, i które nie mają dla nas żadnego czaru ani uroku i trwają w nas niepostrzeżone. Wszak i mnie nie pociesza myśl, że księdzka Coignarda ujrzą kiedyś w raju. Z pewnością będzie on tam zmieniony do niepoznania i rozmowa jego nie będzie miała już tego wdzięku, jaki zapożyczała od różnych drobnych zdarzeń życia”.

Tak rozmyślając, ujrzałem przed sobą wielką lunę, która zajmowała połowę nieba; mgła wydawała się ruda od luny aż nad samą moją głową. Ciężkie kłęby dymu mieszały się z oparami powietrza. Od razu wpadło mi na myśl, że to pewnie pałac pana d’Astarac tak płonie; przyspieszyłem kroku i przekonałem się, że obawa moja aż nadto była słuszna. Ujrzałem wnet krzyż Sablons, odrzynający się czarno na tle płomieni, i zaraz potem zamek, którego wszystkie okna gorzały jak od jakiej złowieszczej uczty. Małe zielone drzwiczki były wyważone; cienie jakieś biegały w parku i szemrały ze zgrozy. Byli to mieszkańcy Neuilly, przybyli przez ciekawość i dla dania pomocy. Kilku ludzi łało z sikawki strumienie wody, która spadała w to gorejące ognisko iskier jak deszcz. Gęsty słup dymu unosił się nad pałacem. Deszcz iskier i popiołu sypał się na mnie i spostrzegłem wkrótce, że suknie me i ręce są już uczernione. Z rozpaczą myślałem, że pył ten, zapelniający powietrze, to resztki owych wspaniałych ksiąg i cennych rękopisów, które były rozkoszą mego drogiego mistrza, że to resztki może tego Zosimosa Panopolitańczyka, nad którym pracowaliśmy razem w najwznioślejszych godzinach mego życia.

Widziałem śmierć księdza Hieronima Coignarda. Teraz zdawało mi się, że jestem świadkiem, jak dusza jego, ta dusza miła i świetlana, na popiół się zamienia wraz z tą płonąącą królową bibliotek. Czulem, że część mej własnej istoty ginie tu zarazem. Zrywający się wichur podniecał pożogę, a płomienie syczały jak żarłoczne paszcze.

Jakiegoś jeszcze bardziej ode mnie uczernionego mieszkańca Neuilly zapytałem, czy ocalono pana d’Astarac i jego służbę.

— Nikt — odrzekł mi — nie wyszedł z zamku oprócz starego Żyda, którego widziano uciekającego z paczkami w stronę bagien. Mieszkał w pawilonie leśniczego nad rzeką i nienawidzony był za pochodzenie swoje i za zbrodnie, o które go posądzano. Dzieci poczęły biec za nim, a on, uciekając, wpadł do Sekwany. Wyłowiono go martwego, przyciskającego rękami do piersi jakąś księgę żydowską i sześć złotych kubków. Możesz go pan zobaczyć na wybrzeżu; w swoim żółtym płaszczu, z rozwartymi oczami, wygląda strasznie.

³⁴⁶subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

Nieśmiertelność, Dusza,
Zaświaty, Wiara

Pożar

Książka

— Ach — odrzekłem — taki koniec słusznie mu się należał za jego zbrodnię! Ale śmierć jego nie wróci mi mego drogiego mistrza, którego on zabił. Powiedzcie mi jeszcze, czy nie widziano pana d'Astarac?

W chwili gdy o to pytał, usłyszałem obok siebie, z gromady poruszających się cieni, krzyk trwogi:

— Dach się zapada!

Ze zgrozą ujrzałem na dachu długą, czarną postać pana d'Astarac. Alchemik biegł wzdłuż rynny. Donośnym głosem zawołał:

— Oto wznoszę się na skrzydłach płomienia do siedziby boskiego żywota!

Ledwie to rzekł, nagle dach runął ze strasznym łoskotem i płomienie wysokie jak góry pochłonęły przyjaciela salamandr.

Żadna miłość nie oprze się rozłące; wspomnienie Jaheli, z początku dojmujące, zatarło się powoli, pozostawiając mi niejasne podniecenie, którego ona już nawet nie była jedynym powodem.

Pan Blaizot zestarzał się i usunął się do swego domku wiejskiego w Montrouge, a mnie odstąpił swą księgarnię w zamian za dożywotnią rentę. Zostawszy na jego miejsce księgarzem przysięgłym pod „Obrazem Świętej Katarzyny”, wziąłem do siebie rodziców, których gospoda już od pewnego czasu była nieczynna. Podobał mi się mój skromny sklep i zacząłem go przyozdabiać. Przybiłem do drzwi stare mapy weneckie i rozprawy ozdobione rysunkami alegorycznymi. Jest to ozdoba staroświecka i cudaczna, ale podoba się zwolennikom pięknych studiów. Wiedza moja, pod warunkiem by ukrywać ją starannie, nie bardzo szkodziła mi w handlu; gorzej dałaby mi się we znaki, gdybym był wydawcą i jak Marek Michał Rey musiał zarabiać na życie kosztem głupoty publiczności.

Trzymam, jak się to mówi, autorów klasycznych, a jest to towar, który ma zbyt na tej uczonej ulicy Świętego Jakuba, której starożytną sławę chętnie kiedyś pragnąłbym opisać. Tu pierwszy drukarz paryski ustawił swe czcigodne tłocznie; Cramoisy, których Guy Patin zwie królami ulicy Świętego Jakuba, tu wydali dzieła naszych historyków. Nim wzniesiono Kolegium Francuskie, lektorzy króla, Piotr Danès, Franciszek Votable, Ramus wykładali tu w szopie, w której rozlegały się kłótnie gałganiarzy i praczek. I jakże nie wspomnieć o Janie de Meung³⁴⁷, który w domku na tej ulicy napisał swoją *Powieść o Róży*?³⁴⁸

Zajmuję dla siebie cały dom. Jest to dom stary i pamięta co najmniej czasy Gotów³⁴⁹, jak to wnosić można z drewnianych belek, krzyżujących się na jego wąskiej fasadzie, z pięter wysuniętych jedno nad drugim i z pochylego dachu, pokrytego omszałymi dachówkami. Każde piętro ma tylko po jednym oknie. Okno na pierwszym piętrze jest o każdej porze zastawione kwiatami, zasnutę sznurkami, po których wiosną pną się powój i nasturcja; matka moja sadzi je i podlewa. Jest to okno jej pokoju i można widzieć ją z ulicy, ponad szyldem „Świętej Katarzyny”, jak czyta swój modlitewnik, dużymi literami drukowany. Wiek, dewocja i duma macierzyńska dały jej wielce szanowny wygląd; patrząc na jej woskową twarz pod wysokim białym czepcem, przysiąc by można, że to bogata mieszczka.

Ojciec mój, starzejąc się, także nabrał godności w postawie. Ponieważ lubi ruch i powietrze, roznosi mi książki po mieście. Z początku używałem do tego brata Anioła, ale

³⁴⁷ Meung a. Meun, Jean de (ok. 1240–ok. 1305) — francuski pisarz, poeta i tłumacz; zasłynął z dokończenia poematu Guillaumea de Lorrisa *Powieść o Róży* (*Le Roman de la Rose*). [przypis edytorski]

³⁴⁸ Tu pierwszy drukarz paryski ustawił swe czcigodne tłocznie (...) jakże nie wspomnieć o Janie de Meung, który w domku na tej ulicy napisał swoją „Powieść o Róży”? — Jakub Rożenek nie wiedział, że Franciszek Villon mieszkał na ulicy św. Jakuba obok klasztoru św. Benedykta, w domku zwanym „Pod Zielonymi Drzwiami”. Uczeń Hieronima Coignarda chętnie wspominałby był o tym dawnym pocię, który jak on różnego rodzaju ludzi poznał był w przygodach życia. [przypis autorski]

³⁴⁹ Goci — jedno z największych plemion germańskich, mówiące językiem gockim; tu mowa o ich odłamek zwanym Wizygotami; w V w. najechali cesarstwo rzymskie, złupili Rzym i podbili pld.-zach. prowincje rzymskie, tworząc królestwo ze stolicą w Tuluzie, obejmujące pld.-zach. Galię i większość Hiszpanii; w pocz. VI w. wyparci z Galii przez Franków, przenieśli stolicę do Toledo; w VIII w. ich królestwo zostało podbite przez muzułmanów z Afryki Pn. [przypis edytorski]

żebrął u moich klientów, kazał im całować relikwie, kradł wino, zalecał się ich pokojówkom i gubił połowę mych książek w rynsztokach naszej dzielnicy. Jak najprędzej odebrałem mu ten urząd, ale moja dobra matka, której on wmawia, że ma sekret, jak dostać się do nieba, daje mu zawsze zupę i wino. Nie jest to zły człowiek i potrafił w końcu wzbudzić we mnie pewnego rodzaju przywiązanie.

Wielu uczonych i ludzi wyższego umysłu uczęszcza do mego sklepu. Jest to wielka zaleta mego stanu, że codziennie obcuje z ludźmi zasłużonymi. Wśród tych, co przychodzą najczęściej przeglądać u mnie książki i familiarnie porozmawiać ze sobą, są historycy równie uczeni jak Tillemont, kaznodzieje, których wymowa dorównywa wymowie Bossueta, a nawet Bourdaloue³⁵⁰, są dramaturgowie przeróżni, cenieni autorzy nowel hiszpańskich, teologowie, którzy łączą czystość obyczajów z gruntownością nauki, matematycy i filozofowie, zdolni, jak pan Descartes, mierzyć i ważyć światy. Podziwiam ich, rozkoszuję się każdym ich słowem. Ale zdaniem mym żaden nie dorównał umysłem drogiemu mistrzowi, którego miałem nieszczęście utracić na drodze do Lugdunu. Żaden nie przypomina nawet tej niezrównanej wytworności myśli, tej słodkiej wzniosłości, tego bogactwa duszy otwartej, rozlewnej jak urny rzek, których marmurowe posągi stawiamy po ogrodach, żaden z nich nie może mi zastąpić tego niewyczerpanego źródła wiedzy i cnoty, z którego miałem szczęście pić w młodości; żaden nie ma nawet cienia tego wdzięku, tej mądrości, tej siły myśli, jakimi błyszczał dawniej ksiądz Hieronim Coignard. Uważam go za umysł najmiłszy, jaki kiedykolwiek zakwitł był na ziemi.

³⁵⁰ *Bourdaloue, Louis* (1632–1704) — francuski jezuita, kaznodzieja, ceniony jako wybitny mówca. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/france-gospoda-pod-krolowa-gesia-nozka>

Tekst opracowany na podstawie: Anatol France, Wybór pism, II. Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką, tłum. Jan Sten, Lwów 1904.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6982-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).